

**TOMASZ PORĘBA,
SZEFE SZTABU PiS:**

BUDZISZ:

**ROZSTRZYGNĘCIE KONFLIKTU
MOŻE BYĆ BLIŻEJ, NIŻ MYŚLIMY**

**BARTOSIAK
NA WOJNIE,
WOJNA O BARTOSIAKA**

**POLITYK HISZPAŃSKIEJ
PARTII VOX:**

**MAMY WSPÓLNE
WARTOŚCI I WROGÓW**

SIECI

**MARSZAMI
WYBORÓW
SIĘ NIE WYGRYWA**

**OTO NASZ PLAN
NA ZWYCIĘSTWO**

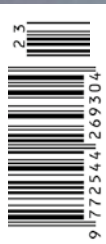
SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 23 (549) 2023
5–11 czerwca 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN 2544-2694



TYLKO U NAS:

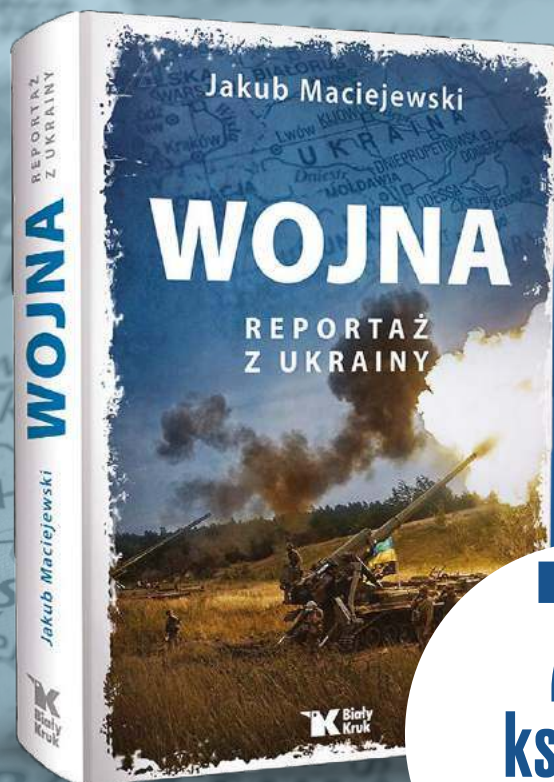
SKĄD TEN STRACH U TUSKA

**TO, ŻE PROWADZIŁ
ŚMIERTELNIE
NIEBEZPIECZNĄ DLA
POLSKI PROROSYJSKĄ
POLITYKĘ, DAWNO
ZOSTAŁO UDOWODNIONE.
TERAZ CZAS
ODPOWIEDZIEĆ
NA PYTANIE:
DLACZEGO TO ROBIŁ**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



Książka naszego reportera Jakuba Maciejewskiego, który na froncie spędził ponad 140 dni:

- przeżył koszmar donbaskiego frontu
- trwał z mieszkańcami Kijowa podczas bombardowań
- widział ślady rosyjskiego ludobójstwa dokonanego w Iziumie

312 STR. | TWARDA OPRAWA | BRUTALNY OPIS ROSYJSKIEJ
INWAZJI | PRZEJMUJĄCE ZDJĘCIA

75
książek
w prezencie

Książkę „Wojna. Reportaż z Ukrainy” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **wSIECI HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.



Co łączy 4 czerwca 1992 r. i 4 czerwca 2023 r.?

Dobrze nazwał klimacik po stronie opozycji redaktor Wojciech Biedroń na portalu wPolityce.pl: „Pamiętacie agenturalne uderzenie w rząd Olszewskiego? Dziś czuć ten sam swąd w salonie III RP”.

Zaskakuje, jak wielu w tamtym i obecnym spektaklu tych samych aktorów, grających te same role. Nie mogę się doczekać, który z poetów wypełni zlecenie i napisze wiersz „Nienawiść”, zwiększając tym samym szanse na literackiego Nobla. Wszak oni to demokraci – im wyżej byli w partii komunistycznej, tym prawdziwsi. A polski obóz niepodległościowy – oszołomy i jeszcze gorzej. Forma jest znana, powtarzana od lat. Teraz na minionym właśnie marszu.

Daty 4 czerwca 1992 r. i 4 czerwca 2023 r. łączy jednak dużo więcej niż kadry. Kluczowe jest odrzucenie trzech kluczowych wartości.

Odrzucenie woli wyborców, których decyzja ma być za wszelką cenę obalana, czy to w ciemnych gabinetach – z obowiązkowym filmowaniem dla przyszłego szantażu – czy na ulicy. Bo 4 czerwca 1992 r. odrzucono wolę Polaków, którzy chcieli odejścia od komunizmu, budowy nowego państwa, a nie pudrowania komunistycznego trupa. Wybory? Demokracja? To obowiązuje tylko wtedy, gdy oni sprawują władzę.

Odrzucenie dziedzictwa Solidarności, która walczyła o Polskę sprawiedliwą, uczciwą, solidarną, polską, szanującą narodową tożsamość, a nie okrutną wobec słabszych, sztychującą ofiar likwidowanych zakładów pracy i PGR, skumpłowaną z ohydny królestwem Urbana. Dziś z wypowiedzi polityków opozycji można wyczytać podobny program: dokręcenie śruby społeczeństwu, któremu się rzekomo w głowach poprzewracało, wyprzedaż i likwidacja wszystkiego, przymusowa reedukacja kulturowa.

Odrzucenie prymatu niepodległości, która pozostaje wartością świętą, nie do negocjacji. Wałęsa gotowy zainstalować w Polsce rosyjskie bazy, Tusk gotowy sprzedać Rosjanom strategiczne przedsiębiorstwa, PO związająca państwo, w tym wojsko – to ta sama linia.

Polska znowu jest na rozdrożu. Bez maksymalnego wysiłku całego obozu propolskiego, pełnej jedności sprawy mogą potoczyć się równie źle jak w 1992 r. Ale nie muszą. Osiem ostatnich lat, dobre rządy, wygrane kampanie wyborcze i skuteczne odpiernianie puców i prowokacji pokazało, że nie ma tu determinizmu. Dlatego warto przypominać „nocną zmianę”, jej straszliwe konsekwencje. To przestroga, czym może skończyć się brak jedności i chwila nieuwagi.

Michał Karnowski



Asymetria strażników pamięci

Gdy PiS wypuścił swój spot piętnujący bulwersującą wypowiedź Tomasza Lisa snującego wizję znalezienia komory dla prezesa Kaczyńskiego i prezydenta Dudy, Muzeum Auschwitz-Birkenau zareagowało w ekspresowym tempie. Stwierdziło, że instrumentalizacja tragedii ludzi, którzy cierpieli i ginęli w niemieckim nazistowskim obozie Auschwitz – co ważne – po jakiegokolwiek stronie politycznego sporu uwłacza pamięci ofiar. W sumie – oświadczyło muzeum – „to smutny, bolesny i niedopuszczalny przejaw moralnego i intelektualnego zepsucia debaty publicznej”.

Mamy więc komunikat mocny, nawet brutalny, wyraźnie ingerujący w kampanię wyborczą. Jeśli chodziło o zwrócenie uwagi, można to było zrobić inaczej. Jeśli chodziło o przyłożenie partii rządzącej, cel osiągnięto.

Szkoda, że takiej stanowczości zabrakło w ostatnich latach w odniesieniu do setek, może tysięcy wypowiedzi osób publicznych, porównujących Prawo i Sprawiedliwość do zbrodniarzy z nazistowskiej, niemieckiej III Rzeszy, do NSDAP. Muzeum głosu nie zabrakło, choć przecież ludzie snujący takie analogie wysyłali komunikat wyjątkowo ordynarny, sugerując, że PiS idzie drogą prowadzącą do Auschwitz. Instrumentalnie traktowali cierpienie i śmierć milionów w imię bardzo bieżącego interesu politycznego. A nie mieli nawet podkłady w postaci wpisu à la Lis.

Komentatorka Eliza Michalik uderzyła tak: „Czytałam kiedyś program NSDAP z 1936 r. [...] Był to prawie identyczny program z programem PiS”. Prof. Andrzej Zoll grzmiał: „To są lata 30. w Niemczech, kiedy wprowadzono dyktando. Jednoosobowa dyktatura!”. Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz przekonywała, że za chwilę w Polsce będzie jak w III Rzeszy: „Wolność jest zabierana po kawałku, to jest przerażające – przecież tak było w III Rzeszy”. Nawet podczas uroczystości 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz nie zabrakło czytelnych aluzji (słynna mowa Mariana Turskiego). A ledwie parę dni temu Adam Michnik ocenił, że komisja mająca zbadać rosyjskie wpływy w Polsce to Reichstag, a także stalinowskie decyzje o zaostrzającej się walce klas.

Podobnych, nawet ostrzejszych przykładów można wskazać setki. Są one głośne, nie sposób ich nie zauważyć. Muzeum Auschwitz-Birkenau nigdy nie zareagowało, nigdy nikogo z tego grona nie upomniało. Przynajmniej nie w przestrzeni publicznej. A przecież sugerowanie, że demokratycznie wybrane i demokratyczne z ducha władze Rzeczypospolitej Polskiej idą drogą morderców z Auschwitz i Birkenau jest zarówno wielkim kłamstwem, jak i deptaniem pamięci ofiar.

Jeśli strzeże się pamięci o tak wielkiej zbrodni, nie można być ślepym na jedno oko. Nie wypada.

Jacek Karnowski



36

**Z Bogusławem
Sonikiem**
*rozmawia Dorota
Łosiewicz*



62

Z Morgane Polanski
*rozmawia Jolanta
Gajda-Zadworna*



80

**Lewandowski
daje radę**
Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 TELEFON DO PRZYJACIELA**
Krzysztof Feusette
- 10 WARTO MASZEROWAĆ.
DLA ŻYCIA I RODZINY**
Dorota Łosiewicz
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 AGENTURALNE WYTWÓRNIŁ HEJT...**
Jan Pietrzak
- 14 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 15 OD CZEGO SĘDZIOWIE SĄ NIEZAWIŚLI**
Bronisław Wildstein
- 16 WALIZKA MARCINA
LEWANDOWSKIEGO**
Michał Korsun
- 18 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 19 OPOWIEŚĆ O WILNIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20 PRZYKRYWANIE ROCZNICY**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 DLA CZEGO?**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 27 Z TOMASZEM PORĘBĄ**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy
- 31 RZEKOMA PUŁAPKA NA TUSKA**
Jan Rokita
- 34 OSTATNIE KUSZENIE POLAKÓW**
Stanisław Janicki
- 36 Z BOGUSŁAWEM SONIKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 39 BARTOSIAK NA WOJNIE**
Konrad Kołodziejcki
- 42 NIEMIECKA GRA WOKÓŁ
SPRAWSTWA HOLOKAUSTU**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

- 44 JEDNA, A MOŻE DWIE
UKRAIŃSKIE OFENSYWY**
Marek Budzisz
- 47 OD BOGACTWA DO UBÓSTWA?**
Aleksandra Rybińska
- 50 Z IVÁNEM ESPINOSĄ
DE LOS MONTEROS**
rozmawia Małgorzata Wolczyk
- 54 POWRÓT PRZYMUSOWYCH
PRZESIEDLEŃ**
Dariusz Matuszak

OPINIE

- 56 PRAWDA O PAPIEŻU BENEDYKCIE**
Z abp. Georgem Gänsweinem
rozmawia Goran Andrijanić

- 58 SAMOBÓJSTWO CYWILIZACJI?**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 61 ZROZUMIEĆ KRYSTYNĘ SKARBK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 62 Z MORGANE POLANSKI**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 63 PRAWDZIWWSZA NIŻ BOND**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 66 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 67 ROZŁOŻYSTA HISTORIA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 68 JEDNEGO SERCA, JEDNEGO DUCHA**
Robert Tekieli
- 69 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 70 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 72 E-DORĘCZENIE ZAMIAST LISTU,
PACZKA ZAMIAST KARTKI**
Z Andrzejem Bodzionym
rozmawia Maciej Wośko

SPORT

- 80 LEWANDOWSKI DAJE RADĘ**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

- 84 MOJE SMAKI: KATHERINE
TAMIKO ARGUILLE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

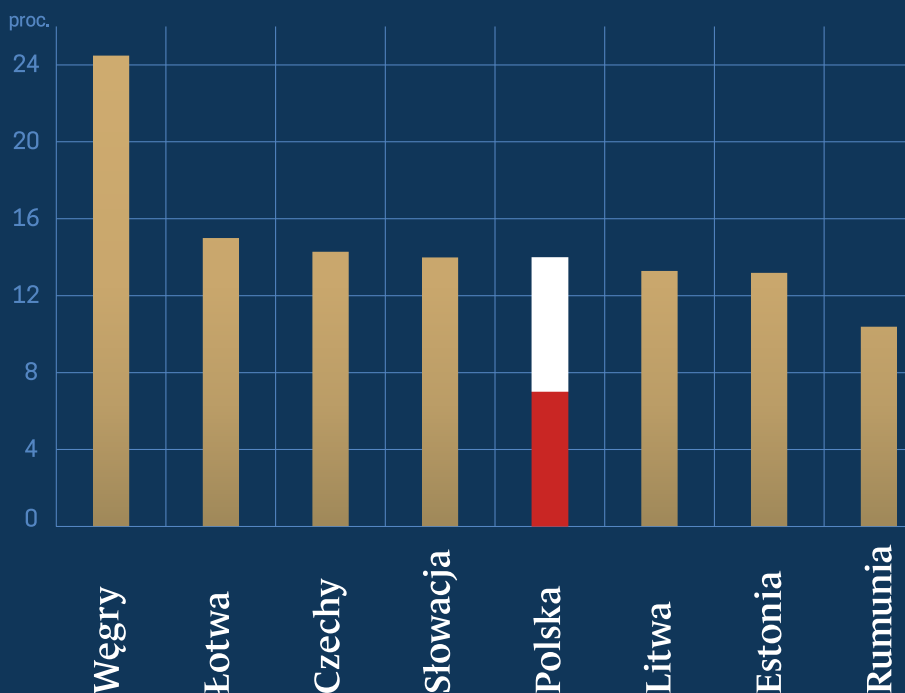
- 86 NASZE DZIEJE ŻYCIEM PISANE**
Alina Czerniakowska
- 87 FIKAJĄCE HIENY**
Piotr Cywiński
- 87 ATLANTYDA**
Lech Makowiecki
- 88 CZĘŚCIOWO PRAWDA**
Wiktor Świetlik
- 88 MONIUSZKO – MISTRZ
MUZYKI RELIGIJNEJ**
Adam Ciesielski
- 89 WIĘCEJ DYSTANSU,
UŁADZENIA, UGODY**
Leszek Długosz
- 90 WSPÓŁCZUCIE I STRATEGIA**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie



NARODOWY BANK POLSKI
INFORMUJE:

Inflacja w Polsce jest typowa dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej sąsiadujących ze strefą konfliktu wojennego.

Inflacja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej



Inflacja r/r HICP wg Eurostatu w kwietniu 2023 r.

6.2021

7.2022

6.2021

7.2022

10.2021

7.2022

7.2022

10.2021

Daty rozpoczęcia cyklu podwyżek stóp procentowych.

Sygnalista nadaje

W Konsulacie Generalnym Niemiec we Wrocławiu wystąpił wiceprezydent tego miasta, związany z PO Sebastian Lorenc. „Wspociejednej partii politycznych haniebnie zagrano pamięcią ofiar Auschwitz. Niezrównoważony osobnik z mandatem posła rozbił ważne spotkanie polsko-niemieckie. Wicie państwo, że nie tak powinny wyglądać relacje polsko-niemieckie” – przekonywał, po czym zapewnił: „Chcę was zapewnić, że wkrótce nadejdą dni, kiedy Polska znowu zacznie się uśmiechać. A wicie, do kogo uśmiechnie się jako pierwsza? Do Niemiec!”. Co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości. Pytanie, czy Polska to przeżyje. Raczej nie.

Popowołaniu komisji ds. zbadania wpływów rosyjskich w Polsce w latach 2007–2022 opozycja wpadła w histериę. Raczej nieudawaną. Marszałek Senatu Tomasz Grodzki mówił tak: „Zaślepieni nienawiścią funkcjonariusze PiS będą jeszcze żalowali, że zdecydowali się powołać komisję ds. rosyjskich wpływów. Ciało niekonstytucyjne i wzbudzające protesty na świecie nie ma racji bytu w demokratycznym społeczeństwie”. Rozumienie demokracji przez opozycyjne tuż wciάζ na poziomie późnych klas szkoły podstawowej. Bo wbrew temu, co nam wmawiają, w dojrzałej demokracji takie narzędzia jak taka komisja nie są niczym nadzwyczajnym. A kto będzie żalował, to się jeszcze okaże.

Swoją frustrację III RP odreagowuje, brutalnie atakując prezydenta Andrzeja Dudę za złożenie podpisu pod ustawą. **Włodzimierz Czarzasty** w TVN24 posunął się do gróźb: „Dziwie

mu się, nie wiem, co wpłynęło bezpośrednio na to, że to zrobił. Zrobił bardzo źle, miał szansę zostać mężem stanu, nie został, podpisał ustawę niezgodną z konstytucją. Bez względu na to, jaka będzie przyszłość, i bez względu na to, kiedy to się stanie, łamanie przez prezydenta konstytucji w tyłu miejscach, w tyłu sprawach to jest Trybunał Stanu”. Gdy prezydent wetuje, ogłaszają go mężem stanu. Gdy podpisuje, wysyłają do Trybunału Stanu. Ale to mrzonki. Polski nie da się już zawrócić na stare tory. Te spazmy są ląbedzim śpiewem.

W ramach obrony Tuska przed zarzutem romansu z Putinem pojawił się nowy argument: Amerykanie kazali. Tak napisano o tym w Onecie: „Kto chciał resetu? W rzeczywistości reset był wpisany w trend, który narzuciła 15 lat temu ekipa Baracka Obamy i Joe Bidena, który był wówczas wiceprezydentem. Moskwa przewidywalna i w jakiś sposób kontrolowalna była potrzebna Stanom Zjednoczonym, bo Ameryka wiedziała, że główny wróg to Chiny”. Odpowiedział wiceszef MSZ Paweł Jabłoński: „Reset Tuska i Sikorskiego nie był wpisany w trend, który narzuciła administracja Baracka Obamy, z prostego powodu: Obama objął urząd w styczniu 2009 r. Tusk był w Moskwie i »resetował« prawie rok wcześniej – w lutym 2008 r.”. A więc znów pudło.

Ale i są głosy bardziej trzeźwe. Grzegorz Sroczynski z portalu Gazeta.pl tak widzi sens ostatnich zdarzeń: „Dlaczego Kaczyński gra w mocną polaryzację? Odpowiedź jest prosta jak cep. Platforma i jej przewodniczący mają

Szwedzki dziennikarz Anders Lindberg na łamach „Aftonbladet” przejechał się po polityce historycznej polskiego rządu. Głupio, bektotliwie, nielogicznie. Ale na końcu postawił pytanie, które nie może przejść bez echa: „Dlaczego prawie nikt nie pomagał Żydom, kiedy hitlerowcy likwidowali getto? Dlaczego polskie władze czekały ponad rok, zanim złapano za broń?”. Niedouczone pokolenie, które nie ma pojęcia o II wojnie światowej, które nie wie nic o brutalności niemieckiej okupacji, zaczyna walić cepem. A przy okazji żąda gestów samobójczych od Polaków, choć samo boi się stanąć w obronie ludzi, którzy twierdzą, że są tylko dwie plcie. Trudne czasy przed nami.

zatwardziały elektorat negatywny i 30-proc. sufit nad głową. Jeśli Kaczyńskiemu uda się sprowokować opozycję, żeby wszystko kręciło się wokół obrony Tuska, to dla przeciętnego wyborcy cała opozycja stanie się jednym wielkim Tuskiem niczym Chrystus ze Świebodzina w porównaniu z małutkami Kosiniakiem, Hołownią, Czarzastym”. Jeśli taki był plan, to już dziś można powiedzieć, że się powiodł.

🔊 Ustawą o komisji zajął się w trybie ekspresowym Parlament Europejski. Europoseł PiS **Ryszard Legutko** tak opisał atmosferę panującą na sali: „Chciałem wypowiedzieć zdanie przeciwne [wobec tezy, że komisja weryfikacyjna ma być przygrywką do walki z opozycją] i się zaczęło. Jakaś absolutna histeria na sali, krzyki, wrzaski, tupania. Trudno mi było mówić, a właściwie w ogóle nie mogłem za bardzo niczego powiedzieć. Widać, że są mocno pobudzeni, w stanie jakiejś takiej politycznej wściekłości, żeby tylko zaszkodzić polskiemu rządowi, a w tym samym czasie walczą z Węgarami, chcą pozbawić je także prezydencji. Panowała atmosfera historycznej wściekłości. Zwróciłem się zresztą do pani przewodniczącej, że to jest polityczne chuligaństwo”. Prawdziwa, „świątynia demokracji, tolerancji i różnorodności”. W istocie coraz bardziej komunistyczna masówka.

🔊 W Polsce też coraz ostrzej. 29 maja o godz. 23.41 **Tomasz Lis** skomentował powołanie komisji słowami, które mogą kojarzyć się z mordowaniem ludzi: „Znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora”. PiS odpowiedział spotem przywołującym tragedię Auschwitz, co z kolei wywołało furję opozycji oraz ostrą reakcję Muzeum Auschwitz-Birkenau. Michał Moskał, dyrektor biura prezydialnego PiS, uważa jednak, że to nie był błąd: „Tusk mówił o żelaznej miotle, o wyprowadzaniu siłą, słyszeliśmy o szarańczy i dorzynaniu watahy, o bydle, pamiętamy też działalność Janusza Palikota pod auspicjami szefa PO. Zapowiedzi, które należy rozumieć jako całkowite odrzucenie praworządności. Lis spuentował tę wieloletnią kampanię odczłowieczania ludzi PiS. Trzeba było na to zareagować, bo w historii nieraz się zdarzało, że od słów przechodzono do czynów”. Pełna zgoda, ale – niestety – to nie koniec. Pójdą dalej.

🔊 „Będę kandydował do Senatu z własnego komitetu, a po wyborach będę ubiegał się o szefostwo w Nowoczesnej, którą współtworzyłem osiem lat temu” – ogłosił **Ryszard Petru**. Będzie walczył poza paktem senackim opozycji. „Nie osłabiam paktu, ale wzmacniam” – przekonuje i dodaje: „Kluczową kwestią na opozycji jest, żeby zmobilizować jak największą liczbę wyborców i tak na-

prawdę dotychczas nie udawało się zmobilizować na tyle dużo wyborców, żeby wygrać z PiS i Konfederacją razem wziętymi”. To nie jest najlepszy argument, bo jeśli Petru kogoś zmobilizuje, to raczej wyborców obozu rządzącego. Wyborców opozycji nie przybędzie, ale za to będzie weselej.

🔊 Aktorowi Jerzemu Radziwiłowiczowi nie podoba się odbudowa pałacu Saskiego. „Idiotyzm. Co to jest pałac Saski? To nie była perła ani nic ważnego. I co, powstanie gniot? Niby taki sam jak kiedyś, tylko z kiedy? Z którego okresu pałacu Saskiego? Według mnie taka odbudowa zabrałaby też miastu piękną rzecz, a mianowicie właśnie resztkę pałacu Saskiego, która jest Grobem Nieznanego Żołnierza. Teraz to wygląda naprawdę bardzo pięknie, to wejście w zieleń Ogrodu Saskiego, gdzie po drodze na środku jest resztką pałacu” – tak mówił w rozmowie z Onetem. Zgodnie z tą logiką (i estetyką) Zamek Królewski oraz Stare Miasto też powinny pozostać ruiną. W skrócie: Polska ma być piękną ruinami, a Zachód zabytkami. Nie będzie na to zgody.

🔊 Aktor pokusił się też o ocenę sytuacji politycznej w Polsce. „To już przerasta stajnię Augiasza” – dramatyzował. Zapytany o to, dokąd zmierzamy, stwierdził, że on nie wie, ale można zapytać tych, którzy popierają to, co jest. „Niech pan zapyta ludzi, dlaczego głosują tak, a nie inaczej. Może oni wiedzą, do czego zmierzają i będą umieli to sformułować. Choć wątpię. To jest dobre pytanie, czy w ogóle istnieje jakieś myślenie o tym, do czego się zmierza – do czego chcielibyśmy zmierzać, do czego zmierzamy i co powodujemy swoimi decyzjami”. Aktorzy są różni, ale im więcej czasu spędzają w teatrze, tym – często – mniej rozumieją z tego, co poza teatrem.

🔊 Aktywista LGBT+ Bart Staszewski poinformował o tajemniczym filmie, którego jednak nie pokazał: „Jak widać na filmie Konfederacja umie się dobrze bawić i gejowskie czułości im niestraszone. Wiec po co ta udawana wrogość? Tęcza to nie wstyd chłopaki”. I dalej: „Panie Robercie Winnicki, czy potwierdza pan autentyczność filmu, który zaczął krążyć w sieci? Jak pan się do niego odniesie? To już jest sprawa publiczna”. Winnicki odpowiedział tak: „Nie ma filmu, bo nie było sytuacji, którą insynuujesz. Ale możesz za to odpowiedzieć przed sądem. Lekarze wprawdzie kazali mi w leczeniu kardio, wątroby, cukru, cholesterolu i wrzodów żołądka odstawić działalność i Twittera, ale współpracownicy zbierają materiał dowodowy. Tak że pilnuj tyłów. Bez odbioru”. Nie wiemy, co o tym myśleć.



– *Dobry wieczór, przepraszam, że tak późno, ale powiedział pan kiedyś, że jak będę miał problem, to mogę zadzwonić. Numer dostałem od Makarona, to znaczy Mikrona, tego z Francji...*

– Chwileczkę... Hasło?

– *Chcemy dialogu z Rosją...*

– ...taką, jaka ona jest. W pariadkie. Co u was?

– *Niedobrze. Komisję powołali, a ten prezydent jeden to podpisał. Będą badać, czy ktoś był pod wpływem. Konkretnie rosyjskim.*

– To zablokujcie. W imię demokracji.

– *Chciałem! Nawet do Sejmu poszedłem, żeby pod słupem stać i wzrokiem grozić. Myślałem, że chociaż kilku się wystraszy, ale nie, tylko Budka narobił, i to głównie zamieszania, jak mnie zaczął witać. Taka jest u nas kondycja demokracji.*

– Dajcie spokój. Pamiętacie nasze rendez-vous tête-à-tête na molo?

– *O, właśnie. To jest jedna z takich spraw. Zaczną pytać, o czym rozmawialiśmy.*

– O hokeju.

– *Nie mogę, już powiedziałem, że pokazywałem wam, gdzie biegam.*

– A, co to, hokeiści nie biegają? Jeszcze jak! Media macie te, co zawsze?

– *Mam. Bardzo dziękuję.*

– I co piszą?

– *Że zamach stanu. Że jak można sprawdzać wpływy rosyjskie na polskich polityków akurat przed wyborami, w których wybieramy polskich polityków. Czy jakoś tak. Wyjął ładnie, gorzej, że dużo cytatów krąży. Np. że wy o mnie „nasz człowiek w Warszawie” mówiliście...*

– Oj, tam, jakoś wtedy wam nie przeszkadzało. Nawet mówiliście, że i ja jestem „waszym człowiekiem w Moskwie”. Myśmymy sobie bardzo te wasze resety cenili. Siergiej do dzisiaj za Radkiem Radosławowiczem Radosławem tak tęskni, że czasem stanie sam na balkonie, zapali cygaro i patrzy w dal, aż mu popiół na buty nie spadnie. Ech, jak oni się fajnie dogadywali...

– *Prawda? Albo jak go Radek na spotkanie z naszymi ambasadorami zapraszał? Albo jak mieli ze Zdrojewskim robić Rok Rosji w Polsce i Rok Polski w Rosji? Nawet jak żeśmy gaz od was kupowali, to po przyjacielsku.*

– Ale podobno na Nord Stream 2 coś żeście jednak kwękali...

– *Ja kwękałem? A gdzie są ślady tego? Przecież nawet w książce opisałem, że, owszem, zwracałem uwagę frau Merkel na ujemne plusy powstania takiego gazociągu, ale czyniłem to niezwykle dyskretnie...*

Telefon do przyjaciela



KRZYSZTOF FEUSETTE

– Nie macie się, nie wypada. Macie setki dziennikarzy i działaczy, którzy wam pomogą. Po prostu staniecie jak mężczyzna przed komisją i powiecie, że nie umiecie po rosyjsku, więc jak można było na was wpływać? A dialogu z Rosją chcieliście tylko dla zabawy po tym, jak żeście nam w ramach stosunków dwustronnych

dług umorzyli. Ile to było?

– *400 mln dol. Albo rubli? Nie, chyba jednak nie...*

– Wy sobie jaj z rubla nie róbcie, bo na razie to cnotę żeście stracili, a przelew nie poszedł. Najlepiej, jak przed tą komisją zwilgotniejecie trochę.

– *W jakim sensie?*

– Popłaccie się, to ludzi bierze.

– *Oj, nie mogę. Jestem przywódcą marszu. Największego w tym roku, a może nawet dekadzie. Idziemy przeciw kłamcom i złodziejom.*

– To co, będziecie tyłem chodzić?

Wiem, wiem, ja też na Ukrainie z fałszywymi walczę. Kiedy ten marsz?

– *4 czerwca. W rocznicę wolnych wyborów, to znaczy w 35 proc., ale w końcu, jak myśmymy rządźli, to wolność słowa też była na takim poziomie. Bo czasem to i laptopa trzeba naczelnemu wyrywać, innego z pracy zwalniać po interwencji w Berlinie, a z wydawcami to się okładki nawet przy śmietnikach ustawiało. To były czasy...*

– Słuchajcie, podpowiada mi tu towarzysz Pieskow, że jak to jest dla was takie ważne, to może ja po prostu przyłecę tego 4 czerwca? W końcu, jak to

u was mówią, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Angela pewnie będzie?

– *Oj, chyba nie. Zresztą nie trzeba sobie robić kłopotu, my sobie tutaj świetnie poradzimy...*

– Jednak gdyby przyjechał ktoś taki jak ja, toby prestiż imprezy wzrósł, prawda? Tylko że ja bym protestował przeciwko wojnie.

– *Nie, no, oczywiście. Ale to by było... to by... nie pasowało...*

– Bzdury gadacie. A jak wasz aparat bezpieczeństwa z czasów komunizmu na wasz marsz się wybiera, to już pasuje? Wy chcecie przeciwko kłamstwu maszerować? To czemu Putin by przeszkadzał?

– *No, to jednak jest różnica.*

– E, tam. Nie chcecie, nie zapraszajcie. Możemy połączyć się zdalnie, to mi pokażecie, jak maszerujecie. A potem – gdzie pobiegniecie, jak już was wezwą na pierwsze przesłuchanie.



**Wy
zmieniacie
najbliższe Wam otoczenie**

WIEŻA BAB

Już za dwa tygodnie ulicami Warszawy przejdzie Narodowy Marsz dla Życia i Rodziny. To kolejna edycja tego afirmującego życie i rodzinę wydarzenia. W br. organizatorzy wybrali hasło: „Dzieci przyszłości Polski”, a na plakacie umieszczono małżeństwo z trójką dzieci.

Marsze dla Życia i Rodziny już dawno na stałe zagościły w kalendarzu prorodzinnych imprez, gromadzących dziesiątki tysięcy uczestników w wielu miastach Polski. Główny organizator i koordynator przedsięwzięcia – Centrum Życia i Rodziny – zaprasza na tegoroczną edycję Narodowego Marszu dla Życia i Rodziny 18 czerwca o godz. 11.00 na pl. Zamkowy w Warszawie.

– Spotkajmy się tego dnia jak najliczniej, by wspólnie afirmować życie i rodzinę. Żeby pokazać całej Polsce, że nie ma nic cenniejszego niż szczęśliwa, zdrowa rodzina, oparta na nierozdzielnej więzi kobiety i mężczyzny otwartych na posiadanie dzieci. A także by przekonywać o niezbywalnej godności każdego życia – nawet tego najmniejszego czy chorego – zachęca Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny.

Jak dodaje, tegoroczna edycja Marszów dla Życia i Rodziny ma za zadanie zwrócić uwagę opinii publicznej, a także polityków na zatrważająco niski poziom dzietności w Polsce. Demografowie wskazują bowiem, że utrzymanie obecnego trendu będzie oznaczać, że już za 80 lat Polska będzie liczyła zaledwie ok. 21 mln obywateli. Organizatorzy marszu podkreślają, że odpowiedzialnych za ten stan rzeczy jest wiele czynników społecznych i gospodarczych, ale niezwykle ważny, a wręcz decydujący to ten dotyczący rewolucyjnych zmian obyczajowych i kulturowych, które należy powstrzymać, ograniczyć, a ostatecznie odwrócić. Współczesne wzorce kulturowe nie sprzyjają bowiem decyzji o potomstwie, a za to coraz częściej wiążą posiadanie dzieci jedynie z trudem wychowawczym, ogromnymi kosztami i ograniczeniami rozwoju osobistego i zawodowego. Nie wspominając już o antynatalistycznych ideologiach, zgodnie z którymi każde kolejne dziecko to śmiertelne zagrożenie dla planety.

Warto maszerować. Dla życia i rodziny

*Dzieci nie są ograniczeniem, ciężarem,
którego lepiej uniknąć, żeby wieść
beztroskie i przyjemne życie!*

chlubny rekord, gdyż w Polsce urodziło się najmniej dzieci od II wojny światowej: zaledwie 305 tys. – tłumaczy Paweł Ozdoba.

Zdaniem organizatorów młodzi ludzie i – szerzej – społeczeństwo potrzebują świadectwa, które rodziny z dziećmi dają podczas Marszów dla Życia i Rodziny.

– Idąc wspólnie w tym radosnym i kolorowym pochodzie, możemy pokazać, jak wiele wartości i pozytywów wnoszą dzieci w życie całej rodziny. One nie są ograniczeniem, ciężarem, którego lepiej uniknąć, żeby wieść beztroskie i przyjemne życie! Przeciwnie, są darem, który pomaga rodzicom dojrzewać i wzrastać, wnosząc w ich życie zupełnie nową perspektywę. Chcemy więc z jednej strony przekonywać młodych, tak bardzo owładniętych lewicowym przekazem, że szczęście i spełnienie można budować w oparciu o otwartość na potomstwo – mówi Ozdoba.

Oprócz tego organizatorom zależy, by uwrażliwić rządzących, że prawdziwa troska o dzieci to najlepsza inwestycja. Dlatego konieczne jest wprowadzenie kompleksowych i przemyślanych rozwiązań, które wspierają rodziny i młodych w podjęciu decyzji o potomstwie. Ale akurat z tego problemu rządzący doskonale zdają sobie sprawę. M.in. dlatego powstała strategia demograficzna, stąd zapowiedź rozwijania programów społecznych wspierających rodziny i dołączania do już istniejących narzędzi wsparcia kolejnych, które budują systemową, rozwijaną na niespotykaną wcześniej w Polsce skalę politykę prorodziną.

Dorota Łosiewicz





ORLEN

ORLEN SYNTHOS GREEN ENERGY

GE HITACHI
BWRX-300

**My
inwestujemy
w czystą i taną
energię z małego atomu**



Bunt Serbów

Wzeszłotygodniowych starciach między serbskimi demonstrantami a członkami międzynarodowych sił pokojowych NATO na północy Kosowa zostało rannych ponad 50 członków KFOR i kilku demonstrantów. Zajścia wybuchły, gdy Albańscy burmistrzowie, którzy wygrali kwietniowe wybory, próbowali objąć swoje urzędy. Żeby to zrobić, musieli korzystać z pomocy policji.

Problem w tym, że wybory, o których mowa, zostały zbojkotowane przez Serbów. Zwolano je w trybie nadzwyczajnym po tym, jak serbscy urzędnicy opuścili kosowskie urzędy na znak protestu przeciwko odmowie powołania przez władze w Prisztinie Związku Gmin Serbskich, do czego rząd Kosowa zobowiązał się w porozumieniu brukselskim zawartym z sąsiednią Serbią.

Frekwencja we wspomnianych wyborach była śmiesznie niska, ale mimo to premier Albin Kurti chce za wszelką cenę zainstalować zwycięskich burmistrzów. Robi to mimo ostrzeżeń Unii Europejskiej i USA, że wybory nie rozwiązały problemu północnej części Kosowa zamieszkałej przez Serbów. Nie ma więc wątpliwości, że tym razem to Prisztina ponosi odpowiedzialność za nową falę przemocy w tym niespokojnym regionie.

Paradoksalnie Kurti swoim uporem politycznie pomógł prezydentowi Ser-

bii Aleksandarowi Vučićowi, zmagającemu się od dwóch tygodni z antyrządowymi demonstracjami, które wybuchły po fali zabójstw w szkole podstawowej w Belgradzie i w miejscowości Mladonovac. Demonstracje pojednały skłóconą opozycję i poważnie zagroziły Vučićowi. Teraz jednak prezydent Serbii ma okazję ponownie wcielić się w swoją ulubioną rolę „zbawiciela Kosowa” i odwrócić uwagę społeczeństwa niezadowolonego z jego rządów.

Społeczność międzynarodowa skrytykowała decyzję Kurtiego o wysłaniu albańskich burmistrzów i policji na północ Kosowa. Niektórzy analitycy na Bałkanach piszą, że kosowski premier może zostać uznany za przeszkodę w stabilizacji regionu. Do tej pory rola ta była zarezerwowana dla Serbów.

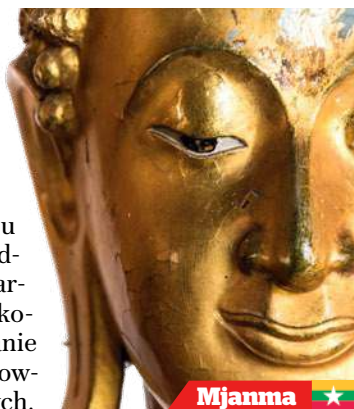
Analitycy mówią też, że nowe niepokoje mogą trwać jeszcze przez jakiś czas, ale nie doprowadzą do wybuchu głębszego konfliktu. W tej chwili nie odpowiada on nikomu z wyjątkiem Rosji, której przez długi czas pozwalano wzmacniać swoje wpływy na niestabilnych Bałkanach. Po agresji Moskwy na Ukrainę wpływy te wydają się jednak słabnąć.

Goran Andrijać

Ciemna strona buddystów

Woczach Zachodu buddyści są przedstawicielami jednej z najbardziej tolerancyjnych i pokojowych religii, a muzułmanie – jednej z najbardziej wojowniczych i nietolerancyjnych. Sytuacja w Mjanmie (dawnej Birmie) zaprzecza tym rozpowszechnionym stereotypom. Żyje tam bowiem 2-mln mniejszość islamska należąca do narodu Rohingja (zwanego też Arakanami), którą jest brutalnie prześladowana zarówno przez juntę wojskową, jak i buddyjską większość. Po 2021 r. aż 700 tys. z nich w obawie o swoje życie uciekło do sąsiedniego Bangladeszu, gdzie już wcześniej przebywało 300 tys. Arakanów.

Przy granicy powstał dla nich wielki obóz uchodźców Cox's Bazar, utrzymywany głównie przez ONZ i organizacje



międzynarodowe. Ośrodek jest jednak przeludniony, panuje w nim nędza i szaleją choroby. Jednym z głównych problemów jest niedożywienie. Będzie ono jeszcze bardziej dotkliwe, ponieważ administracja obozu po raz drugi w ciągu trzech miesięcy ogłosiła, że z powodu braku środków zmniejsza racje żywnościowe: z 12 dol. miesięcznie do 10, a teraz do 8.

Wielu uchodźców chętnie podjęłoby legalną pracę, jednak władze Bangladeszu prowadzą restrykcyjną politykę uniemożliwiającą takie rozwiązania. W efekcie Arakanie pracują na czarno, a część z nich decyduje się wejść na drogę przestępczą. W efekcie Cox's Bazar jest kontrolowany przez gangi zajmujące się m.in. handlem narkotykami czy oferowaniem prostytucji. W obozie dochodzi do tak częstych napadów i porwań, że ludzie boją się po zmroku wychodzić na zewnątrz. W najgorszej sytuacji jest kilka tysięcy chrześcijan Rohingja, ponieważ doświadczenia oni dodatkowo dyskryminacji ze strony własnych rodaków, podlegających do tego przez imamów.

Co prawda, rządy Mjanmy i Bangladeszu zawarły umowę o dobrowolnej repatriacji, która umożliwia uchodźcom powrót do domów, jednak zdecydowana większość Arakanów boi się wracać. Okazuje się, że nawet obecna nędza i beznadzieja są dla nich lepsze niż perspektywa tego, co może ich czekać we własnej ojczyźnie.

Grzegorz Górny

Bitwa o wodę

Iran

Co najmniej trzech żołnierzy zginęło w wyniku wymiany ognia, do której doszło na irańsko-afgańskiej granicy w prowincji Nimroz. Przedstawiciele Teheranu i Kabul uoskarżają się wzajemnie o prowokację i rozpoczęcie walk, podczas których użyto ciężkiego sprzętu. Podczas wizyty w nadgranicznej prowincji Sistan i Beludżystan dowodzący irańskimi siłami lądowymi Kioumars Heydari zagroził Afganistanowi „stanowczą odpowiedzią”, jeśli talibowie nie będą przestrzegać międzynarodowego prawa i obowiązujących umów.

Podłożem sporu między Iranem a Afganistanem, którego przejawem były ostatnie starcia graniczne, jest deficyt wody. Władze w Teheranie oskarżają talibów, że ci celowo blokują i grodzą rzekę Helmand, która zaopatruje w wodę wschodnie prowincje Iranu. W świetle porozumienia z 1973 r., na które powołuje się Teheran, Iran miał otrzymywać rocznie nie mniej niż 820 mln m³ wody, a według oficjalnych danych dziś może liczyć jedynie na 4 proc. tej ilości.

Susza już od 30 lat jest wielkim problemem w Iranie, jednak ostatnio sytuacja się pogorszyła. Jak oceniają specjaliści z FAO,

w ostatnich latach 97 proc. powierzchni Iranu cierpi na braki wody, co jest efektem zarówno zmieniającego się klimatu, jak i wieloletniego zaniedbywania inwestycji hydrologicznych.

Starcia były poprzedzone wypowiedzią prezydenta Iranu Ebrahima Raisi, który zagroził talibom poważnymi konsekwencjami, jeśli będą kontynuować politykę ograniczania dostępu do wody. Amir Khan Muttaqi – afgański minister spraw zagranicznych, który spotkał się z ambasadorem Iranu w Kabul – by uspokoić sytuację, odrzucił te oskarżenia, podkreślając, że w Afganistanie już od trzech lat trwa susza i wezwał do równomiernego rozłożenia ciężarów.

W ostatnich dniach sympatyzujące z talibami media kolportowały film przedstawiający mułę Mohammada Yaqooba śpiewającego pieśń wzywającą do przeciwstawienia się Iranowi. Jest on nie tylko ministrem obrony, lecz także synem muły Omara – jednego z założycieli i lidera ruchu talibów, który po zdobyciu przez nich władzy w Afganistanie w 1996 r. został pierwszym przywódcą państwa. Sytuacja będzie się więc najprawdopodobniej zaostrzać.

Marek Budzisz

Fot. Mohammad A. Ali/Shutterstock.com

Biden kontra ekologodzy

Wminiony weekend demokratyczny prezydent Joe Biden i republikański przewodniczący Izby Reprezentantów Kevin McCarthy podpisali porozumienie o tymczasowym zawieszeniu pułapu zadłużenia (debt ceiling). Według amerykańskiej izby handlowej po II wojnie światowej limit zobowiązań amerykańskiego rządu był już podnoszony 102 razy. Obecnie obowiązujący, w wysokości 31,4 bln dol., został ustalony w grudniu 2021 r., ale wyczerpie się w czerwcu. Porozumienie zawiesi jego obowiązywanie do stycznia 2025 r., co pozwoli administracji nadal pożyczać środki na obsługę wcześniej zaciągniętych zobowiązań.

Liberalno-lewicowe media nie kryją swojej irytacji. Jednak nie chodzi im wcale o widmo rosnącego zadłużenia, lecz o wydatki zaplanowane przez Białą Dom. Porozumienie demokratów z republikanami zakłada bowiem zwiększone zakupy w sektorze obronnym oraz



budowę nowych gazociągów i ropociągów. Jednym z nich jest gazociąg Mountain Valley, który ma dostarczać gaz z Wirginii Zachodniej na południowy wschód. Jest to wielkie zwycięstwo senatora demokratów z tego stanu Joe Manchina, który mocno lobbował za projektem. Również Białą Dom twierdzi, że rurociąg jest niezbędny do zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego USA.

To nie jedyna duża inwestycja w energię. W marcu administracja Bidena zatwierdziła tzw. projekt Willow, czyli plan wydobywania ropy na Alasce, co według ekologów jest sprzeczne z obietnicami klimatycznymi złożonymi przez demokratów (prawie 3 mln Ameryka-

nów podpisało petycję przeciwko realizacji projektu). Jak twierdzi portal Politico, planowane wydatki obnażyły hipokryzję Bidena. Klimatyczną hipokryzję, oczywiście.

Gazociąg Mountain Valley był już oprotestowywany przez aktywistów, którzy usiłowali zatrzymać jego budowę w sądzie. Umieszczenie tej inwestycji w porozumieniu o limicie zadłużenia pozwoli ochronić ją przed postępowaniami sądowymi. Ekologodzy są wściekli, bowiem jeszcze w zeszłym miesiącu aktywistom udało się unieważnić w sądzie wszystkie pozwolenia na budowę gazociągu z powodu naruszenia ustawy o czystej wodzie.

Według Crystal Cavalier-Keck, współzałożycielki organizacji ekologicznej 7 Directions of Service, postępowanie administracji Bidena jest niemoralne. „Jest mocna ustawa o ochronie środowiska, a teraz zostanie ona osłabiona” – mówi. Niektórzy demokraci są podobnego zdania. Zapowiedzieli, że będą dążyć w Kongresie do wykreślenia z porozumienia zgody na budowę gazociągów. Jeśli im się to nie uda, to ekologodzy rozpoczną protesty przed Białym Domem.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Agenturalne wytwórnie hejtu...

Robią wielki raban wokół ustawy o zbadaniu wpływów rosyjskich w Polsce. Twierdzą, że ustawa jest niekonstytucyjna. A likwidacja polskich garnizonów na wschód od Wisły była konstytucyjna? Skonstruowanie w Ministerstwie Finansów mechanizmu wyludzenia VAT było konstytucyjne? A oddanie Putinowi wraku Tu-154 było konstytucyjne? Polegało to na przekwalifikowaniu samolotu wojskowego na cywilny z dnia na dzień. Taki prosty, bezprawny myk. Akceptacja kłamliwego werdyktu komisji Anodiny z pancerną brzozą w tle była konstytucyjna? Brak zainteresowania wpływami rosyjskimi w Senacie jest konstytucyjny? To pytania retoryczne. Po prostu, powiedzmy sobie szczerze: opozycji nie przeszkadzają rosyjskie wpływy w Polsce! Jej przeszkadzają polskie aspiracje, tożsamość, duma i honor. Dodajmy, że niemieckie wpływy również jej nie przeszkadzają.

A co ślubowała? „Uroczyste ślubuję [...] strzec suwerenności i interesów państwa, czynić wszystko dla pomyślności ojczyzny i dobra obywateli”. Czy opozycja rozumie, co ślubowała, co



**Jan
Pietrzak**

znaczy suwerenność w obecnej sytuacji, skoro nawet obrona granicy z Białorusią doprowadza ją do furii?

Ponieważ zbliżają się wybory, państwo musi zrobić wszystko, by o ich wyniku nie decydowali Niemcy ani Rosjanie. Wyobrażacie sobie rząd w Warszawie ustawiony przez Scholza i Putina? Mamy w tej materii fatalne doświadczenia historyczne, potwierdzone milionami ofiar. Wie o tym Europejski Komisariat Centralny, którego ulubionym zajęciem jest systematyczne okrawanie polskiej suwerenności. Ledwo prezydent podpisał ustawę, natychmiast komisarz Reynders oświadczył – nawet nie znając jej treści – że zamierza w tej sprawie interweniować. Typowy, bezczelny eurokrata, który uważa, że może cenzurować

wybranego przez naród prezydenta. To ten sam, który zapowiada konieczność relokacji imigrantów na nasze podwórko. Oczywiście w imię solidarności. Nie jest to zabawne, kiedy szemrane indywiduum podkrađa ważne dla nas pojęcie solidarności do podłych manipulacji pod wpływem... no właśnie, czym?

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Sportozagadka

Bilety od dawna są już rozdysponowane (przez internet), ale przed wejściem na zawody ustawia się długa na kilkaset metrów kolejka chętnych, którzy nie zdołali zdobyć wejściówek. Wejdą, jeśli ci z biletami nie dotrą i zostaną wolne miejsca. W ogonku są dorośli, ale też mnóstwo młodzieży i dzieciaków. Imprezę obejrzą ci, którzy przejdą kontrolę, dostaną się do środka przez bramkę wykrywającą metale (taką jak na lotnisku). Jak ktoś ma w kieszeni scyzoryk – tak jak mój syn – to musi go oddać do depozytu. Bezpieczeństwo sportowych gwiazdorów jest najważniejsze. A w wielkiej dziesiątce są dwaj Polacy.

Zawody obserwuje tłum ludzi, nie dla wszystkich starcza miejsc siedzących, wielu musi oglądać zmagania na stojąco, z boku. Zdjęcia można robić tylko przez pierwsze trzy minuty rywalizacji. Potem groźnie wyglądający panowie podchodzą do widzów i stanowczo zakazują używania komórek. Wiadoczny na tablicy naprzeciw trybun napis „Psst!” jest ostrzeżeniem traktowanym całkiem poważnie. Jak komuś zadzwoni telefon, to służby porządkowe natychmiast go wyprowadzają na zewnątrz. Wykluczonym pozostaje skorzystanie z tego, że impreza jest transmitowana przez TVP.



**Dominik
Zdort**

Mimo zakazu publika nie potrafi siedzieć cały czas cicho, czasem reaguje, bo nie umie się powstrzymać. Jak widzi słabe zagranie, to słyhać westchnienia. Jak świetne, to są odgłosy zachwytu. Jasne jest, że ludzie się na tej dyscyplinie znają i umieją docenić kunszt wybitnych zawodników. A po sukcesie faworyta widzowi wybucha burza oklasków. Organizatorzy muszą upominać, że to przed całkowitym zakończeniem rozgrywki jest niezgodne z zasadami.

Kiedy salę opuszcza któryś z gwiazdorów, od razu z miejsc zrywa się wielu kibiców. Tłumek gromadzi się w okolicach korytarza, w którym mogą się pojawić idole. A ci – zazwyczaj, choć nie zawsze – są

chętni do współpracy z fanami. Rozdają dziesiątki autografów, podpisują programy, pozwalają robić z sobą selfie. Cóż – do tego najpewniej zobowiązują ich sute kontakty marketingowe. Na pewno więcej warte niż pula nagród zawodów – 175 tys. dol., z której zwycięzca dostanie 40 tys.

To była wspaniała impreza, genialna pod względem sportowym, a do tego perfekcyjnie zorganizowana i (niestety) nikt mi za te pochwały nie zapłacił. Po prostu się zachwyciłem.

Jakie zawody oglądałem? Co to za dyscyplina sportu?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Od czego sędziowie są niezawiśli

Coraz częściej kontakt z sądami w Polsce wywołuje poczucie bezradności. Bezradności wobec krzyczącego i bezkarnego bezprawia, które chadza w sędziowskich togach. Ostatnio uczucie takie budzi wyrok na dziennikarzy: Magdalenę Ogórek i Rafała Ziemkiewicza. Zostali skazani za to, że w TVP, w satyrycznym programie, ironicznie skomentowali zachowanie prowodyrki napaści na Ogórek, która okazała się... psychoterapeutką.

Liderka agresywnej grupy, która atakuje wychodzącą z pracy dziennikarkę, jest uniewinniona, a zostaje skazana ofiara. Sprawa się powtarza. W III RP napastnicy są uniewinniani, a poszkodowani skazywani. Opisywałem to przy okazji uderzenia na kościoły w trakcie „czarnych” manifestacji.

Gdyż sędziowie w Polsce są niezawiśli.

Od czego? Od prawa, bo sami dowolnie je interpretują i to dodatkowo w świetle swobodnie przez siebie użytkowanych przepisów konstytucji. Oznacza to również, że mogą w ogóle nie brać jej pod uwagę, jak np. w ostatnim wyroku uniewinniającym bojówkary zakładające mszę w poznańskiej katedrze. Wprawdzie konstytucja daje wierzącym prawo do posiadania świątyni i sprawowania kultu, ale sędzi Knobel to nie interesuje i uznaje, że uniemożliwianie mszy to właściwy sposób prowadzenia debaty publicznej.

Sędziowie są niezawiśli od sprawiedliwości, bo identyczne akty są traktowane radykalnie inaczej w zależności od tego, kto jest ich autorem. Robert Bąkiewicz został skazany za (bierną) obronę kościoła. Nikomu nie przyszłoby do głowy oskarżyć kogoś o obronę np. dyskoteki.

Można odnieść wrażenie, że obecna opozycja ma immunitet na naruszanie porządku publicznego i agresję wobec stróżów prawa. Legalne manifestacje z okazji rocznicy tragedii smoleńskiej regularnie były blokowane przez bojówkaczy w rodzaju Obywateli RP. Przeciwnicy obecnego rządu, którzy łamią prawo i naruszają porządek publiczny są uniewinniani, a sądy przyznają im sowite odszkodowania ze skarbu państwa.

Sędziowie są niezawiśli od zdrowego rozsądku, czego doskonałym przykładem było skazanie w pierwszej instancji pisarza Jacka Piekary za... żart. Napisał on: „Do aborcji potrzebne jest zapłodnienie... Do zapłodnienia potrzebny jest seks... Dobrze wiedzieć, że Dorocie Wellman nie grozi aborcja!”. I za to w majestacie prawa nałożono na niego rujnujące, medialne przeprosiny.

Sędziowie są niezawiśli od przyzwoitości, o czym świadczą wszystkie powyższe wyroki, a także wiele innych. Uniewinnianie bojówkaczy, którzy uniemożliwiają Jarosławowi Kaczyńskiemu

odwiedziny grobu brata jest tego oczywistym dowodem. Prawo do upamiętnienia swoich najbliższych wydawałoby się elementarne w naszej kulturze. Okazuje się, że nie obejmuje ono lidera PiS.

Sędziowie są niezawiśli od logiki. Przykłady można by mnożyć. Odwołam się do nieco starszego, bo ma modelowy charakter. Sąd Najwyższy uznał, że Marian Jurczyk nie był donosicielem, gdyż... jego donosy nikomu nie szkodziły.

Czy znaczy to, że sędziowie w III RP są niezawiśli od wszystkiego? Skądże! Są absolutnie zawiśli od swojego establishmentu. Liderzy sędziowskich związków takich jak Iustitia czy Themis, które zostały stworzone, by zajmować się sprawami socjalnymi, nadali im polityczny charakter i oficjalnie walczą z obecną władzą, samowolnie ogłaszając się reprezentantami całej korporacji. Pierwsza z nich postuluje m.in. automatyczne anulowanie wszelkich nominacji sędziowskich od czasów nowej ustawy o KRS z 2017 r. i zwrotu jako nienależne wszystkich wynagrodzeń pobieranych przez nowych sędziów. Ten skandaliczny projekt przekreśla jakiegokolwiek cywilizowane normy, w tym nieodwołalność sędziów, wzywa do działania prawa wstecz i realnie znaczy unieważnienie prezydentury Andrzeja Dudy. Te postulaty – w dziedzinie prawnej drastyczniejsze niż powojenne działania komunistów – nie spotkały się z krytyką środowiska.

30 sędziów SN oświadczyło, że nie będzie orzekać z nowymi sędziami, czyli tymi, którzy zgodnie z konstytucją i ustawą zostali powołani za rządów PiS.

W tej atmosferze sędziowie, którzy zaangażowali się w proces naprawy polskiego wymiaru sprawiedliwości, są prześladowani przez dominującą grupę. W tym przypadku o żadnej niezawisłości nie ma mowy. Prezes KRS Dagmara Pawełczyk-Woicka dostała grzywnę za niedostarczenie funkcjonujących w obiegu publicznym dokumentów. Sędziemu Nawackiemu establishment korporacji wytoczył ponad 20 spraw i został on już skazany na dwa tygodnie aresztu. Kto by się przejmował immunitetem.

Sędziowie mają za sobą całą liberalną teorię prawa, zgodnie z którą niesą oni od realizacji intencji prawodawców, ale od naprawy świata. Naprawiają go zgodnie z dominującą ideologią. Skoro uznają, że władza PiS w tym przeszkadza, zrobią wszystko, by ją utracić bez względu na procedury polityczne czy demokratyczne zasady.

Bez głębokiej, personalnej reformy polskiego sądownictwa nie będziemy mieli sensownie działającego państwa.





Walizka Marcina Lewandowskiego

*lekkoatleta, żołnierz zawodowy Centralnego
Wojskowego Zespołu Sportowego*

Gdy byłem zawodowym sportowcem, spędzałem ponad 300 dni poza granicami kraju. Były to głównie zgrupowania wysokogórskie, gdzie trenowałem na płaskowyżach na wysokości 2400 m n.p.m. Zimą trenowaliśmy w Afryce, z kolei latem w Alpach i w Pirenejach. Na urlop pozostawało 20 dni, na leżaku z książką w dłoni. Ostatnio wyliczyłem, że podczas 17 lat kariery sportowej przesiadziałem w samolocie prawie rok, wylatując ok. 2 mln km. Większość ludzi błędnie myśli, że przez ten czas dużo zwiedzałem. To nie do końca prawda. Sportowcy dużo trenują, nie mają czasu na atrakcje turystyczne. W teorii zwiedziłem cały świat, ale głównie widziałem lotniska, hotele i stadiony. Za to jestem czterokrotnym olimpijczykiem: Pekin 2008, Londyn 2012, Rio 2016 (bez medalu, ale pierwszy finał igrzysk olimpijskich na 800 m dla powojennej Polski), pechowe Tokio 2021, ponieważ zerwałem sobie w półfinale mięsień łydki. Tym bardziej bolesne, że 2021 był rokiem mojej szczytowej formy. Przed igrzyskami ustanowiłem trzy nowe rekordy kraju, miałem najlepszy wynik w Europie od 17 lat na dystansie jednej mili. Podsumowując – na koncie mam siedem finałów mistrzostw świata, liczby finałów mistrzostw Europy nie jestem w stanie zliczyć, ale mam 11 albo 13 medali ME i MŚ. Tu muszę zaznaczyć, że diamentowy medal należy się mojej żonie, którą poślubiłem 10 lat temu i z którą mam trójkę wspaniałych dzieci. Moje osiągnięcia to zasługa jej wsparcia i możliwości skupienia się na treningach.



TABLET

Do obsługi mediów społecznościowych i oglądania filmów. Wtedy odpoczywa mi głowa.



LAPTOP

Do pracy. Tworzę na nim prezentacje, tabelki, wykresy i statystyki. Współpracuję z marketingiem Decathlonu, który otwiera się na wyczynowców. Dodatkowo jestem częścią ekipy Marcina Rosengartena, odpowiedzialną za kontrakty międzynarodowe, diamentowe ligi i wszystkie mityngi międzynarodowe.





MONTE CASINO

Mogłem tam połączyć zawodową służbę wojskową ze sportową pasją biegania. Uczciliśmy pamięć polskich żołnierzy poległych 79 lat temu pod Monte Casino. Przemierzaliśmy 11-km szlak, którym pod gradem kul przeszła armia Andersa i zdobyła fortyfikacje Niemców.

WOJSKO POLSKIE

Najlepsza decyzja, jaką podjąłem, będąc młodym człowiekiem. Wstąpiłem do armii, gdy miałem 22 lata, i od tego czasu nie zmieniałem zdania. Jestem pewny, że gdyby nie Wojsko Polskie, to sportowcy nie zdobywaliby tak dużo medali na arenie międzynarodowej. Dalej biegam i dalej reprezentuję WP. Ostatnio byłem na mistrzostwach świata w przełajowych sztafetach w Portugalii.



MOWY MOTYWACYJNE

Dla różnych instytucji prowadzę cykl wystąpień, na których wygłaszam mowy motywacyjne na temat przełożenia sportu na biznes, radzenie sobie z porażkami i przekuwania ich w sukces. Karteczki elektrostatyczne – patent od Kamila Kozieła – do układania planu prezentacji, który zmienia się z 20 razy, zanim jestem zadowolony.

SUPLEMENTY

Mam swoją linię odżywek Omni Running, którą stworzyłem wraz z moim trenerem Tomaszem Lewandowskim i biochemikiem. Dwie dekady w sporcie dały mi dużą wiedzę nie tylko na temat potrzeb mojego organizmu, lecz także wszystkich, którzy uprawiają sporty ekstremalne.

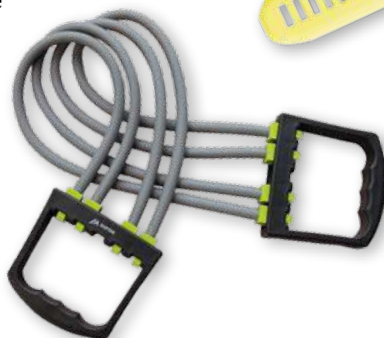


GŁOŚNIK I SŁUCHAWKI

To jest numer jeden podczas pakowania. Lubię głośno słuchać muzyki i każdy, kto dzieli ze mną pokój na obozach sportowych, jest o tym uczciwie informowany.

GUMY

Mała siłownia. Kosztuje grosze, nic nie waży, a trening zastępczy można zrobić super.



SPORTOWE OBUWIE

Narzędzie pracy. Przede wszystkim wygoda i komfort dla stopy. Mówię, że naprawdę dobre obuwie powinno dawać złudzenie wygodnych szpilek. W swoim życiu przebiegłem ok. 80 tys. km, ale po moich stopach tego nie widać.



KOLCE

Używamy na zawodach i megaciężkich treningach na bieżni.



ZEGAREK

Z GPS. Pokazuje linię trasy, prędkość na poszczególnych odcinkach, dystans, tętno. I godzinę.



ZAPACH

To żona mnie nauczyła, że słodkie i świeże perfumy używa się w lato, a ciężkie w zimę. Moje ulubione Boss z limitowanej kolekcji kupiłem w Dubaju.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Tym Ruskim życzę powodzenia



Akurat dziś, kiedy siadłem do pisania tej rubryki, zbiegły się dwie rzeczy. Dzień Dziecka i wiadomości z Francji. Wszystkim najmłodszym życzę oczywiście wszystkiego najlepszego i żeby – o ile trafią w przyszłości do polityki – nie brali przykładu z prezydenta Emmanuel Macrona, który jest zaprzeczeniem tego, co dorośli nazywają skutecznością. Co nowego wymyśliła głowa państwa francuskiego, że zasłużyła na trafienie do felietonu, który ma aspiracje być humorystycznym? Otóż Macron wygłosił przemówienie w Bratysławie podczas obrad Forum GLOBSEC, poświęconego sprawom globalnego bezpieczeństwa. Stwierdził w nim, że wschodnia część Unii Europejskiej jest obecnie za bardzo dozbrojona. Jego zdaniem taka sytuacja będzie w przyszłości prowadzić do kolejnych napięć z Rosją. Jednocześnie podkreślił, że Europa nie powinna się w tej kwestii oglądać na Stany Zjednoczone i sama musi zaproponować Rosji podpisywanie traktatów dotyczących rozbrojenia. Unikając ingerencji USA, Unia Europejska zyskałaby większą autonomię w kwestiach bezpieczeństwa. Przypomnijmy, że nie jest to pierwsza taka złota myśl wypowiedziana przez przedstawiciela ważnego kraju w Unii. 7 lutego ub.r., a więc w przeddzień inwazji Moskwy na Ukrainę, podczas spotkania na Kremlu przy długim stole zaproponował Władimirowi P. zmniejszenie obecności NATO w Europie. Włos dęba na głowie staje, że taki koleś rządzi Francją i ma w ogóle cokolwiek do powiedzenia w UE. Tego typu opiniami powinien się dzielić w przedszkolu z okazji Dnia Dziecka, a i wątpię, czy maluchy uznałyby go za gościa w pełni władz umysłowych.

Oruskiej 72. Brygadzie Strzelców Zmotoryzowanych – tej, która koncertowo dała nogę atakowana przez szturmowców Azowa na południowym wschodzie od Bachmutu – znowu głośno. Bojcy z batalionu Szturm wchodzącego w skład tej brygady (*de facto* wzmocnionej kompanii pozbawionej pojazdów opancerzonych i wsparcia czołgów i artylerii) opublikowali długi film, w którym proszą o ratunek i skarżą się, że ich dowódca chce ich rozstrzelać, bo wycofali się pod ukraińskim ogniem. Nie ma co ukrywać, że cała ekipa zwała, gdzie pieprz rośnie. Próby odbicia przez brygadę utraconego terenu skończyły się fiaskiem, a Ukraińcy podeszli do wsi Kliszczówka. Teraz dowódca brygady, chcący ukryć swoją nieudolność, grozi rozstrzelaniem tym, którzy i tak nie mieli szans wykonać zadania, skoro rzucono ich do ataku bez czołgów i pojazdów opancerzonych oraz bez wsparcia artylerii. Ale to nie koniec. Z Lisiaczańska zdezerterowało 39 bojców. Bynajmniej nie przeszli na ukraińską stronę, tylko zajmowali cywilom auta i rozjechali się po okolicy. Jak na razie ślad po nich zaginął. Mniej szczęścia miało siedmiu bojców spod Soledaru, którym też odechciało się wojaczki. Zamiast ukraść samochody ludności cywilnej i odjechać w siną dal, czterech pchnęło drzwi pobliskiej knajpy. Tam zalali robaka i zasnęli przy butelce. Czwartego pijanego sen się nie miał i jak wpadła żandarmeria, chciał się poddać. Ale kumple nie mieli litości i zastrzelili go na miejscu. Pozostałych zawinęli do wojskowej paki. Z kolei tych trzech, którzy od razu ruszyli drogą trzeźwości, żyje i nadal są poszukiwani.

Ruski proukraiński władz znowu w szkodę Roska prokremłowskiego. Gubernator rosyjskiego obwodu biełgorodzkiego Władysław Gładkow przekazał, że w rejonie szebekińskim trwa ostrzał i została podjęta decyzja o ewakuacji ludności cywilnej. Rosyjski Korpus Ochotniczy (RKO) i Legion Wolna Rosja (LWR) ogłosili, że to kolejny etap operacji wyzwolenia. Z kolei sami sprawcy wjazdu na teren Federacji Moskiewskiej powiedzieli, że rozpoczynają drugą fazę operacji wyzwolenia ojczyzny. Ale chłopaki widać mają zapal, bo jak stwierdził jeden z nich na nagraniu opublikowanym w sieci: „Wyzwolimy całą Rosję. Od Białogrodu po Władywostok, żeby w Moskwie zawisła biała-niebieska flaga wolności”. Ruski z Kremla oczywiście zaprzecza obecności RKO i LWR na swoim terenie, ale zdjęcia spod Białogrodu wojaka z tryzubem na ramieniu i ruską flagą pod drogową wskazówką z nazwą miasta są bardziej przekonujące niż kacapska propaganda. Osobiście akurat tym Ruskim życzę powodzenia i żołnierskiego szczęścia w długim marszu spod ukraińskiej granicy do Władywostoku.

I jak co tydzień Kacapo o sobie: „Rosjanin jest największym i najbardziej zuchwałym kłamcą na świecie” – Iwan Turgieniew, pisarz moskiewski. **Andrzej Rafał Potocki**

Opowieść o Wilnie

W 2023 r. przypada 700-lecie Wilna, ukochanego miasta mojej babci, do którego często wracała w swoich wspomnieniach i którego nigdy po wojnie nie zdążyła odwiedzić. Babcia pozostawiła po sobie obrazek z Matką Boską Ostrobramską, walizkę, którą w 1934 r. w Wilnie ofiarowała jej pani Wiktoria Odlanicka-Poczobutt, a także budzik, na którego tarczy widnieje napis „Witold Jurewicz, Wilno”. Te trzy przedmioty przetrwały wojnę i liczne przeprowadzki mojej babci wymuszone przez Niemców, Rosjan i komunistów, którzy po wojnie ścigali mojego dziadka m.in. za współpracę z mjr. Zygmunt Szendzielarzem „Łupaszka”. Wilno pozostawało zawsze w sercu mojej babci, a trzy skromne pamiątki były dla niej bezcenne.

Świat przedwojennego Wilna zamknięty we wspomnieniach mojej mamy pozostanie tajemnicą, o którą nie mogę już zapytać. Tym chętniej wiedzona rodzinnymi szlakami wybiorę się na otwartą niedawno w Muzeum Narodowym w Krakowie wystawę „Wilno, Vilnius, Vilne 1918–1948. Jedno miasto – wiele opowieści”.

Ekspozycja zorganizowana w ramach obchodów jubileuszu Wilna przedstawia pejzaż wielokulturowej i wieloetnicznej metropolii widziany oczami litewskich, polskich, żydowskich i białoruskich artystów. Przed wybuchem II wojny światowej liczba mieszkańców stolicy Litwy przekroczyła 200 tys. Większość stanowili Polacy (66 proc.) i Żydzi (28,3 proc.). Mniej liczni byli Rosjanie (3,8 proc.), Białorusini, Litwini, Tatarzy i Niemcy.

Na krakowską wystawę składa się blisko 270 obrazów, grafik, fotografii, rzeźb oraz dokumentów archiwalnych podzielonych na siedem części tematycznych: „Obraz miasta – mit a rzeczywistość”, „Walka o Wilno”, „Artyści – portrety i autoportrety”, „Miejsca symboliczne”, „Przebłąski awangardy”, „Życie codzienne”, „Pożegnanie i nostalgia”. Ta ostatnia wypełniona przez grafiki i obrazy Andrzeja Wróblewskiego. W Muzeum Narodowym w Krakowie można zobaczyć jeden najczęściej reprodukowanych na świecie obrazów przedstawiających wizerunek Chrystusa – „Jezu, ufam Tobie”, który został namalowany w Wilnie w 1934 r. przez Eugeniusza Kazimirowskiego.

Najbardziej interesującymi częściami wystawy zdają się te przedstawiające życie codzienne i autoportrety malarzy – jak kliše z przeszłości pozwalające zbudować wyobrażenie o atmosferze tego wyjątkowego miasta. Dzieła Tymona Niesiołowskiego przedstawiają chłopca bawiącego się na dywanie („Krzyś”), zamyśloną kobietę w kawiarni („W kawiarni”) i pustą, przyprószoną śniegiem ulicę („Wilno w zimowy poranek”). Anna Sołtan-Romerowa uwieczniła przejmujące spojrzenia starej kobiety i nastoletniej dziewczyny („Wieśniaczki w kaziukowym Wilnie”), a Ludomir Słędziński uchwycił elegancję matki spacerującej z dzieckiem w wózku („Dama z wózkiem”), niepewność w oczach i gestach dziewczyny sprzedającej prasę („Gazeciarka”) oraz skupienie chłopców bawiących się guzikami („Gra w guziki”). Doskonale skomponowany kolorystycznie autoportret Czesława Wierusza-Kowalskiego z nieostrym obrazem przedstawiającym kobietą postać na drugim planie przykuwa szczególną uwagę, a rozbrajający, ujmujący uśmiech Zofii Wendorff-Serafinowicz kontrastuje z powagą postaci Eugeniusza Kazimirowskiego („Autoportret”).

Na wystawie można zobaczyć m.in. rzeźbę portret Placydy Siedleckiej-Bukowskiej autorstwa Stanisława Horna-Popławskiego tworzącego po wojnie w Sopocie, prace Władysława Strzemińskiego – męża Katarzyny Kobro, o których tragicznej historii opowiedział film Andrzeja Wajdy „Powidoki”, a także doskonalą „Kompozycję” Witolda Kajruksztisa. Wystawa poświęcona wileńskim twórcom to kolejny przejaw poprawiających się w ostatnich latach stosunków polsko-litewskich. W ostatnich dniach zaczęto współpracę wojskową między naszymi krajami, status sceny zawodowej zyskał polski teatr funkcjonujący w litewskiej stolicy od dekad, w ub.r. weszły w życie przepisy dotyczące pisowni polskich nazwisk w litewskich dokumentach, a premier Litwy zapowiada, że język polski może stać się drugim językiem obcym nauczonym w szkołach. Polska i Litwa to państwa o wielowiekowej wspólnej historii, o zbliżonych interesach zarówno politycznych, jak i gospodarczych. To stolica polskiego romantyzmu, który piórem Mickiewicza, Słowackiego, Krąszewskiego i nutami Moniuszki przyczynił się do przetrwania polskości przez stworzenie nierozwalnej międzypokoleniowej wspólnoty kultury i języka.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA



Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

**śp.
Miroslawy Masłowskiej**

**Mamy
Posła Artura Szalabawki**

Odeszła osoba prawa i skromna.

*Emerytowana chirurg w Miejskim Szpitalu Dziecięcym
w Szczecinie i była dyrektor Wojewódzkiej Stacji
Sanitarno-Epidemiologicznej.*

*Całym sercem oddana Pomorzu Zachodniemu, wieloletnia radna
miejska Szczecina, posłanka V i VI kadencji Sejmu RP,
odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski*

**Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia**

*Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów*

64/0523/F

Przykrywanie rocznicy

Są takie chwile w życiu polityka, które bardzo chce zapomnieć. Tak bardzo, że zrobi naprawdę wiele, żeby w powszechnej świadomości społecznej zastąpić je wydarzeniem i hasłami całkowicie odmiennymi od pierwotnie zapamiętanych.

Tak jest w przypadku 4 czerwca i próby nadpisania przez towarzystwo nocnej zmiany tego dnia, żeby broń Boże nie kojarzyło się Polakom z zamachem na ich wolność. Żeby to zrozumieć, kluczowe jest zrozumienie, że historyczne wydarzenia z 1992 r. to nie była zwyczajna polityczna gra na zmianę jednej ekipy rządzącej na drugą. Ot, nowe rozdanie kart.

Polska w 1989 r. przechodziła dopiero z jednego systemu do drugiego i było to przejście częściowe (dokładnie w 35 proc.), bo pełne zerwanie z antydemokracją, która zniewoliła Polaków na pół wieku, miało miejsce dopiero dwa lata później, w 1991 r. Wtedy to jako naród mogliśmy w pełni demokratycznie wybrać swoich przedstawicieli i zrobiliśmy to, stawiając na zmianę, dekomunizację i odcięcie się od Ruskich. Z tej drogi zawróciła nas właśnie tzw. nocna zmiana. Udział w niej osób takich jak Waldemar Pawlak, Lech Wałęsa i Donald Tusk jest jednoznaczny. Ci panowie – niezależnie od pobudek, któ-

rymi się kierowali – zatrzymali wtedy wolną Polskę i z tramwaju „wolność” wysadzili nas na przystanku „układ”. To jest fakt, którego wcześniejsze wydarzenia, których Polacy byli świadkami w 1989 r., nic już nie zmieni. Widać to jeszcze mocniej teraz, gdy obrazy wściekłego Wałęsy na trybunie sejmowej z 1992 r. zastąpiły ujęcia zdenerwowanego Tuska tuż po przegłosowaniu projektu o komisji derusyfikacyjnej z 2023 r.

Z tej perspektywy marsz 4 czerwca – wydarzenie stricte polityczne, bo przecież (biorąc pod uwagę, że bycie antypissem nie niesie za sobą żadnej realnej treści) nie tożsamościowe – jest wydarzeniem nijakim, które raczej nie zapisze się na kartach historii. Jeśli już, to jako kolejny epizod, którego celem jest zamazanie prawdziwej historii Polski. Ich krzyki o „wolności”, którą sami trzy lata po wyborach kontraktowych tak brutalnie zagłuszyli, są tyle warte co wrzaski ulicznego rzezimieszka „Łapać złodzieja!” tuż po tym, jak się samemu sąsiadkę okradło.

Autor jest dyrektorem TVP Info



Samuel Pereira

Nie liczyć godzin i lat

Z piosenkarzami Danutą Błażejczyk i Andrzejem Rybińskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Przed nami 60. edycja KFPP w Opolu. Kiedy pierwszy raz wzięliście udział w festiwalu?

Danuta Błażejczyk: Jako Danuta Błażejczyk wystąpiłam w Opolu w 1985 r. Siedem lat wcześniej byłam w chórk Maryli Rodowicz.

Andrzej Rybiński: U mnie to był 1972 r. – z zespołami 2 plus 1 oraz Andrzej i Eliza. Potem już tylko jako Andrzej i Eliza.

Jubileusz prowokuje, by sięgnąć jeszcze głębiej w przeszłość. Jak pamiętacie Opole sprzed doświadczeń na scenie?

D.B.: Całe rodziny (często także zapraszając sąsiadów) oglądały festiwal. Na jednym małym telewizorze. Opolskie występy mocno się przeżywało, a przeboje od razu wpadały w ucho i wszyscy je nuciłiśmy.

A.R.: Wielkie wrażenie zrobił na mnie pierwszy występ Czarnej Madonny pol-

skiej sceny muzycznej, czyli Ewy Demarczyk. Uwielbiałem jej „Groszki i róże”. Przepiękne były też piosenki Sławy Przybylskiej, choćby „Pamiętasz, była jesień”, ale najbardziej interesowały mnie tzw. młode klimaty: Czerwone Gitary, zespół No To Co (w którym na gitarze basowej grał mój brat).

Co i kiedy teraz zaśpiewacie?

D.B.: W niedzielę 11 czerwca wystąpimy w finałowym koncercie „Ale to już było. Jest. I będzie!”.

A.R.: Bardzo liczę na „dynamit” Danusi, żeby w tych piosenkach słysać było energię. Chociaż na początku będę łagodził jej temperament w „Pocieszance”. Potem przyjdzie „Czas relaksu”, a na finał zaśpiewamy „Nie liczę godzin i lat”.

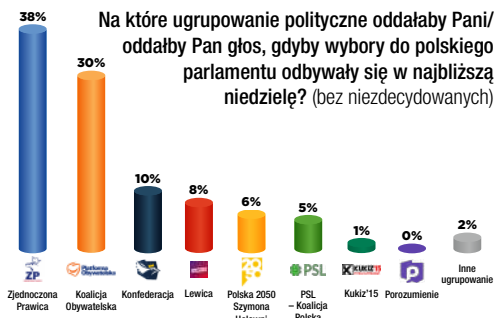
D.B.: Myślę, że całe Opole zaśpiewa z nami.



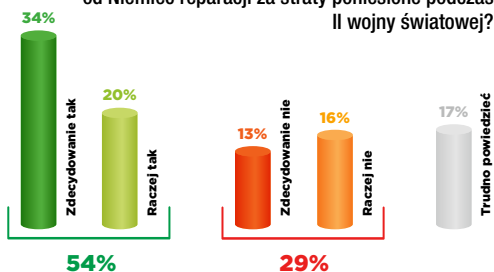
Fot. Pika Mieszko/ARPA



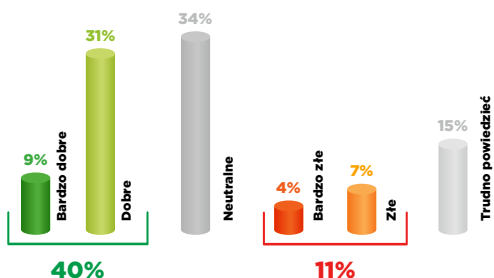
pracownia
Social Changes
dla
wPolityce.pl



Czy Polska powinna kontynuować starania o uzyskanie od Niemiec reparacji za straty poniesione podczas II wojny światowej?



Jakie są relacje pomiędzy Polakami i Ukraińcami w Pani/Pana najbliższym otoczeniu?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1038. Zakres czasowy badania 26-29 maja 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA ŁABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
WAŁASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TYTUŁACZNIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. WIKTORIJA, FRATRIA, Ł. OSTALSKI, SKRIPPER, D. SMOLIK, UKRAJINFORM/
EAST NEWS, MAT. PRAWO, SHUTTERSTOCK



O tym, że Donald Tusk, będąc premierem RP, prowadził prorosyjską politykę, wiemy już doskonale. Ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego tak było? I to właśnie będzie zaprzętać głowy członkom specjalnej komisji badającej wpływy Moskwy na polskich decydentów. Lider Platformy Obywatelskiej panicznie boi się tej prawdy

Dla czego?



MAREK PYZA MARCIN WIKOŁ

Skąd ten bezprecedensowy popłoch w szeregach Platformy Obywatelskiej i jej sympatyków? Tomasz Grodzki z Adamem Michnikiem szukają analogii do ustaw norymberskich i bolszewizmu. Naczelný zapiewają Tuśka z dziennikarskiego marginesu fantazjuje o komorach dla prezydenta i prezesa PiS. W ciągu 30 godzin od podpisu Andrzeja Dudy pod ustawą o komisji przedstawiciele opozycji organizują w Parlamencie Europejskim kolejną debatę o sytuacji w Polsce (na którą prawie nikt nie przychodzi). Wdrażany jest protokół: zagranica i ulica – do marszu Tuśka przyłączają się niespodziewanie również Szymon Hołownia z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem.

Lider PO realnie boi się tego, co pokaże Polakom państwowa komisja ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022. Jego niespokojny wzrok na sejmowej galerii, gdy ostatecznie przyjmowano ustawę, nie był przypadkowy. Czego się obawia? Przecież nie zakazu kandydowania w wyborach – komisja nie będzie miała uprawnień do nakładania takich kar. Ani jakichkolwiek innych sankcji – bo te musiałby jeszcze przecież zaakceptować sąd.

Chodzi o to, co Polacy sami zobaczą, usłyszą i z czego wyciągną własne wnioski. O przypomnienie licznych decyzji na korzyść Rosji podejmowanych przez Tuśka i jego otoczenie, o beztrioskie

przyzwalanie na wzmacnianie neoimperialnego mocarstwa. A może o to, skąd pomysł na reset w relacjach polsko-rosyjskich i przede wszystkim o rolę Niemiec w skłonieniu Warszawy do zmiany stanowiska nawet za cenę wystawienia na szwank bezpieczeństwa Polski. Bo przecież biznes na linii Berlin–Moskwa był, jest i będzie w tym wszystkim najważniejszy.

Przeszłość jest piętą achillesową Tuśka. Jednak po 24 lutego 2022 r. najbardziej ciąży mu polityka zagraniczna, zdominowana przez podległość wobec Berlina i sprzyjanie interesom Rosji

Czy Zachód czegośkolwiek się nauczył? Czy zbrodnie w Buczy i Mariupolu przyniosły otrzeźwienie? Emmanuel Macron, prezydent Francji, która wraz z Niemcami trzęsie Unię Europejską, już snuje plany częściowego rozbrojenia wschodniej flanki NATO. To dlatego Polsce jest potrzebny rząd, który nie da się zwasalizować. Byśmy nie musieli odliczać dni do następnej rosyjskiej agresji.

KTO CHCIAŁ RESETU?

„Ja chcę ludzi przekonywać nie roztrząsaniem przeszłości, tylko tym, co mam do zaproponowania teraz” – mówił Tuśk przed tygodniem w „Newsweeku”. To logiczne. Przeszłość jest jego piętą achillesową. Najchętniej wymazałby nam z pamięci okres swojego premierostwa – emigrację milionów Polaków, podnoszenie podatków, wy-

dłużanie wieku emerytalnego, złote czasy mafii VAT-owskich. Jednak po 24 lutego 2022 r. najbardziej ciąży mu polityka zagraniczna, zdominowana przez podległość wobec Berlina i sprzyjanie interesom Rosji.

Jesienią wybierzemy władze na kolejne cztery lata, które – możemy być tego pewni – będą zdeterminowane przez agresywną postawę Moskwy niezależnie od wydarzeń na Ukrainie. Dlaczego zatem mielibyśmy nie zastanawiać się nad tym, która z walczących o nasze głosy ekip jest gwarantem suwerennej polityki, bezkompromisowej wobec kremłowskiego zbrodniarza? Jesteśmy w doskonałej sytuacji, w której możemy porównać osiem lat rządów jednych i drugich (zakres prac komisji to lata 2007–2022). I pochylić się nad tym, czy zamieszczane w 2008 r. przez rosyjską prasę nagłówki o „ich człowieku w Warszawie” miały uzasadnienie, czy też rację mają ci, którzy konstruują dziś karkołomną tezę, jakoby badająca rosyjskie wpływy komisja miała być... dowodem na prorosyjskość obozu Zjednoczonej Prawicy.

Tegoroczne wybory muszą ogniskować się wokół kwestii bezpieczeństwa, to naturalne. Będą przebiegać w czasie trwającej za naszą granicą wojny. Ktoś do niej doprowadził, ktoś w tym pomógł, prowadząc przez lata politykę prorosyjską. A wiedział już przecież, do czego zdolny jest Putin.

15 lat temu w polskiej polityce dokonał się zasadniczy i śmiertelnie niebezpieczny zwrot. Jeszcze w 2005 r. wydawało się, że czasy flirtu z Moskwą odeszły bezpowrotnie w przeszłość, gdy władzę straciło SLD. Dwa lata rządów Prawa i Sprawiedliwości zmieniły wektory w naszej strategii międzynarodowej. Ale w 2007 r. ster państwa przejęła Platforma, której polityka zagraniczna przybrała niespodziewany kierunek.

Donald Tuśk nie wymyślił tego sam ani nawet wspólnie z Radosławem Sikorskim.

Ukuli historyjkę, że dzięki ucywilizowaniu Rosji i zacieśnieniu z nią stosunków Polska stanie się przykładem dla świata, a oni przejdą do historii. I przejdą, ale nie w taki sposób, jak by sobie tego życzyli.

Dziś wspierający Platformę popularny portal o niemieckiej proveniencji dorabia fałszywe alibi – i Tuskowi, i Angeli Merkel, która przez lata układała się z Putinem, narzucając to samo polskiemu rządowi. W Onecie czytamy: „W rzeczywistości reset był wpisany w trend, narzucony 15 lat temu przez ekipę Baracka Obamy i Joe Bidena, który był wówczas wiceprezydentem. Moskwa przewidywalna i w jakiś sposób kontrolowalna była potrzebna Stanom Zjednoczonym, bo Ameryka wiedziała, że główny wróg to Chiny. W takich okolicznościach do władzy w Polsce doszła Platforma, której dyplomacją przez siedem lat kierował Sikorski”.

Autor tego kłamstwa być może liczył na intelektualne ubóstwo swoich czytelników albo na ich słabą pamięć. Fakty są bowiem takie, że pierwszy ciemnoskóry amerykański prezydent objął urząd dopiero w styczniu 2009 r. Słynne spotkanie jego sekretarza stanu Hillary Clinton z Siergiejem Ławrowem nad Jeziorem Genewskim (gdy podarowała rosyjskiemu ministrowi przycisk „reset”, który wspólnie przed kamerami wcisnęli) odbyło się dopiero w marcu 2009 r. A Tuskiowy reset był realizowany już w lutym 2008 r., gdy polski premier pojechał z wizytą do Moskwy, zanim jeszcze udał się do Kijowa.

Zbliżenie ekipy PO z Putinem musiało więc być funkcją podległości wobec innego silnego ośrodka zewnętrznego – Berlina. Wszak to Niemcy narzuciły partnerstwo z Rosją całej Unii Europejskiej, uzależniały kontynent od rosyjskich surowców, machały ręką na własne zbrojenia, pomagały zbroić się Kremłowi, a rząd Donalda Tuska chciał w tym samobójczym spektaklu odgrywać rolę prymusa.

Im dalej jesteśmy od tamtych wydarzeń, tym lepiej widać, jakim szaleństwem była taka polityka. Zwłaszcza po wojnach Putina w Czeczenii i Gruzji. Ekipa PO-PSL nie otrzeźwiała ani po Smoleńsku, ani po ataku Rosji na Donbas i Krym w 2014 r., po którym Tusk mówił: „[...] ja bym nie chciał, by Polska była w jakiejś

awangardzie antyrosyjskiej czy krucjacie antyrosyjskiej [...] z całą pewnością Polska – póki ja będę o tym współdecydował – nie będzie krajem jakiegś właśnie takiej agresywnej koncepcji antyrosyjskiej.”

I w jego czasach rzeczywistość nie była. Czy dziś Tusk boi się, że specjalna komisja odkryje jego prawdziwe motywacje? To dla szefa PO w dwójnasób niebezpieczne. Ze szczegółowych badań nastrojów społecznych wynika bowiem (pisaliśmy o tym niedawno w „Sieci”), iż nawet część elektoratu PO obawia się, że powrót tej partii do władzy oznaczać będzie uzależnienie naszego kraju od Niemiec.

Takie wypowiedzi jak niedawna wiceprezydenta Wrocławia w niemieckim konsulacie nie rozwiewają tych niepokojów. „Chcę was zapewnić, że wkrótce na-

Dziś wspierający PO popularny portal o niemieckiej proveniencji dorabia fałszywe alibi – za resetem z Rosją miała stać ekipa Obamy – i Tuskowi, i Merkel, która przez lata układała się z Putinem, narzucając to samo polskiemu rządowi.

dejda dni, kiedy Polska znowu zacznie się uśmiechać. A wiecie, do kogo uśmiechnie się jako pierwsza? Do Niemiec! Trzymajcie kciuki za Polskę, trzymajcie kciuki za Wrocław! Zwyciężymy!” – cieszył się na imprezie u Niemców Sebastian Lorenc.

OTWIERANIE DRZWI ROSJI

Gdy 23 listopada 2007 r. premier Tusk zapowiadał najpierw ograniczenie, a od 2009 r. całkowitą likwidację obowiązkowego poboru do wojska i profesjonalizację sił zbrojnych, wydawało się, że rozumie, w jakim jesteśmy położeniu. „Armia zawodowa jest potrzebna Polsce jak najszybciej, bo zmienił się charakter zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa” – przekonywał Tusk w sejmowym exposé. Kogo ucieszyła ta deklaracja? Zapewne

wielu młodych mężczyzn czekających na dziewięciomiesięczne powołanie w kamazie. No i może jeszcze Kreml, bo było jasne, że tak poważna transformacja nie może przebiegać bez potknięć, co musiało rzutować na mobilność całego NATO na wschodniej flance. Dlatego politycy opozycji zadawali premierowi Tuskowi wiele pytań, przede wszystkim o przygotowanie i źródła finansowania tego skomplikowanego procesu, dla którego w zasadzie nie przewidziano żadnego okresu przejściowego (PiS proponował wygaszenie poboru do 2012 r.). Szybko okazało się, że to były słuszne obawy.

Nawet w ocenie gen. Stanisława Kozieja (późniejszego szefa BBN w kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego) minister Bogdan Klich błędnie założył, że pieniądze na uzawodowienie armii znajdzie w budżecie przeznaczonym na modernizację techniczną. Dziś trudno sobie wyobrazić, że mogłoby zabraknąć funduszy na obronność. Nawet przyjmując, że były to zupełnie inne czasy, to należy podkreślić, że rząd Tuska nie realizował dużo mniej ambitnych założeń w tej kwestii. „Finansując Siły Zbrojne w latach 2008–2015, systematycznie naruszano ujęte w ustawie z 2001 r. zobowiązanie do przeznaczania na cele obronne 1,95 proc. PKB. Tymczasem w okresie rządów Platformy Obywatelskiej i PSL poziom finansowania potrzeb obronnych zawierał się w przedziale od 1,69 proc. do 1,93 proc. PKB. Ani razu nie osiągnął obowiązkowej ustawowej wysokości 1,95 proc.” – czytamy w opracowaniu przygotowanym po przejęciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę.

Finanse to jedno, ale przecież likwidacja przymusu spowodowała też, że (mimo ambitnych zapowiedzi – 120 tys. żołnierzy) armia zaczęła się kurczyć. Brakowało też personelu, bo nie zadbano o system zachęt motywacyjnych. Mimo to następca Klicha Tomasz Siemoniak do dziś nie widzi nic złego w likwidacji jednostek wojskowych. „Zawieszono pobór w 2009 r., likwidowano różne jednostki, łączono, przenoszono, to jest absolutnie naturalne” – zapewniał w wywiadach szef MON. To zatrważające, ale za rządów PO-PSL zlikwidowano 629 jednostek organizacyjnych Sił Zbrojnych RP – taką informację



Fot. Bartosz Krupa/EasNews

podał w jednym z podsumowań obecny minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak. Jeszcze bardziej na wyobraźnię powinna działać przedstawiona wówczas mapka z lokalizacjami rozformowywanych jednostek. Działo się tak w całym kraju, ale musi zastanawiać osłabianie wojska na wschód od Wisły, m.in. w Ciechanowie, Legionowie, Siedlcach, Braniewie, Elblągu czy Przemysłu.

Czy takie rozbrajanie wojska polskiego kogokolwiek w gabinecie premiera Tuska martwiło? Absolutnie nie, bo przecież wojny w Europie miało nie być przynajmniej przez najbliższe 20 lat – tak stoi w oficjalnych analizach dla MON. A opinie o zagrożeniu ze strony Rosji odpędzono jak natrętą muchę.

STRATEGIA SOJUSZNICZA?

Analizując to po latach, można stwierdzić, że niedostrzeżenie zagrożenia i bezgraniczne zaufanie do Rosji wypływało z samych trzewi Platformy Obywatelskiej. Ci politycy tak po prostu myśleli – od samych szczytów po partyjne doły. Donald Tusk zarządził reset z Rosją, by móc w Europie opowiadać, jak oswoił moskiewskiego niedźwiedzia, a cała jego formacja szła w to bezkrytycznie. I kompletnie bezrefleksyjnie.

W 2009 r. Radosław Sikorski, szef MSZ (wówczas rozważano jego kandydaturę na szefa paktu północnoatlantyckiego!) wygłosił na uniwersytecie w Toruniu wykład wprowadzający do debaty kopernikańskiej. Mówiąc o przyszłości NATO, zaznaczał kolejne wyzwania, z którymi należy się mierzyć, m.in. terroryzm i prob-

lem ekologii. „Potrzebujemy Rosji do rozwiązywania europejskich i globalnych problemów. Dlatego za słuszne uważam przyjęcie jej do NATO. Wymogłoby to na niej nie tylko demokratyzację systemu, lecz także wprowadzenie cywilnej kontroli nad armią i konieczność wyciszenia sporów granicznych” – mówił Sikorski. Podkreślił, że polityk chciał wprowadzać Moskwę do grona stolic o największym zaufaniu zaledwie rok po najechnięciu Gruzji przez rosyjskie czołgi.

Niedługo później doszło do katastrofy smoleńskiej, która też nie zapaliła politykom PO czerwonych lampek. Więcej, śledztwo w sprawie śmierci prezydenta oraz towarzyszącej mu delegacji powierzono Rosjanom niczym godnym zaufania sojusznikom. Od początku było ono atrapą, polskie władze o tym wiedziały. A mimo to kilka miesięcy później prezydent Bronisław Komorowski wesółkowato chwalił się wspólną z Dmitrijem Miedwiediewem wódeczką ze śledziem jako rzekomą polską tradycją bożonarodzeniową.

W marcu 2014 r. Rosja poszła dalej, po raz pierwszy najechała Ukrainę, zabierając jej Krym. A jednak, gdy osiem miesięcy później prezydent Komorowski podpisywał nową strategię obronną RP, nie odważył się nazwać rzeczy po imieniu. „Relacje Rosji z Zachodem pozostaną ważnym czynnikiem oddziałującym na bezpieczeństwo Polski, regionu i Europy. Odbudowywanie mocarstwowości Rosji kosztem jej otoczenia oraz nasilanie się jej konfrontacyjnej polityki, czego przykładem jest konflikt z Ukrainą, w tym aneksja Krymu, negatywnie rzutuje na stan bezpieczeństwa w regionie” – napisano

w dokumencie z 5 listopada 2014 r. Nie ma słów „agresja” ani „wojna”, jest miękki zwrot „konfrontacyjna polityka”, a także „konflikt z Ukrainą”, co mogłoby sugerować takie samo zaangażowanie obu jego stron. Przypadek? Nie, to konsekwentna polityka niedrażnienia Moskwy.

Przedstawiając w Sejmie raport po rządach PO-PSL, szef MON Antoni Macierewicz przypominał, że niektóre strategiczne decyzje w obszarze obronności jego poprzedników były dyktowane obawą o reakcję Rosji. W sierpniu 2015 r. MON Siemoniaka negatywnie zaopiniował premierowi Tuskowi przeprowadzenie na terenie Polski ćwiczeń z sojusznikami z NATO. „Dlaczego? Ano kierownictwo MON zakwestionowało podstawy zakładanego scenariusza ćwiczeń, dlatego iż przewidywał on, że w ich trakcie będzie możliwość odwołania się do art. 5 traktatu waszyngtońskiego, a wy uważaliście, że to zdenerwuje Rosję” – relacjonował Macierewicz. „Z takich samych powodów odmówiono udziału polskich żołnierzy w szkoleniach armii ukraińskiej zorganizowanych w 2015 r. w Jaworowie przez armie Stanów Zjednoczonych, Kanady i Wielkiej Brytanii. Dlaczegoż to zrobiliście? [...] Ano dlatego, że uważaliście, że to się nie spodoba Federacji Rosyjskiej”.

Na wojskowych odprawach politycy PO wielokrotnie powtarzali, że jedyną gwarancją naszego bezpieczeństwa są dobre relacje z NATO. Takie deklaracje w zasadzie powinny Rosję drażnić, gdyby... szły za tym czyny. A z tym bywało już różnie. Nie posłuchano Waszyngtonu, czyli najsilniejszego z sojuszników, gdy

odradzał reformę polskiego systemu dowodzenia. I stworzono niezły pasztet – za wyszkolenie w czasie pokoju odpowiadało jedno dowództwo, a za prowadzenie działań w czasie ewentualnej wojny – drugie. Prosty żołnierz miał kłopot, nie wiedział, od czego jest dowództwo operacyjne, od czego dowództwo generalne, a od czego sztab. A jeśli chaos pojawia się w szeregach wojska należącego do paktu północnoatlantyckiego, to w Moskwie nikt nie będzie tego potępiał.

Ten brak podmiotowości w strategicznym obszarze wojskowości, a więc bezpieczeństwa państwa, był widoczny na każdym poziomie. Nawet gdy Tomasz Siemoniak miał dobry pomysł stworzenia w wojsku formacji ochotniczej na kształt amerykańskiej Gwardii Narodowej, odezwała się krytyka z wewnątrz obozu ówczesnej władzy, a Jacek Żakowski w TOK FM grzmiał, że stworzenie oddziałów, które będą przypisane do swojego terytorium, to katastrofa. „Siemoniak przeraża mnie bardziej niż Macierewicz” – mówił publicysta. Ostatecznie wtedy z polskiej gwardii nic nie wyszło. Przekora polega na tym, że to przeklinany Antoni Macierewicz stworzył kilka lat później Wojska Obrony Terytorialnej, oddziały chwalone za zaangażowanie i działające skutecznie blisko swojego domu, na terenach dobrze sobie znanych. To pomysł, który wielokrotnie był piętnowany w medialnym przekazie płynącym z Rosji nie tylko przez dziennikarzy sprzyjających Tuskowi i jego partii, lecz także polityków.

Uderzające w nasze bezpieczeństwo działania w dziedzinie wojskowości to być może najważniejszy obszar, którym powinna zająć się specjalna komisja.

OD MCCARTNEYA DO AUSCHWITZ

W czasie ubiegłotygodniowej debaty w Parlamencie Europejskim prorosyjska posłanka z Irlandii Clare Daly wykrzykiwała, że polska komisja będzie dokładnie takim samym nakręcaniem teorii spiskowych jak śledztwo PE dotyczące obcych wpływów (w tym rosyjskich) i korumpowania brukselskich urzędników. Histeryzowała, że „paranoja kontrwywiadowcza stanowi erozję wartości demokratycznych i praworządności”. Ten egzotyczny głos

to – zapewne wbrew intencjom Irlandki – niezłe uzasadnienie dla konieczności wyświeatlenia rosyjskich macek w państwach Zachodu. Ku zaskoczeniu wszystkich na sali (a wielu ich nie było), były SLD-owski premier Marek Belka zapytał Daly schodzącą z mównicy: „Ile ci Putin zapłacił?”

Eurodeputowana piekliła się też, że polskie władze idą na szaloną wojnę i chcą stygmatyzować całe grupy społeczne oraz opozycyjnych polityków w duchu makartyzmu. To nawiązanie do działającej w latach 50. XX w. okrytej złą sławą amerykańskiej komisji senackiej, która zamiast tropić komunistów, zamieniła się w działające poza prawem ciało do inwigilacji przeciwników politycznych.

Jeśli więc takie zarzuty stawia akurat posłanka Daly, która w przeszłości wie-

Zarządów PO-PSL zlikwidowano 629 jednostek organizacyjnych Sił Zbrojnych RP. Działo się tak w całym kraju, ale musi zastanawiać osłabianie wojska na wschód od Wisły

lokrrotnie dała się poznać jako reprezentantka interesów Moskwy w Brukseli – m.in. protestowała przeciw sankcjom na Rosję i dostawom broni na Ukrainę – to jasny sygnał, że ktoś chce nadeprnąć Putiniowi na odcisk.

Co ciekawe, podobnych argumentów używa polska opozycja, i to przy współudziale amerykańskiego ambasadora Marka Brzezinskiego, który ruszył do TVN24 z oświadczeniem potępiającym decyzję parlamentu i prezydenta o powołaniu komisji. Posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz napisała: „USA obawiają się, i słusznie, że bolszewicka komisja #lexTusk może być nadużywana do ingerowania w wolne wybory. Mają swoje zło doświadczenia z komisją McCarthy’ego, a o sprzyjanie Rosji trudno ich posądzić” – to druga wersja wpisu pani poseł. W pierwszej opowiadała internautom o „komisji McCartneya”, co wzbudziło

liczne prześmiewcze pytania, czy w komisji owej zasiadali również Lennon, Harrison i Starr.

Energiczna parlamentarzystka KO zyskałaby może nawet większy rozgłos swoim komentarzem, gdyby nie Tomasz Lis, który posunął się do wyjątkowej nieczemności, pisząc: „Znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora”.

Przybocznym Tuska puszczają nerwy. To objaw przerażenia, że Polacy mogą z obrad komisji dowiedzieć się za dużo. Zwracał na to uwagę na spotkaniu w Polczynie-Zdroju Andrzej Duda. „[...] rosyjskie wpływy, dzisiaj bardzo wyraźnie widoczne w naszych mediach, w tych różnych panicznych krzykach, wypowiedziach i wyzwiskach, które w tych mediach padają. Ten strach świadczy o tym, jak te rosyjskie wpływy były wielkie i jak bardzo niektórzy się boją, że te wpływy m.in. dzięki tej komisji na przyszłość się zakończą. Bo ludzie, którzy tym wpływom ulegali, po prostu będą musieli odejść z naszego życia publicznego. Nie na skutek tego, że zostaną przez kogoś skazani przez jakiś organ czy sąd. Nie! Że zostaną odsunięci przez wyborców, przez obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, którzy na własne uszy usłyszą, co oni mają do powiedzenia – jakie były ich działania, jakie były ich motywacje i co oni robili. Bo nie wszystko w życiu politycznym widzicie państwo. Wiele rzeczy dzieje się pod powierzchnią. Ja chcę, żeby to zostało spod tej powierzchni wydobyte, bo opinia publiczna w Polsce na to zasługuje”.

Wiele już odkryto. Znamy kulisy m.in. podpisania haniebnego kontraktu gazowego przez rząd PO-PSL. Wiemy o planach wpuszczenia Rosjan do strategicznych polskich przedsiębiorstw. Trudno pogodzić się z tym, jak ochoczo ekipa Tuska ramię w ramię z Moskwą zabagniali prawdę o tragedii smoleńskiej. Wszystko by – nawet igrając z bezpieczeństwem Polski – nie przeszkadzało w niemieckich interesach na Wschodzie.

Dla czego Tusk to robił? Aż trudno uwierzyć, że tylko dla własnej kariery. O co jeszcze tu chodziło? Co go motywowało do tak zdradliwej polityki? Czy Polakom nie należą się odpowiedzi na te pytania?

Marszami wyborów się nie wygrywa

Jeżeli będziemy zjednoczeni, damy z siebie wszystko, będziemy realizować swój plan i nie damy się wybić z rytmu, to jestem więcej niż pewien, że Prawo i Sprawiedliwość zwycięży zdecydowanie

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z *Tomaszem Porębą*, posłem do Parlamentu Europejskiego, szefem sztabu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości

Niecałe pięć miesięcy do wyborów, a emocje już rozgrzane, opozycja coraz mocniej je podkręca. Jaka to będzie kampania?

Tomasz Poręba: To będzie najtrudniejsza, najbardziej brutalna wyborcza walka po 1989 r. – bo stawka jest największa. Walka idzie o przyszłość, o suwerenność i rozwój naszej ojczyzny. Albo będzie nadal rządził obóz prezesa Jarosława Kaczyńskiego i kierunek budowy zamożnej, silnej gospodarczo i militarnie, ambitnej i pewnej siebie Polski, albo wróci to, co było przed 2015 r. Czyli lekceważący stosunek do państwa polskiego i majątku narodowego, pogardliwy wobec zwykłego człowieka, służalczy wobec zewnętrznych interesów, nędza milionów. Nie mamy złudzeń: nasi polityczni przeciwnicy nie cofną się przed niczym.

Jaki macie w tej sytuacji plan na najbliższe miesiące?

Idziemy wytyczonym kursem, realizujemy strategiczny plan przygotowany jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, w bardzo trudnym czasie. Wtedy wielu składało już nas do politycznego grobu, także niektórzy w naszych szeregach, co po ludzku rozumiem, że popadali w zwątpienie w obliczu piętrzących się wtedy trudności. Pierwszym zadaniem było przywrócenie nadziei, pewności siebie, zorganizowanie sztabu, ożywienie struktur.

Jak to wyglądało w szczegółach?

Styczeń i luty to przede wszystkim przypomnienie, na czym polegała polityka

Donalda Tuska, zwłaszcza relacje z Rosją i Niemcami. Zadaliśmy wtedy Tuszkowi 10 pytań, na które do dziś nie umiemy odpowiedzieć, choć dotyczą spraw tak fundamentalnych, jak umorzenie ponad 1 mld zł długu Gazpromowi, uzależnianie Polskę umowa gazowa, dopuszczenie do powstania gazociągu Nord Stream, a zablokowanie budowy Baltic Pipe, plan sprzedaży rafinerii Możejki i Lotosu Rosjanom, niedofinansowanie i zwijanie Wojska Polskiego, zwłaszcza na wschodzie, oddanie śledztwa smoleńskiego w ręce Rosjan. Kolejnym krokiem była wielka rozmowa z naszymi rodakami, rozjechaliśmy się wszyscy po całym kraju, to było ogromne przedsięwzięcie. Wszystkie głosy, emocje, pretensje, pochwały i oczekiwania zebraliśmy, uważnie przeanalizowaliśmy. Finałem był majowy „ul programowy”, bardzo udana, merytoryczna konwencja, zakończona trzema „konkretami Kaczyńskiego”.

Przypomnijmy: to waloryzacja od nowego roku powszechnego świadczenia wychowawczego z 500 na 800 zł, bezpłatne przejazdy autostradami, darmowe leki do 18. roku życia i od 65. roku życia. Część publicystów i ekspertów dowodzi jednak, że echo tych propozycji było słabsze, niż oczekiwałeś. Czy pan też tak uważa?

To bzdury. Tego typu negatywna wobec propozycji z ula narracja była od początku inspirowana przez naszych przeciwników, zwłaszcza medialnych, co *de facto* potwierdzało, że nasze propozycje były trafione. Zasypano ludzi

sondażami, że rzekomo to się nikomu nie podoba, nikt tego nie chce. Ale skoro tak, to dlaczego Donald Tusk próbował licytacji co do terminu wprowadzenia 800+? Tak. Chaotyczna, nerwowa reakcja naszych przeciwników pokazała, jak bardzo „konkrety Kaczyńskiego” trafiły w oczekiwania Polaków. Mnie to nie dziwi, bo one są wynikiem naszej rozmowy z Polakami. Każdy, kto zajmuje się dłuższą polityką, wie, że tego typu propozycje też potrzebują czasu. Ludzie zapoznają się ze szczegółami, rozmawiają o tym w rodzinach. Dziś nasze badania pokazują, że to był strzał w dziesiątkę. Ludzie widzą to również w kontekście realizowanych już przez nas znanych programów społecznych, wiedzą, że jak coś zapowiadamy, to zrobimy. W przypadku 800+ ważna jest też putinflacja, której skutki ta waloryzacja na pewno częściowo zniweluje.

Nie obawia się pan, że ta licytacja Tuska jednak okaże się skuteczna?

Nie, bo nikt mu nie wierzy. Wszystkie badania pokazują, że poza kręgiem absolutnych wyznawców Polacy uważają go za polityka niewiarygodnego, za to Prawo i Sprawiedliwość jest w oczach nawet nam niechętnych wyborców bardzo wiarygodne. Swoją nagłą woltą – bo przecież wcześniej wyzywał polskie rodziny korzystające z 500+ od niepracujących pijaków, mówił o rozdawnictwie, a nagle zaczął obiecywać podwyżkę – Tusk wprowadził ogromną dezorientację w swoich szeregach. Jego wyborcy są rozedrgani, skonfundowani, czują się upokorzeni, bo wierzyli we wcześniejszą

propagandę, że programy społeczne to zło. Mam w oczach taki obrazek z badań, gdy pytamy zwolenników PO, co o tym sądzi. Odpowiadali rozeźleni: „Dajcie spokój, prosimy, o to nie pytajcie”. To dla nich bolesny temat, czują się oszukani przez Tuska. Zaczynają się między sobą zastanawiać, czy zarzuty, że jest hochsztaplerem, nie są prawdziwe.

Jaki macie dalszy plan kampanii?

Mamy to bardzo precyzyjnie rozpisane. Sukcesywnie będziemy odkrywać kolejne karty naszego programu, równie mocne, trafiające w oczekiwania społeczne. Pod koniec czerwca odbędzie się kolejne duże wydarzenie. Chcemy jeszcze mocniej pokazać, że jesteśmy gotowi na trzecią kadencję, chcemy te wybory wygrać.

Jak ocenia pan działalność sztabu PO?

Szczerze mówiąc, nie za bardzo dostrzegam działalność sztabu Platformy, nie bardzo go widać, ale też za bardzo się nie przyglądam. Powtarzam: musimy skupiać się na naszej ofercie, bezpośrednim dotarciu do Polaków, którzy ciężko pracują, mają rodziny, chcą bezpieczeństwa i dobrej przyszłości.

Pisaliśmy niedawno w tygodniku „Sieci” o wielkim biznesie, który rzuca miliony przeciw PiS. Czy nie dostrzega pan ryzyka finansowania kampanii opozycji przez takie działania? Pamiętamy w ten sposób stworzony „Sok z buraka”, gdzie w ostatniej kampanii samorządowej produkowano obrzydliwe kłamstwa, powielane w milionach odsłon.

To już się dzieje. Jest część biznesu, który będzie starał się wspierać PO. Z prostego powodu: za Tuska praca była tania jak barszcz, pracownicy się nie liczyli, z podatkami też można było kombinować. Mafie paliwowe i VAT-owskie straciły miliardy, też chcą powrotu złotych czasów. Kolejnym źródłem takich wątpliwych pieniędzy będą instytucje europejskie, które futrują finansowo różne organizacje mające podprogowo wspierać opozycję. Są wreszcie media opozycyjne, telewizje, portale, gazety,

potężne, bogate, agresywne, przypominające coraz bardziej sztaby opozycji. Przeciwnik jest więc groźny, nie należy go lekceważyć. Ale tak jest nie od dzisiaj, bo gdybyśmy rywalizowali tylko z partiami opozycyjnymi, byłbym zupełnie spokojny o wynik. Niestety, naszym głównym dziś przeciwnikiem jest bardzo mocno rozbudowany front medialny na czele z TVN i obcymi portalami, sącący często bardzo kłamliwą narrację o tym,

Zasypano ludzi sondażami, że rzekomo 800+ nikomu się nie podoba, nikt tego nie chce. Ale skoro tak, to dlaczego Donald Tusk próbował licytacji co do terminu wprowadzenia programu? Dziś nasze badania pokazują, że to był strzał w dziesiątkę

co się dzieje w Polsce, który aby doprowadzić do zmiany władzy, nie cofnie się przed niczym.

Cofnijmy się jeszcze raz do wspomnianego przez pana grudnia ub.r. Zima zapowiadała się nieciekawie, putinflacja mocno dotykała ludzi, groził szokowy wzrost cen energii, nie było pewne, czy uda się zapewnić dostawy węgla. Marszałek Ryszard Terlecki sformułował wtedy na łamach tygodnika „Sieci” taki plan dla PiS: „Przetrwaj zimą, wygraj wiosną”. Czy podjęty wtedy wysiłek, choćby bitwa o węgiel, znalazła odbicie w sondażach?

Tak. Udało nam się przetrwać zimą. Realizując operację węglową kolejny raz udowodniliśmy sprawność państwa, wprowadzając tarcze antyinflacyjne i energetyczne, pokazaliśmy troskę o Polaków. Wtedy w naszych wewnętrznych badaniach mieliśmy ok. 35 proc. poparcia, obecnie mamy mocne 40 proc. i więcej. Ale oczywiście nałożyło się na to wiele innych czynników, jak spadek

inflacji, która do końca roku powinna być jednocyfrowa. Rosną inwestycje, bezrobocie wciąż utrzymuje się na rekordowo niskich poziomach, według danych OECD jesteśmy w tej chwili najszybciej rozwijającym się w tej grupie krajem.

Konsumpcja w kwietniu jednak spadła o ponad 7 proc. To niedobry sygnał.

To prawda, nikt nie twierdzi, że jest idealnie. To są niestabilne, trudne czasy z potężnymi kryzysami przychodzącymi z zewnątrz, jak pandemia, wojna. Ale sądzimy, że to chwilowy spadek i nastąpi wkrótce odbicie, tym bardziej że ceny się stabilizują. Mimo problemów sprawność gospodarcza, radykalny wzrost poziomu życia w porównaniu z epoką Tuska pozostają znakiem firmowym PiS.

Mówi pan o mocnych 40 proc. w wewnętrznych sondażach, o – jak to pan ujął w internetowym wpisie – mocnej czwórce z przodu. Gdy jednak otworzy się prasa opozycyjna, dostajemy odwrotny obraz: PiS nie ma ponoć szans na samodzielną większość, może liczyć na 31–33 proc. głosów.

Zachwycona tym opozycja dzieli już stanowiska. Nie martwi się pan tymi danymi?

Nie wierzę w te sondaże. Nie dlatego, że są dla nas złe, ale doświadczenie poprzednich kampanii wskazuje, iż nie ma większego sensu zwracać na nie uwagę. Więcej tam politycznych marzeń niż rzetelności badawczej. Wedle tych badań PiS miał przegrać wszystkie wybory po 2015 r., a prezydent Andrzej Duda nie miał nigdy szans na wybór, a potem na reelekcję. Wcześniej sondaże nie dawały też większych szans śp. Lechowi Kaczyńskiemu, a wygrał z Tuskiem w cuglach. Przypomnę też panom, że w 2018 r. wybory samorządowe przegraliśmy nawet według badań exit poll, robionych wśród opuszczających lokale wyborcze. Mieliśmy mieć władzę w jednym, dwóch sejmikach, skończyło się na ośmiu. W 2019 r., w kampanii przed wyborami europejskimi w tych samych sondażach opozycja miała rzekomo ośmiopunktową przewagę – ostatecznie wygraliśmy je zdecydowanie.

W pana ocenie to błędy badawcze czy celowe działanie?

Ewidentnie jesteśmy świadkami operacji zbijania nam poparcia w sondażach.

Dlaczego?

W celu mobilizacji aktywu i wyborców opozycji. Mówi się im: popatrzcie, PiS teraz już naprawdę osłabł, zwycięstwo jest blisko, już ich mamy. Szczególnie nasilili te działania przed marszem Donalda Tuska, by na tej fali nakręcić frekwencję. Temu towarzyszą zaostrenie języka, zachęty do agresji, przemocy, wulgarność. Wszystko razem ma stworzyć falę, która ich poniesie. Ale tej fali nie ma.

Jak chcecie zareagować?

Najważniejsze, to nie dać się sprowokować, wciągnąć w te brudne gierki. Musimy robić swoje, na nikogo się nie oglądać, nie grać na ich polu. Mamy swój program, własny plan, dobry pomysł na tę kampanię. Trzymanie się tego jest podstawowym warunkiem zwycięstwa.

Pytanie, czy spot, którym sztab PiS odpowiedział na haniebne słowa Tomasza Lisa, o tym, iż znajdzie się komora dla Dudy i Kaczora, nie był złamaniem tej reguły? Opozycja, mając potężną przewagę w mediach, błyskawicznie przeniosła dyskusję na to pole, leją się strumienie oburzenia i potępienia. Nie żałuje pan decyzji o wejściu w ten spór?

To, że będziemy przede wszystkim robić swoje, nie oznacza, że pozostawimy bez odpowiedzi tak haniebne działania ludzi opozycji. Są momenty, gdy należy zdecydowanie powiedzieć „dość”, zwłaszcza gdy próbuje się odczłowieczać, poniżać, odbierać godność wyborcom Prawa i Sprawiedliwości, politykom naszej partii. Nie będzie zgody na taką mowę nienawiści, hejt, wezwania do stosowania przemocy. Krytycy naszego spotu wykazują się tchórzliwą hipokryzją: milczeli, gdy ich medialny gwiazdor chciał komory – w domyśle gazowej – dla lidera naszej partii i prezydenta Polski, oburzają się, gdy protestujemy. Byliśmy już nazywani szarańczą, moherami, bydłem. Wszystko bez jakiegóż większej reakcji medialnego świata. Gdy Tusk mówił o sznurze, wyprowadzaniu siłą, zapadała krępująca cisza. Dość tego.

Fot. Andrzej Wiktor



Krytycy mówią: protestujcie, ale nie w tej formie.

W tym spocie padają tylko trzy stwierdzenia. Liczba ofiar byłego niemieckiego nazistowskiego obozu koncentracyjnego i zagłady, liczba Polaków – ofiar II wojny światowej – i pełne nienawiści, nawiązujące do niemieckich zbrodni, słowa Lisa. Dlaczego zamiast oburzać się na autora tych słów, oburzają się na nas? Historia uczy nas, że słowa mają znaczenie. Dlatego musieliśmy uderzyć pięścią w stół, powiedzieć jasno, że na taki język nie pozwolimy, że te linie są dla nas nieprzekraczalne. I tyle, idziemy dalej.

W kampanii opozycji mamy ulicę, wyraźnie wchodzi też zagranica. Zaskoczyło to pana?

Od wielu lat jestem posłem do Parlamentu Europejskiego, obserwuję to z bliska i szczerze mówiąc – zero zdziwień. Polska opozycja i jej media są bardzo zblatowane z ośrodkami zewnętrznymi. W Brukseli Platforma Obywatelska *de facto* mówi głosem niemieckim, jest też forpocztą niemiecką w Polsce. Zgadza się na wszystkie kary bezprawnie nakładane na Polskę, nawet zachęca do kolejnych. Akceptuje łamanie traktatów europejskich. Nie ma problemu z szaleńczym żądaniem wyłączenia kopalni, a w ślad za tym elektrowni w Turowie. Godzi się na wszystkie szaleństwa ideologiczne. Atakowała obrońców granic. Była za przymusową relokacją migrantów. Jest jasne, co nam chcą zgotować, po co wrócił tu Donald Tusk. To jest operacja, która ma doprowadzić do zmiany władzy w Polsce i Komisja Europejska nawet się z tym nie kryje.

Teraz z Brukseli dochodzą pomruki o karach za powołanie komisji ds. badania wpływów rosyjskich w latach 2007–2020.

We Francji, w Niemczech i innych krajach wpływy rosyjskie można badać, rozmawiać o tym, podejmować kontrakcje – a w Polsce nie? To są podwójne standardy. Polacy zasługują na to, by wiedzieć, jak w rzeczywistości – opierając się na twardych faktach i dokumentach – wyglądała polityka rządu Tuska wobec Rosji. Polityka uległa, na kolanach,

uderzająca w strategiczne interesy Polski i każdego Polaka.

Może w powołaniu tej komisji chodziło o to, by wyostrzyć podział na obóz Tuska i Kaczyńskiego?

Nie, to nie jest prawda. Za powołaniem tej komisji kryje się pragnienie prawdy, chęć dowiedzenia się, dlaczego w różnych okresach zapadały takie, a nie inne decyzje, w kancelarii premiera, ministerstwach, spółkach z udziałem skarbu państwa. Jakie były mechanizmy ich podejmowania, jakimi wpływami dysponuje Putin. Także po to, by uniknąć takich błędów na przyszłość i chronić Polskę.

Ewidentnie jesteście świadkami operacji zbijania nam poparcia w sondażach. W naszych wewnętrznych badaniach mamy mocne 40 proc. i więcej

Ale politycy PiS często mówią, że wybór jest w gruncie rzeczy prosty: Tusk i jego rządy lub Kaczyński i jego rządy.

Każdy, kto w miarę obiektywnie patrzy na rzeczywistość, musi zobaczyć, jak bardzo zmieniła się Polska po 2015 r. Nasza propozycja też jest znana, dostrzegalna przez pozytywne zmiany w Polsce, konkretne inwestycje i działania w każdej miejscowości. Popatrzmy na zewnętrzne, obiektywne wskaźniki gospodarcze. Polska 2015 r. i obecna to dwie różne rzeczywistości mimo pandemii i wojny za naszą granicą. Nasza kampania będzie miała silny rys przypominania o tych wszystkich sprawach, bo naprawdę jest się czym pochwalić.

Wolelibyście opozycję zjednoczoną czy podzieloną?

Jesteśmy przygotowani na oba warianty. W tym obecnym, czyli kilka partii opozycyjnych idących osobno, mamy dobry pomysł na kampanię. Gdyby się zjednoczyły, też damy radę. Mamy doświadczenie wygrywania z różnymi wariantami opozycji.

A może się zjednoczyć czy temat zamknięty?

Oceniam, że może. Widać tam duże ruchy, kalkulacje, wygibasy i wolty. Coraz więcej sygnałów świadczy, że to się tak może skończyć. To nie dziwi, bo skoro nie łączy jej żaden program, to nic jej nie hamuje, wszystko jest tylko kalkulacją. Skutkiem jest dalsza erozja wiarygodności w oczach wyborców, patrzących na to z niesmakiem. Coraz częściej słyszę opinię, że gdyby opozycja wygrała, czekałby nas potworny chaos.

Zdecyduje mobilizacja wyborcza?

Tak. W tym sensie ta kampania jest dość prosta: musimy zmobilizować jak najwięcej naszych wyborców i jednocześnie zdemobilizować wyborców konkurencyjnych partii. Z tego punktu widzenia im więcej Donalda Tuska, tym dla nas lepiej. Jemu bardzo nie ufają także wyborcy innych partii.

Warszawski marsz Tuska pomoże opozycji? Borys Budka mówi, że liczy na fałę, który on wzбудzi.

Takie spotkania są ważne w polityce, ale samymi marszami wyborów się nie wygrywa. Bez wiarygodnej, wypracowanej oferty programowej to jest pusty przebieg. Oni też to wiedzą, mają świadomość, iż programu już nie zbudują. Jedyną szansę widzą zatem w rozhuśtaniu emocji, wywołaniu jakiejś zimnej domowej wojny. Ulica i zagranica – tyle zostało.

Będzie jakiś marsz PiS?

Będą kolejne tysiące spotkań w terenie. Jeździmy do ludzi, jesteśmy między ludźmi, tam gdzie żyją i pracują. Właśnie prezes Jarosław Kaczyński zainaugurował „Trasę dotrzymanego słowa”, będą też kolejne takie akcje, pełna mobilizacja i aktywność w terenie do ostatniego dnia przed wyborami. Nasze hasło na tym etapie kampanii to „Przyszłość to Polska”.

Jakie szanse widzi pan na zwycięstwo obozu premiera Jarosława Kaczyńskiego?

Jeżeli będziemy zjednoczeni, damy z siebie wszystko, będziemy realizować swój plan, nie damy się wybić z rytmu, to jestem więcej niż pewien, że Prawo i Sprawiedliwość te wybory wygra, i to zdecydowanie.

Rzekoma pułapka na Tuska



26 maja 2023 r.
Donald Tusk na galerii
posiedzeń Sejmu,
gdy zapadała decyzja
o powołaniu komisji

Gdyby w ustawie nie było nieszczęsnego zapisu, wedle którego komisja miałaby władzę pozbawiania ludzi obciążonych wpływami rosyjskimi prawa do pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi, rozjuszony Tusk nie miałby pretekstu do poruszenia połowy świata wobec antydemokratycznej krzywdy, którą chcą mu wyrządzić polskie władze



JAN ROKITA

Trafne są obie przesłanki, które w poniedziałkowym oświadczeniu przywołał prezydent Duda, by uzasadnić swój podpis pod ustawą o badaniu rosyjskich wpływów. Ale to nie znaczy wcale, by równie trafna była polityczna konkluzja, którą prezydent wyprowadził z owych przesłanek. W przeciwieństwie do formal-

nej logiki polityka ma to do siebie, że nawet z prawdziwych przesłanek można wyciągnąć fałszywy wniosek.

NIE TYLKO W POLSCE

Oczywiście prawdą jest, że nie tylko Polsce, lecz także wielu państwom demokratycznym przydałaby się obecnie

jawność tego wszystkiego, co politycy wyprawiali w ciągu poprzednich lat w relacjach z Moskwą. Robili bowiem często rzeczy kompromitujące, które na dodatek władca Kremla bezwzględnie wykorzystywał do wikłania ich krajów w spłot trudnych do przecięcia zależności, o czym najboleśniej przekonano się w ciągu ub.r. w Berlinie. I jeśli w przyszłości nie ma się to powtórzyć, to konieczne jest jawne i publiczne przepracowanie całej tej z gruntu wadliwej polityki wschodniej.

Oprócz tego faktem jest również (co podkreśla Duda), że specjalnego trybu badania wpływów rosyjskich nie wymyślono ani w Polsce, ani tym bardziej w PiS.

Najbardziej spektakularne śledztwo tego typu przeprowadzono w USA, gdzie badaniem hipotezy rosyjskiego spisku przeciw Ameryce zajęły się najpierw komisje wywiadu w obu izbach Kongresu, a potem jeszcze dodatkowo specjalny prokurator. Spisku co prawda w końcu nie wykryto, tym niemniej kilku współpracowników sztabu wyborczego Trumpa, podejmujących niejawnie konszachty z Moskwą, poniosło z tego tytułu odpowiedzialność karną.

Z kolei we Francji toczy się obecnie polityczny spór o uprawnienia komisji śledczej Zgromadzenia Narodowego, badającej „zagraniczne wpływy i próby korupcji liderów opinii publicznej, polityków i partii politycznych”. Komisja powstała w grudniu 2022 r. na żądanie Marine Le Pen, a jej przewodniczącym został bliski współpracownik liderki francuskiej prawicy – 37-letni poseł Jean-Philippe Tanguy. Francuska lewica porównuje jego komisję do inkwizycji, a minister sprawiedliwości zarzuca jej zawłaszczanie funkcji sędziowskich. Całkiem podobnie jak teraz w Polsce.

PYTANIE O INTENCJE

Jednak w przypadku polskiej ustawy o badaniu rosyjskich wpływów istnieje poważna obawa, że w swoim obecnym kształcie przyniesie ona krajowi więcej szkód niż pożytków. I to bynajmniej nie z powodu samego konceptu publicznego przeświadczenia mechanizmów oddziaływania rosyjskich interesów na

Polskę i utworzenia do tego celu specjalnej instytucji.

Pierwszą skazą, z góry obciążającą przyszłą komisję, jest polityczny czas, w którym ma być ona tworzona. Trudno pojąć, dlaczego przywódca PiS nie zdecydował się na taki krok dużo wcześniej, najpóźniej zaraz po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej, która radykalnie, niemal z dnia na dzień, odmieniła powszechny w Europie (a po prawdzie także w Ameryce) sposób patrzenia na stosunki z Rosją. W ówczesnej atmosferze, gdy na całym Zachodzie rodziło się poczucie potrzeby rozliczenia wcześniejszych „rosyjskich błędów”, polski projekt dobrze wpisywałby się w tamten polityczny czas, a nawet mógł być inspiracją dla innych krajów. Ale tamten moment minął, a dziś niemal wszyscy na Zachodzie stali się zawziętymi krytykami systemu Putina i samej Rosji. Na dodatek za cztery miesiące mają być w Polsce wybory. Więc powszechne wrażenie – zarówno w kraju, jak i za granicą – jest takie, iż PiS nie chodzi już teraz wcale o Moskali, ale raczej o jakąś brudną grę, mającą uderzyć w swobodę jesiennych wyborów.

Takie wrażenie prowokuje zwłaszcza jeden – powiedzmy otwarcie – najzupełniej idiotyczny przepis art. 37 ust. 1 pkt 2 ustawy, wedle którego przyszła komisja miałaby władzę pozbawiania ludzi obciążonych wpływami rosyjskimi prawa do „pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi”. Prawdę mówiąc, nonsensy zawarte w tym przepisie (i przepisach mu towarzyszących) noszą charakter piętrowy, zatem warto je uważnie prześledzić.

Nonsens pierwszy – i kto wie czy nie najgłówniejszy – polega na prawnym powiązaniu kary administracyjnej za uleganie rosyjskim wpływom z karą, którą przewiduje prawo finansowe dla urzędników, naruszających dyscyplinę finansów publicznych. W efekcie kluczowe funkcje, których nie będą mogli pełnić uznani za obciążonych wpływami rosyjskimi, to m.in. funkcje: „skarbnika, głównego księgowego, zastępcy głównego księgowego albo kierownika komórki odpowiedzialnej za wykonywanie planu finansowego” w instytucjach państwowych. Ale to dopiero początek całej piramidy nonsensów.

Ukarani przez komisję nie będą bowiem mogli również zajmować funkcji (jak to precyzuje ustawa) – „kierownika, zastępcy kierownika i dyrektora generalnego w jednostce sektora finansów publicznych”. I tu właśnie wpadamy w samo oko politycznego cyklonu, czyli hipotezy o celowo zastawionej pułapce na Tuska jako ewentualnego kandydata na premiera. Rzecz w tym, że ani ustawa o badaniu wpływów, ani żadne inne prawo nie definiuje tego, kim jest ów „kierownik jednostki sektora finansów publicznych”, a rozumienie tego terminu było dotąd traktowane intuicyjnie. Mówiąc potocznie – kierownikiem jest ktoś, kto jest formalnym szefem instytucji wydającej publiczne pieniądze. Jest więc nim z pewnością minister (bo ma swoje ministerstwo z budżetem), jest szef kancelarii premiera (bo też kieruje urzędem i ma swój budżet), jest wojewoda, burmistrz albo wójt. Tu jednak zaskoczenie... ze względu na szacunek dla demokracji ustawa pozwala ukaranemu ubiegać się o wybór na wójta czy burmistrza.

Tusk hipotetycznie ukarany przez komisję za uleganie wpływom rosyjskim nie mógłby zostać ministrem ani wojewodą, ale mógłby być np. prezydentem rodzinnego Sopotu. I wszystko wskazuje na to, że mógłby także być posłem, senatorem, marszałkiem Sejmu albo Senatu, a także (uwaga! uwaga!) wicepremierem bez teki albo premierem. Żaden z tych dostojników nie jest bowiem „kierownikiem jednostki sektora finansów publicznych”. Zwłaszcza premier nie posiada żadnej „własnej” części wykonywanego budżetu, a o ile wiem, za budżet premierowskiej kancelarii odpowiada jej szef. Ukarany Tusk z pewnością nie mógłby więc objąć urzędu po ministrze Kuchcińskim, ale po premierze Morawieckim – zdecydowanie tak. Nawiasem mówiąc, same polskie przepisy o karach za naruszenie dyscypliny finansów publicznych są mało sensowne, ale ich próba zastosowania do rzeczy tak odmiennych jak zarzut ulegania rosyjskim wpływom rodzi tutaj konsekwencje rodem z Mroźka.

Oczywisty błąd Dudy (a zwłaszcza jego ekspertów i doradców) polega na tym, że nie wytknął ustawie tego szalonego konceptu połączenia rosyjskich

wpływów z dyscypliną finansów publicznych. I nie zakwestionował przepisu, który jest aż tak nonsensowny, że w praktyce niemożliwy do zastosowania.

Prawdę mówiąc, bardzo wątpię, czy przywódca PiS faktycznie zamierzył wygrać wybory z Tuskiem jeszcze przed datą owych wyborów za pomocą sztuczki z karą za uleganie rosyjskim wpływom. Po pierwsze – znając naszą przekorną polską naturę – można być pewnym z góry, że taka akcja zakończyłaby się wyborczą katastrofą PiS. Po drugie – piekło, jakie by się na taką okoliczność rozpętało wokół Polski, byłoby nieporównywalne z niczym, co widzieliśmy do tej pory, a na dodatek byłoby najzupełniej uzasadnione. No i po trzecie, mimo znanej dezynwoltury, z jaką prezes PiS zwykł traktować teksty ustaw, kazałby on w takim razie porządnie wymyślić ową rzekomą pułapkę na Tuska. Sensowna wydaje mi się za to hipoteza postawiona przez krakowskiego dziennikarza Marka Kęskrawca: jeśli w tej ustawie chodzi o Tuska, to raczej o nieustanne straszenie go, odbieranie mu pewności siebie i energii. Co jak co, ale to akurat PiS się udaje.

QUI PRO QUO

Tymczasem Polska pada teraz ofiarą groteskowego *qui pro quo*, z którego tak naprawdę należałoby się szyderczo śmiać, ale fakty podpowiadają, że może jednak wcale nie być z czego. Tusk został rozjuszony bynajmniej nie tym, że mu się chce wyrwać podstępem przyszłe premierostwo, ale raczej tym, że ktoś go śmie tuż przed wyborami wzywać do publicznego tłumaczenia się z konszachców z Moskalami.

Już tylko te dwie znane dobrze historie z 2010 r.: przedłużenie kontraktu jamalskiego (kiedy polskie interesy wobec Gazpromu ratowała wbrew rządowi polskiemu Komisja Europejska) oraz sławetne rozdzielenie katyńskich wizyt (pod wyraźnym podszeptem Moskwy) są same w sobie na tyle kompromitujące, że lider opozycji bardzo nie chciałby musieć do nich wracać, tym bardziej na forum nieprzyjaznej mu przyszłej komisji. Gdyby w ustawie nie

było nieszczęsnego art. 37 ust. 1 pkt 2, rozjuszony Tusk nie miałby pretekstu do poruszenia połowy świata wobec antydemokratycznej krzywdy, którą chcą mu wyrządzić polskie władze.

No cóż, niestety dostał ów pretekst. Więc teraz pół świata staje w obronie demokratycznych praw Tuska, których uchwalona przez PiS ustawa nawet nie jest w stanie naprawdę go pozbawić. *Qui pro quo* polega na tym, że wszyscy wierzą, iż jest dokładnie odwrotnie. Unijny komisarz Reynders w pośpiechu zażył się upowszechnianiem jawnych kłamstw na temat tekstu ustawy (w kwestii dopuszczalności sądowej kontroli

Tusk hipotetycznie ukarany przez komisję nie mógłby zostać ministrem ani wojewodą, ale mógłby być np. prezydentem rodzinnego Sopotu. I wszystko wskazuje na to, że mógłby także być (uwaga! uwaga!) wicepremierem bez teki albo premierem

decyzji komisji), sam prawdopodobnie celowo wprowadzony w błąd przez swoich polskich informatorów. Co prawda cynizm i groteskowe nieporozumienia w polityce są normalnością. Jednak muszę przyznać, że o ile z gruntu zafałszowana troska o polską demokrację ze strony Komisji Europejskiej stała się już czymś dobrze znanym, o tyle wyjątkowym cynizmem zabrzmiały tyrady Departamentu Stanu USA i ambasadora amerykańskiego w Warszawie. Mówi się w nich bowiem o niepokoju z powodu wykorzystania komisji do zablokowania kandydatur polityków opozycji, a także wzywa się rząd polski, by nie uniemożliwiał wyborcom głosowania na wybranego przez nich kandydata. Groteska i cynizm owych niepokoїв i wezwań polegają na tym,

że formułuje je lewicowa ekipa rządząca w USA, która bezceremonialnie, na oczach całego świata, próbuje sztuczkami prawnymi nie dopuścić do przyszłorocznych wyborów prezydenckich lidera prawicowej opozycji.

Niestety, dwie największe globalne demokracje dają ostatnio fatalny przykład, gdy chodzi o traktowanie przywódców opozycji. W Ameryce próbuje się wtrącić przywódcę opozycji do więzienia pod pretekstem nielegalnego oplacania prostytutki. W Indiach lider opozycji już siedzi w kryminale pod zarzutem obrażania Hindusów noszących popularne nazwisko Modi.

POLITYCZNY ZAMĘT

Tak czy owak, w polskiej komisji do badania rosyjskich wpływów nie będzie już chodzić o żadne rosyjskie wpływy, ale tylko o to, jak zadziała rzekoma pułapka na Tuska, a być może również na niektórych członków jego dawnej ekipy rządowej (np. ministrów Sienkiewicza czy Sikorskiego). Nie wróży to tej komisji niczego dobrego. Można zresztą przypuszczać, że ani Tusk, ani nikt z jego akolitów przed komisją się w ogóle nie stawia, a minister Kamiński musiałby stracić zdrowy rozsądek, gdyby tuż przed wyborami próbował ich tam doprowadzić przy pomocy policji. Obawiam się, że komisji będzie towarzyszyć wyłącznie skandal i awantura, a nie wykluczam, że ich nasilenie będzie tak duże, że w ogóle nie będzie ona mogła prowadzić normalnej pracy. Nie warto już nawet wspominać o tym, że biorą w łeb definitywnie wszelkie rojenia premiera Morawieckiego o unijnych pieniądzach, a ustępstwa uczynione w sprawie reform sądowych, którymi ma się zająć Trybunał Konstytucyjny, nikomu do niczego już nie są potrzebne.

Na pewno za to groźnie i bulwersująco będą wyglądać najbliższe cztery miesiące kampanii wyborczej. Mało jednak prawdopodobne, byśmy w tym zamęcie czegoś na serio dowiedzieli się o rosyjskich wpływach w Polsce ponad to, co i tak już bardzo dobrze – i to nie od dziś – przecież wiemy.

Ostatnie kuszenie Polaków

Komisja ds. rosyjskich wpływów albo marsz 4 czerwca mają pomóc wygrać wybory parlamentarne. Czy to decydujące starcie?



STANISŁAW JANECKI

Chyba nigdy w III RP jedno wydarzenie nie pełniło funkcji zarówno sondażu, narzędzia nacisku, straszaka, stymulatora, jak i mitu założycielskiego i egzaminu. Tym wydarzeniem miał być marsz 4 czerwca 2023 r. Jego wyjątkowość miało podkreślać to, że 31 maja 2023 r. weszła w życie ustawa o państwowej komisji ds. badania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2007–2022. Sama ustawa jest przedstawiana przez opozycję jako wyjątkowa z powodu rzekomego łamania konstytucji (zapewne wieloodłamowego z przemieszczeniami), choć w ostatnich latach o tylu wydarzeniach mówiono jako o złamaniach wieloodłamowych, że to już na nikim nie robi wrażenia.

Marsz potraktowano jako klucz uniwersalny (ewentualnie wytrych), zastępujący sondaże, program, plan działania czy najważniejsze narzędzia stosowane w polityce (mobilizowanie, wywoływanie emocji, zaangażowanie, straszenie, szantażowanie itp.). Marsz to także magia – przez to, że wymyślono go jako środek jedyny, skuteczny, działający od razu i rozwiązujący wszystkie problemy. Został też pomyślany jako wielka mistyfikacja: wszyscy zostali wezwani do udziału, lecz beneficjentem mieli być tylko Donald Tusk i Platforma Obywatelska. Miał zadziałać jako stymulator, wzmacniacz i lewar sondaży jednocześnie, skoro inne działania nie spełniły takiego zadania. Także podprowadzenia do sondaży, czyli umieszczanie pytań w kontekście korzystnym wyłącznie dla jednej partii lub jednej opcji ideowej.



Marsz pomyślano też (wskutek tego, że prezydent podpisał ustawę o komisji ds. rosyjskich wpływów przed 4 czerwca 2023 r.) jako protest przeciwko „zamachowi na demokrację i konstytucję” oraz w obronie praw obywatelskich i praw człowieka Donalda Tuska, jednocześnie ofiary, a także człowieka tak wielkiego i ważnego, że poświęcono mu ustawę (okrzykniętą „lex Tusk”), bo inaczej nie dało się z nim skutecznie walczyć. Miał więc być także odnowieniem i wzmocnieniem mitu Donalda Tuska.

Wreszcie marsz i to wszystko, co pod niego podpisano, miał nie tylko zdyskredytować rządzące Prawo i Sprawiedliwość, lecz także przykryć propozycje programowe tej partii i w końcu doprowadzić do jakiejś zasadniczej zmiany nastrojów,

która przełamałaby sondaże. Miał też odwrócić niekorzystną dla opozycji, PO i Donalda Tuska tendencję, że to PiS narzuca narrację i organizuje emocje społeczeństwa, a opozycja, a szczególnie PO i Tusk, tylko reagują na to, co robi partia rządząca, czyli zawsze są co najmniej krok z tyłu.

FLAUTA SONDAŻOWA

Opozycja straciła pod koniec maja 2023 r. nadzieję, że Zjednoczona Prawica (ZP) jeśli się nie zagryzie, to co najmniej podzieli. W dodatku ZP przestała się zajmować sobą, a opozycja zaczęła się zajmować sobą przede wszystkim. No i rządzący narzucili temat, który jest dla opozycji – szczególnie dla PO – kłopotliwy i niebezpieczny, a w opinii publicznej długo jeszcze będzie

żywy i dyskwalifikujący dla tych, których rosyjskie uwikłania ujrzą światło dzienne.

Donald Tusk i PO marszem 4 czerwca chcieli zaszachować PiS, z kolei partia rządząca komisją o rosyjskich wpływach utrudniła im wszystko, łącznie z planem prowadzenia kampanii wyborczej. Dlatego ustawa o komisji wywołała taką agresję. Donald Tusk liczył też na to, że marszem zaszachuje również pozostałe partie opozycyjne, bo 4 czerwca będą musiały (z powodu ważności dla nich wydarzeń z 4 czerwca 1989 r.) być obecne, żeby dać świadectwo, a jednocześnie ich obecność wzmocni pozycję i notowania PO i jej przewodniczącego.

Po wejściu w życie ustawy o rosyjskich wpływach marszowi 4 czerwca przypisano nową funkcję – obrony demokracji, wolnych wyborów i osobiście zagrożonego Donalda Tuska. Reszcie opozycji Tusk nie dał wyboru. Za wszystkim kryje się próba zmiany nastrojów i odwrócenia trendów, czego nie było widać w sondażach przeprowadzonych w maju 2023 r. Nikomu po stronie opozycji nie dawały one powodów do przesadnej nadziei, ale też PiS nie mógł mieć poczucia triumfu.

W badaniu przeprowadzonym od 28 kwietnia do 2 maja 2023 r. przez Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl. na ZP głosowałoby 39 proc., na KO – 27 proc., na Lewicę – 9 proc., na Konfederację – 8 proc., na Polskę 2050 – 7 proc., a na PSL – 6 proc. W sondażu United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” (5–7 maja 2023 r.) wybory wygrałoby PiS z poparciem 31,3 proc., ale nie uzyskałoby większości w Sejmie. KO zyskałaby 24,7 proc., Polska 2050 i PSL (Trzecia Droga) – 14,6 proc., Lewica – 9,6 proc., a Konfederacja 8,7 proc. W badaniu Social Changes na zlecenie portalu wPolityce.pl (12–15 maja 2023 r.) ZP mogłaby liczyć na 39 proc. poparcia, KO – 29 proc., Konfederacja – 9 proc., Lewica – 7 proc. Polska 2050 – 7 proc., Polskie Stronnictwo Ludowe – 6 proc., a one razem, czyli Trzecia Droga – 11 proc. poparcia. W badaniu Research Partner na panelu badawczym Ariadna (12–15 maja 2023 r.) ZP otrzymała 35,4 proc. poparcia, KO – 28,4 proc., Trzecia Droga – 12,2 proc., Konfederacja – 8,5 proc., Lewica – 8,4 proc. Son-

daż CBOS (8–18 maja 2023 r.) dawał PiS 33 proc. poparcia, KO – 23 proc., Konfederacji – 8 proc., Trzeciej Drodze – 6 proc., Lewicy – 6 proc. W sondażu Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu” (15 maja 2023 r.) ZP miała 34,06 proc. poparcia, KO – 27,79 proc., Trzecia Droga – 12,42 proc., Konfederacja – 10,75 proc., Lewica – 10,01 proc. Sondaż IBRiS dla „Wydarzeń” Polsatu (19–21 maja 2023 r.) dawał ZP 34,5 proc. głosów, KO – 24,6 proc., Trzeciej Drodze – 14,2 proc., Lewicy z Partią Razem – 9,3 proc. W sondażu United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” (19–21 maja 2023 r.) ZP miała 32,3 proc. poparcia, KO – 25,7 proc. Trzecia Droga – 14,1 proc., Konfederacja – 9,9 proc., Lewica i Partia Razem

Rządzący narzucili temat, który jest dla opozycji, a szczególnie dla PO, kłopotliwy i niebezpieczny, a w opinii publicznej długo jeszcze będzie żywy i dyskwalifikujący dla tych, których rosyjskie uwikłania ujrzą światło dzienne

– 9,7 proc. Sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej” (28 maja 2023 r.) dawał PiS 32,9 proc., KO – 25,6 proc. Trzeciej Drodze – 13,1 proc., Konfederacji – 11 proc., a Lewicy – 7,8 proc. W sondażu United Surveys na zlecenie Wirtualnej Polski (26–28 maja 2023 r.) ZP popierało 31,8 proc. badanych, KO – 26,6 proc., Trzecią Drogę – 14,1 proc., Konfederację – 10,1 proc., Lewicę – 10 proc.

CZEKAJĄC NA PRZEŁOMOWE WYDARZENIE

Z sondaży przeprowadzonych w maju 2023 r. wynika, że zarówno rządzący, jak i opozycja potrzebują czegoś nadzwyczajnego, żeby doszło do jakiegoś przełomu. Opozycja widziała taki przełom w marszu 4 czerwca, rządzący PiS w komisji ds. ro-

syjskich wpływów. Dotychczasowe marsze nie były żadnym przełomem, choć podgrzewały społeczne emocje, szczególnie te organizowane jesienią 2020 r. pod szyldem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet.

Komisja ds. rosyjskich wpływów wywołała furję po stronie opozycji, co w wyborcach może rodzić podejrzenie, iż może się za tym kryć realny strach przed ujawnieniem rzeczywistych uwikłań. To by też tłumaczyło nerwowe reakcje Donalda Tuska. Opozycja liczy w tej sytuacji na zagranicę, a głównie Komisję Europejską, która przysporzy rządzącemu PiS nowych kłopotów. Ze wskutek „odwetowych” działań Komisji, wspartych przez ambasadora USA w Polsce Marka Brzezinskiego i część Departamentu Stanu, spadnie poparcie dla rządzących i zostaną oni uznani za stwarzających zagrożenie dla Polski. Ale może się też okazać, że będzie odwrotnie, czyli kolejne ataki na Polskę wywołają irytację Polaków. Tym bardziej że mogą sądzić, iż nie chodzi o obronę demokracji i wolnych wyborów, tylko o ochronę ludzi Moskwy, którzy jako polisę ubezpieczeniową tworzą teatralne wręcz demonstracje przywiązania do wartości reprezentowanych przez Unię Europejską i Stany Zjednoczone. Już to, że w Polsce – w przeciwieństwie do Niemiec – trzeba się kryć z przeszłą (?) prorosyjskością, może okazać się dla Polaków bardzo ważne.

Możliwe jest również to, o czym w wywiadzie dla Interii mówił 24 maja 2023 r. Marcin Mastalerek, doradca prezydenta. Stwierdził on, że „jest zbyt daleko do wyborów, a świat niesłychanie przyspieszył. Teza o dającej się przewidzieć rosnącej fali była prawdziwa kiedyś – 10, 15 lat temu moglibyśmy tak rozmawiać o kampanii. Wtedy pięć miesięcy przed głosowaniem można było przewidywać wyniki. [...] Dziś świat jest absurdalnie szybki, informacje są konsumowane tak szybko, że nie pamiętamy, co działo się trzy dni temu”. W związku z tym „trzeba trafić z nastrojami i pomysłami na konkretny czas, na konkretny miesiąc, tydzień”. Bo „mogą zdarzyć się różne niespodziewane rzeczy, o których dzisiaj nie mamy pojęcia”. Mogą, ale lepiej mieć własny plan, niekoniecznie opierający się na jednym, przełomowym wydarzeniu.

To już nie jest moja Platforma



W PO zmienił się styl zarządzania na system wodzowski.
Nie są potrzebni rozpraszacze myśli przewodniczącego

*Z posłem **Bogusławem Sonikiem**, który w maju zrezygnował z członkostwa w Platformie Obywatelskiej, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Zdecydował się pan opuścić Platformę Obywatelską. Kto się zmienił: pan czy PO?

Bogusław Sonik: Platforma się zmieniła. Stała się partią, która zajmuje się zdobyciem władzy. Jest zainteresowana sprawami technicznymi, sposobem zarządzania, organizowania elektoratu głównie pod kątem emocji. Nastąpiła centralizacja zarządzania. To zresztą cecha wszystkich partii. Przyjęliśmy wschodni model funkcjonowania ugrupowań politycznych, które mają działać i być zarządzane jak wojsko. Dyskusja i debata wewnętrzna nie są wskazane. Tak powstaje partia wodzowska. Ci, którzy chcą robić karierę polityczną, muszą być dobrze postrzegani przez wodza. Im dłużej ktoś wysiaduje przed gabinetem tego, kto decyduje o miejscu na liście, stanowiskach czy wpływach, tym na większe uznanie może liczyć.

Jak pan się czuł, gdy Borys Budka dał panu krzyżyk na drogę?

Przyjaciele byli oburzeni tym sformulowaniem. Odebrałem wiele telefonów, ale polityk nie może być nadmiernie wrażliwy. Jak się podejmuje trudną decyzję, to trzeba się liczyć, że takie słowa padną, choć nie powinny. Powinniśmy się rozstawać kulturalnie. Przez ponad 20 lat byłem wartością dodaną dla PO. Jeśli się więc rozstajemy, to nie warto przekreślać wszystkiego, co było. Coś się wypaliło, coś się skończyło. Każdy pójdzie swoją drogą, ale uniknąłbym sięgania po inwektywy.

Ktoś z PO gratulował odwagi?

Z PO nie, ale gratulowali mi ludzie na ulicy, i to o dziwo nawet w Warszawie, a ja przecież jestem posłem z Małopolski. Było wiele miłych rozmów. Ale to wynik tego, że połowa społeczeństwa jest za,

a połowa przeciw. W PO nie spotykam się z ostracyzmem, normalnie funkcjonujemy. Było trochę hejtu w mediach społecznościowych. Ale jakoś pilnie tego nie śledziłem ani nie śledzę. Nie zajmuje mnie to.

Pana wyjście – a może raczej wypchnięcie – z PO przypomina mi historię Rokity, Płażyńskiego, Gilowskiej i innych osób, które kierowały się kodeksem etycznym i zasadami. To przykre, gdy ktoś taki musi zmienić życiową drogę.

Dla mnie to też nie była łatwa decyzja. Rozmawiałem o tym z panią kilkakrotnie. To kawał życia. Uważałem, że to, co robiłem, było dobre dla Polski. Partie polityczne ewoluują. W PO zmienił się styl zarządzania na system wodzowski. Nie są potrzebni rozpraszacze myśli przewodniczącego. Po przegranych wy-

borach prezydenckich Tusk zrozumiał, że musi jak Jarosław Kaczyński mieć w ręku cały i całkowicie podporządkowany aparat partyjny i że nie ma miejsca na debaty, frakcje, nurty. Żeby zdobyć władzę, trzeba mieć uporządkowaną i zdyscyplinowaną armię. Wymienieni przez panią ludzie przestali się mieścić w tym schemacie, więc trzeba się było ich pozbyć. A rację przyznawało zwycięstwo wyborcze.

Jak daleko jest Platforma od tzw. deklaracji krakowskiej?

Oddaliła się od niej o lata świetlne. Dwa lata temu, zaraz po powrocie Donalda Tuska z Brukseli, próbowano stworzyć nową deklarację, ale próba się nie powiodła. Dzisiaj deklaracja ideowa jest wyrażana w wystąpieniach typu: „Chcemy przywrócić normalność”, „Chcemy odsunąć PiS od władzy”. To jest dzisiejsza deklaracja ideowa.

Dlaczego tak ważny jest dla PO marsz 4 czerwca?

Każda partia opozycyjna potrzebuje przełamania, chciałaby rozpocząć nową epokę, w której stałaby się liderem sondaży. I 4 czerwca miałby być tym dniem przełamania.

Kim jest Donald Tusk dla Platformy?

Miał być wybawcą, odnowicielem. Przyjechał w momencie kryzysu, gdyż wcześniej zbyt szybko pozbyto się Grzegorza Schetyny. Nowe przywództwo spowodowało, że PO zaczęła tonąć. Tusk miał być ratownikiem, który przeprowadzi partię przez wzburzone fale i da nadzieję. Za to oczekiwał całkowitego podporządkowania. Poza tym pięć lat, które spędził na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej, miało wpływ na ewolucję polityczną, poglądy i postrzeganie rzeczywistości przez Tuska. Wówczas zorientował się, jak się zmieniają, jak ewoluują partie w krajach Europy Zachodniej. Także te, które określają się jako centroprawicowe. A wyglądało tak, że stają się liberalne światopoglądowo przy wzmacnianiu roli polityki społecznej. Nastąpiła też zmiana odnośnie do polityki klimatycznej. Dwa lata temu Tusk deklarował publicznie, że dopiero w Brukseli zrozumiał znaczenie kwestii klimatycznych. Wcześniej te problemy

nie docierały do władz Platformy, polityka dotycząca zmian klimatycznych była ostrożna. Donald Tusk nie spodziewał się, że Komisja Europejska tak konsekwentnie będzie stawiać kolejne kroki w tej materii. Dlatego wiele spraw, które trzeba było realizować od kilkunastu lat, przespaliśmy.

Gdzie więc jest dziś programowo PO? Bliżej jej do liberalistów, socjaldemokracji? I dla kogo jest ta partia?

Na razie trwa prekampania, gdzie w roli głównej występują emocje, media społecznościowe, uszczypliwości, obelgi. Nie wyobrażam sobie, żeby jednak w ostatnim etapie kampanii nie mówić o sprawach ważnych dla Polski, czyli kwestiach programowych. Jestem przekonany, że wyborcy oczekują od największej partii opozycyjnej, że będzie miała odpowiedzi na większość wyzwań w kwestiach gospodarczych, służby zdrowia, wymiaru sprawiedliwości, polityki medialnej, klimatycznej. Tu potrzebna jest konkretna oferta i te tematy muszą się pojawić w ostatnich trzech miesiącach przed wyborami. Na razie PO chce mieć wizerunek partii, która potrafi sprawnie zarządzać Polską, unikając konfliktów na arenie międzynarodowej, umiejętnie poruszając się w świecie instytucji europejskich, nie angażując się nadmiernie w podkreślanie własnego zdania i własnej suwerenności, a raczej starając się żyć w zgodzie z głównymi nurtami polityki i graczami europejskimi. Polska miałaby z tego czerpać korzyści w postaci dostępu do środków bez wikłania się w nadmierne spory. Większość krajów europejskich przyjmuje taką strategię i dziś Polska jest nieco osamotniona w wyrażaniu własnego zdania i uporczywym trwaniu przy nim. PO to partia, która miałaby działać jak sprawna korporacja, która nie wzbudzając kontrowersji, pomnaża zyski. Platforma próbuje dotrzeć do tych Polek i Polaków, którzy zajmują się swoim życiem, mniej interesuje ich polityka, chcą mieć święty spokój i nie chcą, żeby im ktoś przeszkadzał w organizowaniu życia i pomnażaniu dóbr, które chcą osiągnąć. Dla takich osób jest PO: tej części społeczeństwa, która jest zadowolona z tego, co ma, nie chce tego tracić i jeszcze chce mieć satysfakcję, że Polska jest dobrze postrzegana za granicą.

Mówi pan o niewyrażaniu własnego zdania. Co złego jest w walce o własne interesy? Robią to Niemcy, Francja.

Nic. Ja tylko opisałem taktykę Platformy, bo o to mnie pani pytała. I tą taktyką PO różni się od PiS. Nikt nie ma monopolu na patriotyzm. Partie opozycyjne też chcą dbać o interes Polski, tylko różnią się sposobem jego postrzegania, formułowania żądań i oczekiwań oraz umiejętnością budowania koalicji. I to jest trudne na poziomie europejskim. Potrzebna jest umiejętność poruszania się na arenie międzynarodowej, zjednywania innych do swoich racji. Minister Szymański próbował taką politykę realizować, ale mu się nie udało. Głos Polski w różnych sprawach jest mocny, ale gdy przychodzi do głosowania, to system jest domknięty. Polska podporządkowuje się decyzjom większości.

Polityka Niemiec wobec Rosji zbankrutowała, widać jej błędy. Mimo to kanclerz Niemiec chce zlikwidować prawo weta, by móc dalej popełniać błędy.

To, co zrobiły Niemcy, i dążenie do ograniczenia prawa weta oceniam negatywnie. Ale sytuacja wojenna zmieniła wiele w oczach elit zachodnioeuropejskich. Dziś jest nie do pomyślenia powrót do rozkładania czerwonego dywanu przed Rosją i Putinem. W PE powstała komisja ds. ingerencji zagranicznej w Europie. Na jej czele stoi Raphaël Glucksmann, syn słynnego filozofa. On wyraźnie mówi o tym, że Europa była zaślepiona. Więc coś się zmienia. Niemcy ewoluują, choć po cichu liczą, że uda się wrócić do pewnego *status quo*. Może nie energetycznego, ale jakiejś chłodnej współpracy.

Skoro przy komisjach jesteście. Komu zaszkodzi ta polska do zbadania rosyjskich wpływów?

Prawu i Sprawiedliwości. Już zaszkodziła. W kraju i za granicą. Gdy patrzy się na losy komisji śledczych w Polsce, to nie sądzę, by mogła ona zaszkodzić komuś jeszcze. Cokolwiek zostanie ustalone, będzie podane w wątpliwość z powodu grzechu pierworodnego przy jej powołaniu. Można było powołać sejmową komisję śledczą, żeby przekazać pewną opowieść, podobna powstała we

Francji, Tymczasem zdecydowano się uruchomić gilotynę. Na komisję ds. reprivatyzacji było społeczne przyzwolenie, ponieważ dochodziło do oszustw tolerowanych przez służby państwa i samorządu. Określenie wpływów jest bardziej ulotne, sankcje tak szerokie, że wszystko to razem budzi podejrzenie, że mamy do czynienia z próbą wejścia w kampanię z konkretną narracją eliminującą opozycję.

Gdzie dziś jest w PO Grzegorz Schetyna? Często w mediach mówi się, że jest do dyspozycji.

Grzegorz Schetyna nie jest do niczyjej dyspozycji, a ponieważ ma swoją pozycję w PO, to będzie chciał wesprzeć konserwatywne skrzydło. Na pewno stara się być graczem znaczącym, którego nie da się pominąć w rozgrywce wyborczej. Będzie chciał postawić warunki, na których będzie funkcjonował jako patriota Platformy.

Pan wybrał третią drogę. A co, jeśli koalicja Polski 2050 i PSL zdecyduje się na współpracę z Tuskiem jeszcze przed wyborami? Np. z powodu słabnących notowań.

W polityce liczy się walka i wola zwycięstwa, teraz trzeba zrobić wszystko dla najlepszego wyniku formacji PSL i Polski 2050.

Ale widzi pan, jak ostry jest atak zwolenników Tuska na Hołownię, mocne słowa lidera, że nie ma trzeciej drogi. To wygląda jak próba powtórzenia 2015 r., gdy Tusk przekonywał, że głos oddany na koalicję SLD z Palikotem to głos stracony. Wtedy ta koalicja spadła pod próg wyborczy i dzięki temu PiS mógł rządzić samodzielnie. Walka na opozycji jest ostra.

Każdy musi podkreślać swoją odrębność, ale atakowanie Szymona Hołowni czy Kosiniaka-Kamysza jest nierozsądne. W wyniku starcia tytanów: Kaczyńskiego i Tuska, mamy część ziemi niczyjej. Są w Polsce ludzie, którzy nie utożsamiają się ani z inwektywami, obelgami, ani z licytowaniem się, kto wyda więcej na świadczenia socjalne. Jest grupa ludzi, która chce gło-

sować, ale chce mieć z tego satysfakcję. Jeśli zaś pani przypomina 2015 r., to dogadanie się z Palikotem było obrzydliwością dla wyborców. Jak można było dogadać się z kimś, kto całkiem zepsuł Platformę i polską politykę, kto ją zdemoralizował? To był gwóźdź do trumny. Zresztą wracając do tego, jak zmieniła się PO, to jednym z jej większych grzechów było hołubienie Palikota. Myślę jednak, że za kilka miesięcy powstanie rząd w oparciu o partie opozycyjne, koalicja będzie niezbędna, więc nie warto teraz zwalczać się zbyt mocno. Ale polityka potrafi zaskoczyć, tak było, gdy PiS dogadało się z Samoobroną i LPR. Może teraz dogada się z Konfederacją?

Platforma próbuje dotrzeć do tych Polaków, którzy zajmują się swoim życiem, mniej interesuje ich polityka, chcą mieć święty spokój i nie chcą, żeby im ktoś przeszkadzał w organizowaniu życia i pomnażaniu dóbr, które chcą osiągnąć

A tej nie jest bliżej do PO?

Jak słucham pana Brauna, widzę, jak demoluje instytut, w którym miał się odbyć wykład prof. Grabowskiego, to nie sądzę.

Ale tam jest też Sławomir Mentzen.

W polityce liczy się wizerunek. Mentzen nie odciął się od Brauna.

Na rynku pojawiła się książka Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej” o Stanisławie Pyjasie. Według autora śmierć Pyjasa to miał być jednak wypadek. Co na to współzałożyciel SKS w Krakowie?

Kiedy Cezary Łazarewicz zaczął dwa lata temu pisać tę książkę, moje środowisko umożliwiło mu wszystkie potrzebne kontakty. Zawsze zależało nam na wyjaśnieniu, jak zginął Pyjas. Książka Łazarewicza skupia się wyłącz-

nie na śmierci, nie pokazuje działalności Studenckiego Komitetu Solidarności, który powstał w wyniku protestu przeciw fałszowaniu śledztwa, nie pokazuje kontekstu. Były trzy ekspertyzy dotyczące śmierci Pyjasa. Pierwsza powstała w 1977 r. i wykluczyła możliwość upadku z wysokości ze względu na układ ciała i klatki schodowej. Nastąpiło umorzenie, gdyż stwierdzono, że Pyjas się przewrócił. To zostało zakwestionowane przez nas, przez KOR. Gdy po 1989 r. chcieliśmy wyjaśnić tę sprawę, nastąpiła kolejna ekspertyza specjalistów z zakładu medycyny sądowej ze Śląska i z Lublina, z której wynikało, że śmierć nastąpiła w wyniku pobicia. Trzecia zaś ekspertyza mówiła o upadku z wysokości. Cezary Łazarewicz skupił się na tej trzeciej ekspertyzie z 2010 r. i przychylił się do tezy, że to był upadek z wysokości. Ta teza została potwierdzona przez biomechaników, którzy zrobili wirtualną rekonstrukcję nieistniejącej już klatki schodowej. Tymczasem eksperci, którzy pracowali w 1977 r., byli na prawdziwej klatce schodowej. To jest pewna różnica. Zastanawiam się też, czy my musimy ciągle rozpatrywać działalność i aktywność naszego środowiska od 1976 r. w kontekście tego, czy są jednoznaczne dowody na to, czy to SB zabiła Pyjasa? Jest wiele poszlak wskazujących, że był inwigilowany, zastraszany, były anonimowy wzywający do rozprawienia się z nim. Jak popatrzymy na historię tamtego czasu, to zobaczymy zafałszowaną śmierć Jana Brożyny w 1976 r., była niewyjaśniona śmierć ks. Sylwestra Zycha, ks. Stefana Niedzielaka, Piotra Bartoszczygo. Gdyby kierowca ks. Popieluszki nie uciekł, to czy mówiono by o nieznanych sprawcach? To nie jest tak, że ówczesny aparat bezpieczeństwa można złapać za rękę i jasno określić sprawców śmierci. My zrobiliśmy to, co do nas należało. Zaprotestowaliśmy, bo śledztwo było fałszowane, a w 1998 r. zostali za to skazani funkcjonariusze SB. Zbudowaliśmy w ramach protestu ruch, który rozszerzył się na całą Polskę i dał jasno do zrozumienia, że tak dalej być nie może, nie damy się zniewolić i będziemy protestować. I tego podważyć się nie da.

Bartosiak na wojnie

Media społecznościowe przypominają dziś bazar, na którym sprzedaje się informacje. Nikt nad tym targowiskiem nie panuje, co jest potencjalnie niebezpieczne, bo utrudnia odróżnienie prawdy od fałszu. Liczą się tylko zasięgi. Burzliwa kariera Jacka Bartosiaka jest w dużej mierze skutkiem tego zjawiska. Trudno go jednak winić za to, że wyczuł okazję i zdobył popularność, skoro inni zlekceważyli go, ustępując mu pola



Popularność Jacka Bartosiaka nierozzerwalnie wiąże się z mediami społecznościowymi. To na Facebooku uruchomił udaną akcję promocyjną swojej książki „Pacyfik i Eurazja. O wojnie”, dzięki której ten wcześniej mało znany prawnik stał się powszechnie rozpoznawalnym ekspertem od geopolityki. I to właśnie ta – wydana w 2016 r. – debiutancka książka, stała się przyczyną jego obecnych kłopotów.

PURYŚCI KONTRA KONCEPTUALIŚCI

Książka jest rozprawą doktorską Bartosiaka napisaną w Polskiej Akademii Nauk pod kierunkiem prof. Bogdana Góralczyka. Bartosiak pisze w niej o narastającym konflikcie chińsko-amerykańskim na Pacyfiku, który może przerodzić się w wojnę o dominację na świecie. Wśród rozdziałów książki znalazła się analiza historyczna dotycząca zmagania amerykańsko-japońskich



KONRAD KOŁODZIEJSKI

podczas II wojny światowej. Tę analizę wziął pod lupę Michał A. Piegzik, wykładowca szkockiego Edinburgh Napier University.

Zdaniem Piegzika, który – jak się sam przedstawia – obronił doktorat w Tokio, napisał siedem książek i 30 artykułów naukowych, a wojną na Pacyfiku zajmuje się od 15 lat, wspomniany rozdział pracy doktorskiej Bartosiaka jest pełen błędów merytorycznych. Piegzik stwierdził na Twitterze, że Bartosiak „nie zna treści japońskich opracowań i dokumentów, a także stara się manipulować wiedzą historyczną, by pasowała do jego tezy”.

W odpowiedzi na te zarzuty Bartosiak przedstawił źródło, z którego zaczerpnął

kwestionowane informacje. Był to raport amerykańskiego think tanku Rand. Okazało się, że Bartosiak w pracy nad rozdziałem miał korzystać wyłącznie z tego jednego źródła, co – jak wiadomo – nie jest zgodne z rygorami pracy naukowej. Co więcej, internauci, którzy przeanalizowali amerykański raport, zarzucili Bartosiakowi plagiat. W internecie pojawiły się porównania raportu z rozdziałem pracy Bartosiaka, z których mogłoby wynikać, że został on przepisany.

Zarzut plagiatu jest bardzo poważnym zarzutem. Jego skutkiem, jeśli zostałby potwierdzony, może być bowiem odebranie tytułu doktora. Konsekwencje, głównie wizerunkowe, uderzyłyby też w promotora pracy prof. Góralczyka oraz jej recenzentów, którymi byli prof. Stanisław Koziej i prof. Hubert Królikowski.

Jacek Bartosiak, poproszony przez nas o komentarz, nie chce sprawy komentować. – Myślę, że promotor prof. Góralczyk uciął to krótko i zwięźle, że nie było plagiatu i nie ma o czym mówić. Praca była

nowatorska w tamtym czasie i pierwsza na polskim rynku – mówi krótko.

Prof. Góralczyk w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” potwierdza. – Praca spełniała kryteria pracy doktorskiej i była jedną z najlepszych, a w owym czasie na naszym rynku wydawniczym była absolutnie pionierska – mówi. Jego zdaniem zarzuty o plagiat wynikają z błędu. – Bartosiak przekonał mnie – i nie spotkało się to z oporem recenzentów – żeby dodać jeden rozdział napisany w innej konwencji, będący jakby uzupełnieniem historycznym, plastycznym obrazem, że coś podobnego się już wydarzyło. I ten rozdział został napisany w innym rygorze, tzn. jest to jeden zbiorczy przypis i o to właśnie mają pretensje – dodaje. – Być może popełniłem tutaj błąd jako niezbyt surowy promotor, bo powinno to zostać dodane w ramach aneksu, żeby sprawiedliwości stało się zadość. I tu się ściągają puryści i conceptualiści. Ja należę do szkoły conceptualnej, dla mnie najważniejsze jest meritum, concept, waga pracy, a trochę mniej zwracam uwagę na kwestie techniczne. Oczywiście rozumiem, że praca doktorska ma swoje wymogi, ale – moim zdaniem – tamta te wymogi spełniała – zapewnia.

DZIEWICZE POLE

Mleko się jednak rozlało i w stronę Bartosiaka popłynęła szeroka fala krytyki. Atakowali go zarówno byli współpracownicy, jak i konkurenci od geopolityki, od których po wybuchu wojny na Ukrainie aż się roi w internecie. – Natura ludzka jest naturą ludzką i tak jest od wieków – tłumaczy to Jacek Bartosiak. Wiele z atakujących go osób nie potrafiło przy tym ukryć satysfakcji, że ich główny rywal – dość powszechnie uznawany za zarozumiałą i pewną siebie gwiazdę – został wreszcie strącony z piedestału, a oni zajmą być może jego miejsce. – Uważam, że ten atak na Bartosiaka – bo chyba tak to należy nazwać – w chwili gdy osiągnął wielki sukces, budzi pewne skojarzenia. Jestem sinologiem i jest takie chińskie powiedzenie, że jak jest burza, to w lesie padają

najpierw najwyższe drzewa – komentuje prof. Góralczyk.

Można dyskutować nad tym, czy rzeczywiście Jacek Bartosiak jest „najwyższym drzewem”, ale faktem jest, że przez siedem lat od chwili ukazania się jego książki nikt nie podjął z nim żadnej poważnej polemiki i nie wskazał mu błędów. Dla swoich fanów Bartosiak był nieomylnym guru, z kolei dla kadry akademickiej – nowym Dyzmą, którego należy ignorować. Więc nie zwracano na niego uwagi, a on w tym czasie poszerzał

Niektórzy twierdzą, że Bartosiak wyrwał nas z iluzji, że świat został ostatecznie umeblowany i nic nam już nie zagraża. Inni uważają, że po prostu umiejętnie karmił się naszymi niepokojami

swoje zasięgi, wydawał kolejne książki i skupiał na sobie uwagę ludzi. To trochę jak np. z muzyką disco polo – nagle pojawia się w liberalnych elitach szok, że więcej osób słucha ludowego Martyniuka niż mainstreamowego Maleńczuka czy Nosowskiej. Szok na własne życzenie, wynikający zresztą z mylnego przekonania o własnej wysokiej pozycji.

Trzeba sobie przy tym jasno powiedzieć, że ewentualny zmierzch Bartosiaka na pewno nie poprawi jakości debaty o wojnie i polityce międzynarodowej. Bo jego potencjalni następcy, nazywani ironicznie z powodu swoich pasji militarnych klubem modelarzy, w ogóle nie mogą wykazać się jakimkolwiek poważnym dorobkiem. I jeśli nawet Bartosiaka uznamy za samodzielnego eksperta i geopolityka, to ich tym bardziej trzeba za takich uważać.

Inna rzecz, że geopolityka przyciąga amatorów. Jest tak m.in. dlatego, że spora część środowiska akademickiego uważa tę dziedzinę za paranaukę, od której poważni badacze powinni trzy-

mać się z daleka. Ich zdaniem tezy, które stawia geopolityka, mogą dla przeciętnego odbiorcy wydawać się atrakcyjne, ale z punktu widzenia naukowca są one zbyt proste, by mogły wyjaśnić złożoność procesów zachodzących w świecie.

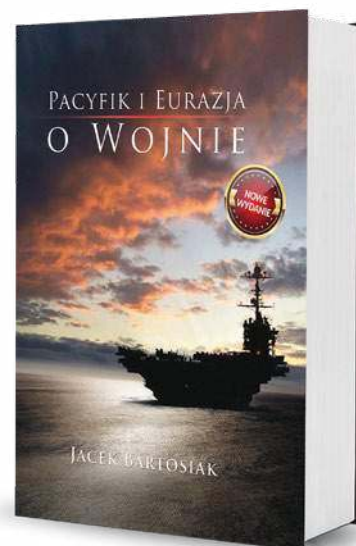
Nic więc dziwnego, że geopolityka stanowiła w Polsce dość dziewicze pole, na które niemal każdy mógł wejść i zagospodarować je po swojemu. Z tej właśnie okazji skorzystał Bartosiak, w czym pomogła mu zaostrzająca się sytuacją międzynarodową. Od kilku lat

głośno mówił o grożącym konflikcie Chin i Rosji z Zachodem, a im bardziej jego hipotezy materializowały się, tym szybciej zyskiwał odbiorców i popularność. Odpowiadał bowiem na pytanie, które zadawało sobie wielu Polaków: czy wybuchnie wojna?

Niektórzy twierdzą, że Bartosiak wyrwał nas z letargu i iluzji, że świat został już ostatecznie umeblowany i nie zagrażają nam żadne wstrząsy. Inni uważają, że po prostu umiejętnie karmił się naszymi niepokojami.

MGŁA WOJNY

Rosnąca popularność Jacka Bartosiaka, który niemal każdego dnia pojawiał się ze swoimi teoriami w rozmaitych programach na YouTube i występował na przeróżnych konferencjach, nie wynikała jednak tylko z tego, że sprawnie zagospodarował lęk Polaków.



Teoretycznie przecież mógł to zrobić ktokolwiek inny, ale tego nie zrobił. Dlaczego?

Odpowiedź tkwi w przyjętej przez Bartosiaka metodzie. Nie będąc profesjonalnym naukowcem, miał znacznie większą swobodę w formułowaniu swoich hipotez. Nie musiał dzielić włosa na czworo, ważyć nadmiernie słów. Zamiast tego rzucał tezy niczym rasowy publicysta, co oczywiście budziło zachwyt jego powiększającej się widowni, ale jednocześnie ustawiało go na kursie kolizyjnym z zawodowymi badaczami, którzy nie mogą – a przynajmniej nie powinni – stawiać ostrych tez, jeśli ich wcześniej wyczerpująco nie udowodnią i nie obronią. W rezultacie wielu z nich widziało w nim kogoś w rodzaju naukowego hochsztaplera, który nie mając odpowiedniego warsztatu badawczego ani dorobku naukowego, zdobył popularność, o jakiej akademicy mogą tylko marzyć.

Zarzucano Bartosiakowi, że ukrywa swoją naukową niekompetencję, używając pseudonaukowych sformułowań, które robią wrażenie wśród niewyrobionej widowni. Niektóre z nich, w rodzaju „drabiny eskalacyjnej”, „wymiany kinetycznej” czy „mgły wojny”, stały się już na tyle popularne, że używano ich ironicznie w memach. W internecie można nawet znaleźć „generator cytatów dr. Bartosiaka”, który po kliknięciu w jego portret przedstawia „geo-strategiczną myśl na dzisiaj”. Zdaniem krytyków sztandarowa koncepcja Bartosiaka, którą była Armia Nowego Wzoru, okazała się w obliczu rzeczywistej wojny na Ukrainie kompletną pomyłką, co podawało w wątpliwość jego kwalifikacje w dziedzinie strategii. Kwestionowano także jego rzeczywistą popularność, twierdząc, że znaczną część jego odbiorców stanowią wykupione za granicą internetowe boty, a nie prawdziwi ludzie.

Obroncy Bartosiaka twierdzą, że za atakami na niego kryje się zawiść. Bo on w odróżnieniu od większości zawodowej kadry naukowców zdobył publiczną rozpoznawalność. Że ludzie chcą go słuchać, bo nie jest nudny.

Być może coś w tym jest, bo wielu polskich naukowców w odróżnieniu od np. swoich brytyjskich czy amerykańskich

kolegów nie potrafi, niestety, przekazywać swojej wiedzy. Czy wynika to z braku umiejętności medialnych, czy też z poczucia, że głupi lud i tak niczego nie zrozumie, to temat do innej dyskusji. Rezultat jest jednak taki, że polskie ośrodki naukowe są często odizolowane od społeczeństwa i od dawna nie odgrywają w nim szczególnej roli. A to wcale nie jest dobre. Bo świadczy jedynie o słabości nauki w Polsce. Co więcej – powstała w ten sposób próżnia szybko zajmują inni.

PRYZGANIAŁ KOCIOŁ GARNKOWI

Oczywiście pisząc o polskiej kadrze naukowej, nie można nie dostrzec, że jest ona mocno upolityczniona. Pogoń za grantami, punktami, konferencjami

Obroncy Bartosiaka sądzą, że za atakami na niego kryje się zawiść. Bo w odróżnieniu od większości zawodowych naukowców zdobył popularność. Ludzie go słuchają, bo nie jest nudny

zagranicznymi sprawia, że wielu naukowców dostosowuje swoje poglądy do oczekiwań środowiska lub zleceniodawców. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że nie wpływa to korzystnie na jakość nauki w Polsce.

W tym kontekście Bartosiak jako człowiek z zewnątrz chętnie był przedstawiany w tych środowiskach jako „pisowski ekspert”, ktoś w rodzaju „marcowego docenta”. Wiarygodność tych zarzutów miał budować krótki epizod Bartosiaka w roli prezesa Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Sam Bartosiak w rozmowie z naszym tygodnikiem podkreśla, że nie ma aspiracji politycznych. – Jestem niezależny i z charakteru, i ze swojego sposobu funkcjonowania i to może kogoś denerwować – mówi. Być może

więc problem leży gdzie indziej. Gdyby Bartosiak podłączył się pod środowiska antypisowskie, to z pewnością nikt nie oskarżałby go o niekompetencję. Nikomu nie przeszkadzałby brak dorobku naukowego, przeciwnie, byłby zapewne fetowany jako wybitny ekspert.

Każdy, kto choć trochę zna środowisko naukowe, potrafi – oczywiście tylko w prywatnych rozmowach – wskazać sporo znanych nazwisk, które nie wykazały się żadną wartościową publikacją ani badaniami, a uchodzą dziś za niekwestionowane autorytety. Trzeba mieć tego świadomość. Krytykowanie Bartosiaka z tamtej strony przywodzi więc trochę na myśl powiedzenie, że oto przyganiał kocioł garnkowi.

Niestety, słabość niektórych dziedzin polskiej nauki połączona z nieumiejętnością popularyzacji swoich osiągnięć przez wielu badaczy sprawia, że głód wiedzy w społeczeństwie zaczynają zaspokajać inni, niekiedy zupełnie amatorzy i pasjonaci. Ich główna przewaga polega na tym, że mają spory tupet – nie ogranicza ich przecież żadna metodologia, nie walczą o uznanie w świecie nauki, lecz o popularność i pieniądze. Bardzo ułatwił to internet zwłaszcza w okresie pandemii, gdy nagle pojawiło się w sieci mnóstwo ekspertów od koronawirusa. Teraz – podczas wojny na Ukrainie – zastąpili ich znawcy militariów i geopolityki. Jest też wielu ekspertów od finansów i zarabiania pieniędzy (mamy w końcu kryzys). To oni zyskują coraz większy wpływ na poglądy i nastroje Polaków.

W rezultacie media społecznościowe przypominają dziś bazar, na którym sprzedaje się informacje. Nikt nad tym targowiskiem nie panuje, co jest potencjalnie niebezpieczne, bo utrudnia odróżnienie prawdy od fałszu. Liczą się tylko duże zasięgi, ponieważ to one przynoszą zyski.

Burzliwa kariera Jacka Bartosiaka jest w dużej mierze skutkiem tego zjawiska. Trudno go jednak winić za to, że wyczuł okazję i zdobył popularność, skoro inni – zamiast podjąć wyzwanie – zlekceważyli go, brzydząc się jego publicznością i ustępując mu pola. 

Niemiecka gra wokół sprawstwa Holokaustu

Wizja zrzućenia przez Niemców winy za Holokaust na Polaków wydawała się absurdalna, ale na naszych oczach się spełnia. Są za to odpowiedzialne konkretne instytucje, konkretni ludzie i oczywiście konkretne państwo – nasz zachodni sąsiad



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Już samo wydarzenie było skandal. Niemiecki Instytut Historyczny zorganizował w Warszawie wykład prof. Jana Grabowskiego – którego prace ze względu na naginanie źródeł pod swoje tezy budzą kontrowersje – o tendencyjnym tytule „Polski (narrastający) problem z historią Holokaustu”. Jest to obrona przez atak – grono badaczy, skupionych wokół Centrum Badań nad Zagładą Żydów w Polskiej Akademii Nauk jest oskarżona o poważne nadużycia historyczne. Autorzy próbują wykazać, że Polacy masowo brali udział w Holokauście, historycy jednak zarzucili im przerabianie źródeł pod swoje tezy. W odpowiedzi narodziła się narracja, że właśnie Polacy mają problem

z przyjęciem prawdy o swoim rzekomym współuczestnictwie w mordowaniu Żydów i zasłaniają się bogoojczyźnianą retoryką, a przez tani patriotyzm lukrują swoją historię. Sprytne, prawda?

Tacy badacze jak dr Piotr Gontarczyk odkrył, jak Grabowski przerabia źródła historyczne, a dr Tomasz Domański wskazał, że wspomniany profesor wraz z Barbarą Engelking lekceważą okupacyjne warunki na polskich ziemiach. Jednak dla prasy lewicowo-liberalnej to się nie liczy, bo obaj panowie pracują w Instytucie Pamięci Narodowej, a ten jest „pisowski”. W ten sposób odpiera się każdy zarzut i wskazania poważnych błędów, które popełniają autorzy Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

GRABOWSKI NA NIEMIECKIM ŻOŁDZIE

Sprawa nabiera rozmachu, bowiem odkąd Grabowski stwierdził, że Polacy zabili 200 tys. Żydów w czasie okupacji, odcięli się od niego nawet badacze z PAN. Gdzie znalazł zatrudnienie kontrower-

syjny historyk? Właśnie w Niemczech – trzy lata temu otrzymał on specjalne stypendium od Institut für Zeitgeschichte w Monachium na badanie Holokaustu na ziemiach okupowanej Polski. W ub.r. Grabowski otrzymał z rąk niemieckiego uczonego, Wolfa Grunera (PhD), nowe stypendium na podobne badania. Gruner jest założycielem Centrum Badań nad Ludobójstwem w USC Dornsife. I ostatnio Niemiecki Instytut Historyczny właśnie w Warszawie organizuje prelekcję o głupich Polakach nieprzyznających się do winy.

Na wykład zgłasza się grono historyków, z którymi Grabowski unika dyskusji już od lat. Przychodzą z listą trudnych pytań i konkretnych zastrzeżeń do badań naukowca. Debata jednak nie może się odbyć, gdyż na salę wkraczają Grzegorz Braun wraz ze swoimi ludźmi i niszczą sprzęt nagłaśniający. Poseł Rzeczypospolitej Polskiej wszczyna zadymę, ale dla organizatorów wydarzenia jest to idealny pretekst do dwóch działań: ogłoszenia, że ich tezy (o polskich problemach z Holokaustem) są prawdziwe oraz do

przeniesienia wykładu do mniejszej sali. Historycy nie zostają do niej wpuszczeni, Grabowski mówi więc do potakiwaczy.

POŻYTECZNY BRAUN

Ale to nie koniec – w odpowiedzi na zachowanie Brauna do medialnej propagandy zagraniczne instytucje wykorzystują Grabowskiego. Poza Polską nikt przecież nie wie, że prowokacyjne zachowania posła Konfederacji to norma, więc komunikat wybrzmiał bardziej poważnie – polski parlamentarzysta stosuje przemoc, by nie dopuścić do wykładu o prawdzie historycznej na temat Holokaustu. Dr Robert J. Williams z USC Shoah Foundation pisze: „Z całych sił potępiamy atak na badacza Holokaustu, prof. Jana Grabowskiego, przez polskiego parlamentarzystę”. Z podobnym oświadczeniem występuje wpływowe Centrum Wiesenthala, w którym opisują zachowanie Brauna, i przytaczają komentarze izraelskich historyków zażenowanych i oburzonych incydentem. Zauważmy, że gdyby to nie Braun zagrał tu pierwszoplanową rolę, ale polscy historycy dyskutujący z Grabowskim, do tych samych instytucji można by wysłać całe sprawozdanie z debaty – konkretne, pełne przykładów i naukowych tez. Poseł Konfederacji to uniemożliwił – Niemiecki Instytut Historyczny zatriumfował, lepszego prezentu nie mógł z okazji tego wykładu otrzymać.

ZAMIANA RÓL

A przecież fundament pod taki przekaz jest budowany od lat. Z racji tego, że niemieckie obozy koncentracyjne było budowane głównie na okupowanych ziemiach polskich, wystarczyło doprawdy niewiele manipulacji, by upowszechnić określenie „polskie obozy koncentracyjne”. Dopiero od ośmiu lat instytucje państwowe intensywniej sprzeciwiają się tym kłamstwom i zwracają się do ich autorów o sprostowania. Jednak tezy formułowane od kilku ostatnich lat są dużo bardziej przebiegłe. Ich autorzy oscylują głównie wokół trzech, które pozwalają zdjąć odium całej odpowiedzialności z nazistowskich Niemiec.

Grabowski i Engelking zdradzili się z tą manipulacją, gdy w książce „Dalej jest noc” stosowali określenie „administracja niemiecko-polska”. W myśl tej frazy powstają wszystkie ich prace, bo różnych Polaków pracujących na stanowiskach policjantów czy sołtysów traktuje się nie jak okupowanych podludzi, którym grozi śmierć za niewykonanie rozkazu, tylko jako zwykłych urzędników. Generalne Gubernatorstwo jawi się tu jako jakaś odmiana Polski, a pracujący w niej ludzie według tej narracji mają swobodę działania. Jeśli więc Niemcy likwidowali getta w powiatowych miasteczkach i wywozili z nich Żydów, by mordować ich

Odkąd Grabowski stwierdził, że Polacy zabili 200 tys. Żydów w czasie okupacji, odcięli się od niego nawet badacze z PAN. Gdzie znalazł zatrudnienie? W Niemczech. Otrzymał specjalne stypendium od Institut für Zeitgeschichte w Monachium na badanie Holokaustu na ziemiach okupowanej Polski

w obozach zagłady, a lokalna policja była zmuszona, by np. podstawić wozy pod bramę, to dla tych autorów jest to równoznaczne z zaangażowaniem w Holokaust. O tym, że za niewykonanie rozkazu groziła śmierć, się nie mówi, bo psułoby to narrację, ale jednak w ten sposób zwyczajnie i ordynarnie się kłamie. I znowu – przenosi się część odpowiedzialności z Niemców na Polaków. Jednocześnie tej samej zasady nie stosuje się do policji w gettach, która przecież nie składała się z Niemców, ale z okupowanej ludności – tym razem żydowskiej.

Drugim chwytem jest twierdzenie o polskim antysemityzmie, który miał być podglebiem Holokaustu. Ostatnio

wybrzmiało to w słynnej rozmowie Barbary Engelking z Moniką Olejnik z okazji 80. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim: „Niekiedy przychodzili się gapić po prostu, komentarze były najróżniejsze. Najczęstsze były komentarze: »Żydki się palą«”. Ale nie jest to jedynie wybryk słynącej z nierzetelności historycznej profesor, bo ten wyolbrzymiony w swoim brzmieniu cytat widnieje w jeszcze innym, niewralgicznym miejscu.

Hasło „O, Żydki się palą, Żydki skaczą” można znaleźć w pierwszej sali wystawy czasowej poświęconej powstaniu w getcie warszawskim w Muzeum Polin. Wystawa nosi nazwę „Wokół nas morze ognia” i jej tendencyjność jest widoczna w pierwszym etapie zwiedzania. Czyli niemiecką zbrodnię likwidacji getta i heroiczne powstanie Żydów otwiera domniemany cytat Polaków biernych wobec zła. Nie niemiecki rozkaz niszczenia getta, nie zapisy oficerów Wehrmachtu zapalonych w swoim NSDAP-owskim fanatyzmie, ale zasłyszana i niepodparta źródłem odzywka jakiegos przypadkowego przechodnia. Autorką koncepcji wystawy jest Engelking, ale tworzył ją cały sztab ludzi – informacja o niemieckich zbrodniach pojawia się na wystawie dopiero w siódmej sali. Wcześniej cierpienie Żydów jest przedstawione po prostu w kontekście tłumienia powstania, ale nie jest do końca jasne, kto je tłum. W pierwszej sali pojawia się słowo „niemiecki” na końcu po prawej stronie, bo tam jest po prostu

zdjęcie „niemieckiego działu”, więc tak jest fotografia podpisana – nic więcej. Zatem na początku nie ma Niemców, a gdzie są Polacy? W roli współwinnych. „Gruby mur obojętności i braku zrozumienia, jakim otoczyli się Polacy”. „Na dachach siedzieli ludzie, Polacy, i przyglądali się temu, co się u nas dzieje” – takie cytaty ukazują się oczom zwiedzających.

Czyli giną Żydzi, przyglądają się Polacy, a morduje nie wiadomo kto. Już nawet nie naziści. Merkel i Scholz, od lat mówiący, że w 1945 r. wywołano „Niemcy od nazistów”, już nie muszą dokonywać retorycznych fikolków. Jest grono instytucji i ludzi, którzy zabrali się za wywrócenie historii do góry nogami.

Jedna, a może dwie ukraińskie ofensywy

Jesteśmy coraz bliżej nie tylko kolejnego kontruderzenia strony ukraińskiej, lecz także realizacji planu marzeń Waszyngtonu, czyli rozstrzygnięcia wojny i przyszłości Ukrainy do końca br.



MAREK BUDZISZ

Rosjan czeka brutalne przebudzenie po tym, jak zacznie się ukraińska ofensywa – powiedział mediom Lindsey Graham, republikański senator z Karoliny Południowej. Jego opinią jest tym ciekawsza, że ten pułkownik rezerwy amerykańskiego lotnictwa spotkał się w Kijowie z prezydentem Zelenskim i gen. Załuznym i został wprowadzony – jak się uważa – przez stronę ukraińską w plany zbliżającego się uderzenia.

Może ono się zacząć już łada moment, co potwierdza opublikowanie przez gen. Załuznego specjalnego filmu „ku pokrzepieniu serc”, który to dowódca ukraińskich sił zbrojnych opatrzył komentarzem, że „nadszedł już czas, by odebrać, co nasze”. Zelenski po posiedzeniu Stawki, czyli ukraińskiego przywództwa czasu wojny, powiedział, że decyzje zostały podjęte, a jego doradca Podolak w wywiadzie dla stacji CNN oświadczył, że wszystko, co się obecnie dzieje, jest działaniem poprzedzającym i przygotowującym uderzenie. Lindsey Graham zdradził też rozmawiającym z nim dziennikarzom, że „w najbliższych dniach będziemy świadkami imponującego pokazu siły Ukraińców”.

AMBITNE PLANY

Jeśli prześledzimy, co w ostatnich dniach działo się na frontach rosyjsko-ukraińskiej wojny i jakie deklaracje polityków temu towarzyszyły, to w efekcie uzyskamy wgląd w plany strony ukraińskiej. Nie dotyczą one wyłącznie oczekiwanego od pewnego czasu kontruderzenia, ale są znacznie ambitniejsze. Mamy – jak się wydaje – w gruncie rzeczy do czynienia z domykaniem strategii zwycięstwa Ukrainy w wojnie, jej zakończenia i zbudowania wraz z sojusznikami z Zachodu stabilnego systemu bezpieczeństwa.

Zacznijmy od serii niecodziennych oświadczeń dyplomatycznych. I tak Joe Biden pytany przez dziennikarzy w trak-



cie spotkania państw grupy G7 w japońskiej Hiroszynie, czy dostawy dla Ukrainy myśliwców F-16 nie wywołują jego obaw odpowiedział, że bać powinni się Rosjanie, a kilka dni później pojawiły się informacje, według których w ramach kolejnego pakietu amerykańskiej pomocy wojskowej Ukraina ma otrzymać systemy Avenger, mające znacząco wzmocnić system obrony powietrznej. Ale to nie wszystko, bo pod koniec maja grupa kongresmanów z obydwu partii wezwała Bidena, by ten podjął decyzję o przekazaniu Ukrainie rakiet systemu ATACMS o dalszym zasięgu. Co ciekawe, pytany o to przez dziennikarzy amerykański prezydent odpowiedział, że sprawa jest cały czas w grze, a zazwyczaj dobrze poinformowany portal Foreign Policy uważa, że rakiety nie muszą pochodzić z amerykańskich arsenałów, bo znajdują się też w zasobach takich państw, jak Polska, Rumunia czy Korea Południowa. Wystarczy więc, by Waszyngton – podobnie jak w przypadku F-16 – pozwolił sojusznikom na przekazanie swoich pocisków.

O zmianie nastrojów w państwach Zachodu świadczy też niedawna deklaracja Steffena Hebestreita, rzecznika prasowego niemieckiego urzędu kanclerskiego, który powiedział, że zdaniem Berlina Ukraina w celach samoobrony może atakować terytorium Federacji Rosyjskiej. To kolejne, po decyzjach o przyznaniu 2,7 mld euro pomocy woj-

skowej i informacjach o przygotowywanym kolejnym pakiecie wartym nawet 9 mld euro, świadectwo zmiany nastawienia Niemiec do kwestii warunków i sposobu zakończenia wojny na Ukrainie. Ostatnie decyzje o zamknięciu czterech z pięciu działających na terenie Republiki Federalnej rosyjskich konsulatów są też potwierdzeniem zachodzących zmian.

Jonas Gahr Støre, premier Norwegii, powiedział po spotkaniu z Jensem Stoltenbergiem, że jego kraj udzieli w czasie najbliższych pięciu lat pomocy wojskowej Ukrainie o łącznej wartości 7 mld euro. I tak to będzie wyglądało zapewne w praktyce.

Państwa Zachodu zrzucą się i wesprą Kijów dziesiątkami miliardów euro i dolarów, po to by Ukraina była w stanie utrzymać już po wojnie i zmodernizować swoją armię, a państwo przekształciło się w wysuniętą kasztelanę NATO na wschodzie, zdolne do blokowania rosyjskich zapędów imperialnych.

F-16 WEJDĄ DO WALKI

Największe zmiany na linii frontu mogą nastąpić po tym, jak Ukraina dostanie myśliwce F-16. Roman Switan, ukraiński ekspert wojskowy, powiedział portalowi Ważne Historie, że doświadczeni lotnicy – a takich Ukraina ma pod dostatkiem – są w stanie nauczyć się je pilotować w ciągu 4–5 miesięcy, a to oznacza, że już wczesną jesienią we wrześniu lub w październiku, myśliwce te mogą wejść do walki. Jego słowa potwierdził w rozmowie z Głosem Ameryki płk Dan Hampton, legenda amerykańskiego lotnictwa wojskowego, pilot, który ma na swoim koncie największą liczbę godzin lotu w II wojnie światowej odznaczeń i który szkolił w państwach Bliskiego Wschodu. Jest on przekonany, że czas niezbędny na doszkolenie i tak umiędlących latać – jak mówi – ukraińskich pilotów nie będzie długi.

Ale to nie jedyna zaleta F-16 – myśliwców, które są bronią ofensywną. Nie potrzebują one ani wielkiego zaplecza technicznego, ani specjalnych pasów startowych. „Startowałem F-16 z miejsc na Bliskim Wschodzie – mówi Hampton – gdzie bałbym się jeździć samochodem. Jest to bardzo solidny samolot i może być konserwowany przy znacznie mniejszej infrastrukturze, niż zwykle się uważa”.

Zarówno Switan, jak i Hampton podkreślają ofensywne znaczenie tych samolotów i ich użyteczność, jeśli chodzi o przełamywanie umocnionych linii obrony przeciwnika. Jeśli Ukraina dostanie – jak się mówi – 40 sztuk tych maszyn, to wówczas znacząco wzrosną możliwości uderzeniowe jej armii. Zdaniem ukraińskich wojskowych nie będą one niezbędne na Zaporozżu czy na podejściu pod Krym, bo tam płaski, równinny teren umożliwia skuteczne użycie artylerii, w czym strona ukraińska jest dobra. Ale już wyzwalanie Donbasu, gdzie jest wiele przeszkód naturalnych, obszar jest silnie zurbanizowany, a teren pofałdowany, byłoby trudne bez tego rodzaju wsparcia z powietrza.

KONIEC WOJNY DO KONCA ROKU?

To zaś oznacza, że właśnie być może zdecydowały się losy nie jednej, ale dwóch ukraińskich ofensyw. Pierwsza – ta, na którą wszyscy czekają – miałyby przełamać rosyjskie linie w kilku punktach i doprowadzić do odbicia kolejnych obszarów. I druga – jesienna, która miałaby wyprzeć Rosjan i *de facto* zakończyć wojnę. W takim ujęciu opóźnianie ofensywy, na którą już od kilku tygodni wszyscy niecierpliwie czekają, mogło być spowodowane chęcią wywarcia presji przez Kijów na zachodnich sojuszników, by przełamać ich opory w kwestii dostaw bardziej zaawansowanych systemów broni. To udało się w Hiroszynie i jesteśmy coraz bliżej nie tylko kolejnego kontruderzenia strony ukraińskiej, lecz także realizacji planu marzeń Waszyngtonu, czyli rozstrzygnięcia wojny i przyszłości Ukrainy do końca br.

O takim scenariuszu piszą amerykańskie media, powołując się na anonimowych urzędników w administracji Bidena, którzy akcentują pogląd, iż obecna ekipa nie ma ochoty na kampanię wyborczą, w której będzie rywalizować z Donaldem Trumpem, jeśli wojna nie będzie zmierzła do pożądanego finału.

PRZYGOTOWANIA POŁA WALKI

Na razie strona ukraińska realizuje wiele operacji, które eksperci wojskowi określają mianem przygotowania pola walki. Federico Borsari, ekspert think tanku strategicznego CEPA, napisał, że



ukraińskie siły specjalne są w ostatnich tygodniach bardzo aktywne. Choć ich działania na tyłach wroga „są owiane tajemnicą i nigdy nie ogłaszane, istnieje więcej niż wystarczająco dowodów potwierdzających realizację operacji wysokiego ryzyka, obejmujących akty sabotażu, ataki dronów i ukierunkowane uderzenia na cele i kolaborantów o dużej wartości zarówno na terytoriach okupowanych, jak i w regionach przygranicznych Rosji”. Intensywnie są też mapowane tereny, na których może rozwinąć się ukraińskie kontruderzenie.

Od reguły tajności jest wszakże jeden zasadniczy wyjątek. Strona ukraińska celowo nagłaśnia swoje działania na głębokich tyłach w Rosji. Wypowiadający się w imieniu Legionu Wolna Rosja, który niedawno zaatakował obwód biełgorodzki, rzecznik tej formacji skrywający się pod pseudonimem Cezar powiedział, że trwa teraz intensywna akcja werbunkowa, bo zamiarem dowództwa jest dojście do Moskwy, a na to potrzeba będzie więcej sił.

Rosyjską stolicę zaatakowały też ukraińskie drony. Opozycyjny portal Meduza zebrał wszystkie dostępne informacje na ten temat i na tej podstawie sformułował hipotezę, że celem uderzenia była nie tyle rosyjska stolica, ile słynna Rublowka, skupisko rezydencji milionerów i jeden z najbardziej prestiżowych adresów w Rosji, w przeszłości miejsce wypoczynku Stalina czy Breżniewa. Farida Rustamowa, niezależna rosyjska dziennikarka specjalizująca się w opisywaniu nastrojów w obozie władzy, sformułowała hipotezę, że celem ataku mogła być nawet rezydencja Putina w Nowo-Ogariowie, a uderzenie było dobrze wywiadowczo przygotowane, bo władca Rosji miał się tam znajdować lub zmierzał do swojej willi. Iwan Jakowina, dziennikarz portalu NV, w przeszłości wiele lat mieszkający w Moskwie, napisał, że atak na Rublowkę ma jeszcze jeden psychologiczny wymiar. Jego zdaniem zwykli Rosjanie nienawidzą tego miejsca, które uosabia rozpasanie i wszechwładzę elity władzy plawiącej się w luksusie. Komentarze w mediach społecznościowych potwierdzają te oceny – przeważa, jak napisał, radość, że z wojną zapoznają się nie tylko młodzi ludzie z prowincji,

mobilizowani i wysyłani na front. Kyryło Budanow, kierujący ukraińskim wywiadem wojskowym, powiedział, że właśnie zaczął się proces rozpadu Rosji, bo wojna wkracza na teren Federacji Rosyjskiej, a to uruchomi procesy, które trudno będzie komukolwiek zatrzymać.

Krótkoterminowo akcje tego rodzaju mają odwrócić uwagę Kremla od linii frontu na Ukrainie, zmusić Moskwę do przesunięcia części swoich oddziałów na inne kierunki, choćby po to, by bronić Rosji, do czego coraz agresywniej wzywają turbopatrioci w rodzaju Prigożyna i Girkina-Strielkowa. Te działania, polegające na destabilizacji rosyjskich regionów nadgranicznych, mają też wymiar strate-

W sensie strategicznym Kijów już wygrał. Nie znaczy to, że ofensywa skończy się 100-proc. sukcesem, ale polityczne skutki wojny są czytelne. Ukraina będzie w rodzinie państw Zachodu, zostanie wzmocniona wojskowo przez sojuszników i będzie miała perspektywę odbudowy

giczny. Podnoszą stawkę, o którą toczy się gra, bo Podolak powiedział niedawno, że po wojnie trzeba będzie wzdłuż granic Ukrainy utworzyć strefę zdemilitaryzowaną o szerokości od 100 do 150 km. Na razie gubernator obwodu biełgorodzkiego Waczesław Gładkow ogłosił ewakuację dzieci z kilku nadgranicznych regionów, co oznacza, że destabilizacja się pogłębia i władze zaczynają panikować.

Adam Simpson, analityk w australijskim think tanku ASPI, napisał, że ostatni szczyt państw z grupy G7 był przełomowym punktem w wojnie trwającej na Ukrainie i podjęte wówczas decyzje pozwalają sądzić, że w sensie strategicznym Kijów już wygrał. Nie znaczy to, iż ofensywa skończy się 100-proc. sukcesem, ale

polityczne skutki wojny są czytelne. Ukraina będzie w rodzinie państw Zachodu, zostanie wzmocniona wojskowo przez sojuszników i będzie miała perspektywę odbudowy. Nie wejdzie automatycznie do NATO, ale z perspektywy Waszyngtonu przygotowywana konstrukcja jest może nawet lepsza. Jak na łamach „The Wall Street Journal” napisał prof. Walter Russell Mead, w wyniku wojny wyłoni się kraj, który będzie nową, potężną siłą w Europie oraz którego interesy i perspektywy będą mocno związane z USA”. I dlatego w jego opinii uprawnione jest mówienie o Ukrainie w kategoriach Izraela Wschodu, państwa nie tylko mającego silną armię, lecz także w sposób szczególnie związane go

z Ameryką. Korespondent dziennika w Londynie strategię realizowaną właśnie przez Waszyngton ujął w sposób jeszcze bardziej lapidarny. Jilian Kay Melchior napisała, iż po tym, jak Polska rozbuduje do 2030 r. swoje siły zbrojne – co będzie oznaczało choćby to, że Warszawa będzie dysponowała większym potencjałem pancernym niż cała Europa Zachodnia razem wzięta – i po tym jak Ukrainę uda się umocnić, powstanie w naszej części kontynentu sojusz silnie proamerykańskich państw, zainteresowanych powstrzymaniem Rosji. Walter Russell Mead jest też zdania, że taka koalicja chętnych – złożona z Polski, Ukrainy, Bałtów, państw skandynawskich i docelowo może również Rumunii i Bułgarii – będzie też najlepszym narzędziem, przy którego użyciu Waszyngton bę-

dzie mógł blokować nadal silne, choćby w Paryżu, marzenia o „suwerenności strategicznej Europy”.

Wszystko to razem wzięte oznacza, że podjęto już decyzje polityczne dotyczące przyszłego modelu bezpieczeństwa obejmującego Ukrainę. Kijów będzie miał to, o co zabiegał od dawna – zarówno formalne gwarancje, jak i faktyczne wsparcie, które pozwoli Ukrainie przez najbliższe lata, a może nawet dziesięciolecia bronić się i odstraszać Rosję. A zatem warunki polityczne do rozpoczęcia decydującej fazy wojny zostały zbudowane. Teraz trzeba tylko udowodnić Rosjanom, że Putin, podejmując decyzję o ataku, popełnił jeden z największych historycznych błędów w dziejach państwa rosyjskiego.



Od bogactwa do ubóstwa?

Najbiedniejsze gospodarstwa domowe w Europie są najbardziej dotknięte wysoką inflacją. Takie kraje jak Szwecja, uchodzące za oazy równości i ugruntowanego dobrobytu, na nowo odkrywają ubóstwo



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Reportaż telewizji France 3. W miasteczku Beaumont-du-Gâtinais w departamencie Seine-et-Marne w środkowej Francji jeden z ogrodów przydomowych został przekształcony w tymczasowy pchli targ. Ubrania, naczynia i książki są sprzedawane po niskich cenach. Mohamed El Fennane chodzi między

rozstawionymi stołami w poszukiwaniu okazji. Wychodzi z garnkami za 2 euro i parą butów za 1 euro: „Kupujemy dużo rzeczy używanych, zamiast iść do sklepu po nowe, bo nie stać nas na nowe” – mówi. Siła nabywcza, od lat jedno z głównych zmartwień Francuzów, jeszcze zmalała w obliczu inflacji i rosnących cen energii. Kilka kilometrów dalej, w Oncy-sur-École, w sąsiednim departamencie Essonne, Bernard Deschamps wystawił w swoim garażu zawartość domu odziedziczonego po matce. Dom idzie na sprzedaż i wszystko musi zniknąć. Ceny są korzystne, ale kupcy i tak negocjują. „Siła nabywcza maleje, dotyczy to wszystkich, każdą klasę społeczną” – przekonuje. Dla tego Francuzi odkryli na nowo pchle

targi, lumpeksy i sprzedaże garażowe. W każdym razie jeśli wierzyć mediom nad Sekwaną. Bo dane ekonomiczne nie są złe.

Inflacja w Europie Zachodniej wykazuje oznaki wyhamowania. We Francji spadła w maju do najniższego poziomu od roku (5,1 proc.). Kraj uniknął także recesji. PKB wzrósł w pierwszych trzech miesiącach roku o 0,2 proc. Ale jeśli chodzi o handel, to ceny pozostają wysokie, szczególnie w sektorze spożywczym. Inflacja także nie jest ta sama w całym kraju. W połowie maja przewodniczący stowarzyszenia organizacji charytatywnej Secours Populaire Français Jean Stellittano apelował do rządu o pomoc, wskazując na wyższą inflację (8,4 proc.) w czterech departamentach południa,

nad Łazurowym Wybrzeżem, co powoduje, że liczba darów z żywności maleje, a liczba potrzebujących jednocześnie rośnie. Wśród beneficjentów pomocy żywnościowej są także uchodźcy z Ukrainy. „Stoimy w obliczu czegoś bezprecedensowego. Inflacji, której doświadczaliśmy ostatnim razem 40 lat temu. Ludzie, którym pomagamy, pracują, a i tak nie wiążą końca z końcem” – dodał Stellitano.

ZATRZYMAĆ SPIRALĘ CEN

Minister gospodarki Bruno Le Maire wprowadził w marcu trzymiesięczny plan antyinflacyjny po długich i burzliwych negocjacjach z sieciami supermarketów. W jego wyniku sprzedawcy zobowiązali się do oferowania do czerwca „najniższych możliwych” cen na wybrane produkty. Minister uważa, że plan działa. Krytycy twierdzą, że te 4 mln Francuzów, które należą do najuboższych, niewiele na tym zyskało. Według stowarzyszenia konsumentów UFC-Que Choisir ceny wcale nie spadły, tylko lekko wzrosły w większości supermarketów. Dlatego Le Maire chce zmusić sieci do nowych zobowiązań, czyli kontynuacji obniżki cen aż do końca tego lata. „Jestem zdeterminowany, by zatrzymać spiralę wzrostu cen do jesieni” – mówił minister w telewizji France 2. Jak dodał, francuski rząd może opodatkować branżę spożywczą, jeśli nie powiodą się rozmowy z producentami.

Nie tylko Francja szuka odpowiedzi na inflację, która dotyka najuboższych, a także przysparza trudności klasie średniej, podczas gdy wzrost płac pozostaje ograniczony. Ci pierwsi w coraz większych liczbach zasilają kolejki do banków żywności, a wśród tych drugich narasta niezadowolenie. Francuski rząd chce je załagodzić, szczególnie po uchwaleniu kontrowersyjnej i kontestowanej na ulicy reformy emerytur. Według fundacji charytatywnej Abbé Pierre, ubóstwo dotyczy dziś od 14 do 15 proc. populacji Francji, czyli ok. 10 mln ludzi. W Europie próg ubóstwa ustala się najczęściej na poziomie 60 proc. średniej siły nabywczej. Także Austria walczy z inflacją, gdzie 2,3 proc. ludności w 2022 r. nie było stać na

podstawowe wydatki jak jedzenie czy ogrzewanie. W maju br. ceny wzrosły tu o 8,8 proc. To o prawie 3 proc. wyższa inflacja niż w pozostałej części strefy euro (6,1 proc.). Jest to i tak mniej niż w 2022 r., kiedy inflacja wyniosła prawie 10 proc. Ale zmniejsza się wolno. Zbyt wolno, jak twierdzi minister finansów Magnus Brunner. Rząd jest od dawna oskarżany przez ekonomistów o co najmniej nierozważną politykę fiskalną, o to, że m.in. w postaci pakietów pomocowych dla przemysłu i domostw podtrzymuje sztucznie wzrost cen. Do tego handel domaga się kolejnych dopłat do rachunków energii, a socjaldemokraci podwyżki emerytur o 5 proc.

Jak twierdzi Bank Światowy, widać nowy, niepokojący trend w Europie. Wzrost nierówności, zwiększenie ubóstwa i tąpnięcie realnych wynagrodzeń, zwłaszcza wśród najmniej zarabiających

Jak twierdzi Bank Światowy, widać nowy, niepokojący trend w Europie. Wzrost nierówności, zwiększenie ubóstwa i tąpnięcie realnych wynagrodzeń zwłaszcza wśród najmniej zarabiających. Pandemia COVID-19, a potem wojna na Ukrainie wraz z putinflacją uruchomiły „wielokryzys”, który wystawił państwa opiekuńcze na ciężką próbę.

STRACH PRZED BIEDĄ

Dystrybucja żywności w berlińskiej dzielnicy Hellersdorf. Samotna matka Monique Ruck czeka na swoją kolej. „Jem już w zasadzie tylko resztki po dzieciach. I kupuję wszystko w promocji. Jeśli chleb tostowy jest w promocji, kupuję pięć opakowań i zamrażam je, żeby jakoś dać sobie radę” – mówi kobieta w rozmowie z niemieckim tygodnikiem „Der Spiegel”. 6,9 proc. – tyle wyniosła infla-

cja w Niemczech w 2022 r. To mniej niż w Polsce, ale ceny energii wzrosły w tym czasie średnio o 34,7 proc. Najnowsze dane z maja 2023 r. pokazały również, że ceny żywności są mniej więcej na tym samym poziomie jak w analogicznym okresie rok wcześniej, wciąż powyżej średniej przy wzroście o 14,9 proc. Niemcy weszły także w recesję. Gospodarka skurczyła się w pierwszym kwartale br. o 0,3 proc. Tym samym odnotowała dwa niekorzystne kwartały z rzędu. W czwartym kwartale 2022 r. niemiecki PKB zmniejszył się już o 0,5 proc. Konsumpcja także wyraźnie zmalała. Niemcy wydali mniej na żywność, ubrania, obuwie czy meble. Nie oznacza to bynajmniej, że nasi za-

chodni sąsiedzi znaleźli się w dramatycznej sytuacji. Bynajmniej. Ale dane z rynków to jedno. Czym innym jest poczucie zubożenia w społeczeństwie.

Niemal połowa mieszkańców Niemiec obawia się o sytuację materialną na starość – wynika z badań zleconych przez Zrzeszenia Banków Niemieckich (BdB). 45 proc. osób w wieku 30–59 lat martwi się, że na emeryturze znajdzie się w kiepskiej sytuacji finansowej. Jeszcze trzy lata temu odsetek ten wynosił 30 proc. Granica

ubóstwa to według urzędu statystycznego za Odrą dla osoby mieszkającej samotnie 1148 euro netto miesięcznie, wliczając w to pensję i świadczenia socjalne. Średnio oczywiście, bowiem granica ta jest niższa we wschodnich landach i oscyluje w okolicach 900 euro. „Odsetek osób ubogich znacznie wzrósł w ostatniej dekadzie” – czytamy w raporcie Instytutu Nauk Ekonomicznych i Społecznych z 2022 r. Tendencja rosnąca. Ubóstwo oznacza przy tym także brak lub nieodpowiednie lokum. Np. w takim mieście jak Mannheim do 2040 r. zabraknie ok. 17 tys. mieszkań.

Od dawna stabilna i dobrze prosperująca gospodarka Szwecji jest obecnie jedną z najsłabszych w Europie. Kraj z trudem uniknął recesji, odnotowując wzrost PKB o 0,6 proc. w pierwszych trzech miesiącach br. Tamtejszy bank centralny spodziewa się jednak,

że szwedzka gospodarka skurczy się o 0,7 proc. w br. Inflacja uporczywie utrzymuje się na poziomie dwucyfrowym (10 proc.). „Pierwsza fala inflacji dotyczyła tylko cen energii i niektórych cen towarów z importu. Ale potem rozprzestrzeniła się na całą gospodarkę” – przyznała Annika Alexius, ekonomistka z Uniwersytetu Sztokholmskiego w rozmowie z francuskim radiem RFI. Najbardziej dotknięte są gospodarstwa domowe o niskich dochodach, które już wcześniej z trudem wiązały koniec z końcem, ale nawet klasa średnia – która ze względu na wieloletnią politykę niskich stóp procentowych banku centralnego należy do najbardziej zadłużonych w Europie – ma trudności ze spłatą hipotek. Według Czerwonego Krzyża do niedawna pomocy w postaci żywności potrzebowali tylko ci żyjący na marginesie społeczeństwa. Teraz są to całe grupy. Rodziny z dziećmi, osoby starsze, osoby przewlekle chore. Dane ze Statistics Sweden pokazują, że prawie 15 proc. Szwedów jest zagrożonych ubóstwem definiowanym jako mniej niż 60 proc. średniego dochodu wynoszącego 33,2 tys. koron (3140 dol.) miesięcznie. Minister finansów Elisabeth Svantesson ostrzegła sieci handlowe, że nie będzie tolerowała „nieuzasadnionych wzrostów cen”.

DESPERACJA?

Najbardziej dramatyczna sytuacja, jeśli wierzyć doniesieniom medialnym, panuje jednak nad Tamizą. Kryzys „kosz-

tów życia” (cost of living crisis) – jak jest on nazywany na Wyspach Brytyjskich – spowodował, że prawie 1 mln domostw zalega z czynszem lub ratami kredytowymi. Inflacja cen żywności spadła w maju do 15,4 proc., ale nadal jest to drugi najwyższy wskaźnik w historii. W 2022 r. ceny niektórych produktów, jak masło, mleko czy płatki śniadaniowe, wzrosły nawet o 40 proc. A rachunki za energię się podwoiły – z średnio 1277 funtów do 2500. Wielka Brytania tak jak Niemcy płaci cenę za uzależnienie do tej pory od rosyjskiego gazu. Agencja Moody's przewiduje, że kraj w br. odnotuje recesję. I to nie tylko techniczna jak Niemcy, choć prognozy co do tego są sprzeczne. Koszty kredytów hipotecznych rosną, gdyż wszyscy spodziewają się, że stopy procentowe zostaną ponownie podniesione. „Żyliśmy przez lata ponad stan i teraz płacimy za to wysoką cenę” – czytamy na łamach „The Daily Telegraph”.

Brytyjczycy oszczędzają gdzie się da, rezygnując nawet z oglądania (na żywo) meczów piłki nożnej. Jak wynika z sondażu zrealizowanego dla gazety „Metro” 1 na 10 młodych Brytyjczyków kradnie podstawowe produkty w sklepach. Najchętniej kradzionym produktem jest lek przeciwbólowy Calpol dla dzieci. Mleko, ser i inne podstawowe produkty są dodatkowo zabezpieczane przed kradzieżą.

W rządzie trwa debata nad wprowadzeniem maksymalnego limitu cen na podstawowe produkty żywnościowe, jak w latach 70. XX w. Na Węgrzech

podobne rozwiązania tylko pogłębiły kryzys i doprowadziły do braków towarów w sklepach. Ale rząd Rishiego Sunaka jest w desperacji. Laburzyści wyprzedzają rządzących torysów w sondażach już o 16 pp. (44:28). Krytycy wskazują na udział brexitu we wzroście cen, szczególnie produktów importowanych, i apelują do rządu, by nie szedł drogą realnego socjalizmu. „Czym są podstawowe produkty? Mydło? Ale jakie? Płynne, twarde? A ubrania? Zaraz laburzyści powiedzą, że premier chce, by biedni nosili tanie spodnie i żywili się kapustą. Nie, nie idźmy tą drogą!” – grzmi „The Spectator”.

Na tym tle Polska gospodarka jawi się jako nad wyraz stabilna i dynamiczna. Inflacja wprawdzie wciąż jest dwucyfrowa (13 proc. w maju), ale Międzynarodowy Fundusz Walutowy pozytywnie ocenia stan naszej gospodarki. Polska jest m.in. liderem pod względem tempa wzrostu PKB w I kwartale br. Według ostatnich danych GUS, PKB w Polsce wzrósł o 3,8 proc. w porównaniu do IV kwartału 2022 r. Pod względem tempa wzrostu wyprzedziliśmy państwa UE i Chiny. A jest nadzieja, że do jesieni inflacja spadnie do poziomu jednocyfrowego. Ekspert straszyli, że poziom biedy będzie rósł i wróci do poziomu sprzed 2015 r., czyli skala biedy skoczy o co najmniej 2 pp. (w 2021 r. wyniosła ona 4,2 proc.). Ale te prognozy nie znalazły na razie potwierdzenia. W skrócie: Polska korzysta na kryzysie i goni bogatsze kraje Europy. 

GO W SPORCIE?

OGŁĄDAJ **WE WTORKI O 12.35**
W TELEWIZJI **W POLSCE PL**

Sponsor programu





Nowy status ekonomiczny często rodzi relatywizm moralny, potrzebę odrzucenia starego porządku. Polska na szczęście jest nadal konserwatywnym krajem katolickim i nie poszła w ślady Hiszpanii, co nie znaczy, że jej to wcale nie grozi

Podzielamy podobne wartości, mamy też wspólnych wrogów

Z *Ivánem Espinosą de los Monteros*, hiszpańskim politykiem, deputowanym Korteżów Generalnych, współzałożycielem, a obecnie rzecznikiem partii Vox, trzeciej siły w Kongresie Deputowanych Hiszpanii, rozmawia Małgorzata Wołczyk

Polscy konserwatyści gratulują partii Vox wyników w ostatnich wyborach regionalnych. Nie ukrywamy też, że w następnych wyborach życzymy wam triumfu absolutnego, tak by Bruksela dla odmiany wreszcie mogła przestać zajmować się Polską, a skierowała całą swoją uwagę, sankcje i rezolucje przeciwko nowemu, konserwatywnemu rządowi Hiszpanii.

Iván Espinosa de los Monteros: [śmiech] Piękne dzięki za takie życzenia!

A tak na poważnie już – jak skomentuje pan wyniki wyborów, które odbyły się 28 maja?

Niedzielne wybory to ogromne zwycięstwo Voxu. Jesteśmy partią, która skonsolidowała się na terytorium całego kraju i której popularność rośnie najszybciej. Pomnożyliśmy trzy-

krotnie liczbę radnych w miastach, ponad trzykrotnie liczbę posłów do parlamentów regionów autonomicznych, jesteśmy obecni we wszystkich stolicach prowincji Hiszpanii. To jest ogromny przyrost i jesteśmy jedną z trzech największych sił Hiszpanii, podczas gdy zniknęły niemal zupełnie partie takie jak Ciudadanos czy Podemos. Zostały jeszcze dwie partie mainstreamu, czyli Partia Ludowa (PP) i Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE). To wymagało od nas wielkiego wysiłku, by stworzyć w krótkim czasie tak rozległą strukturę, a proszę pamiętać, że jesteśmy 40 lat za pozostałymi dwiema partiami. Gdy zobaczyliśmy niedzielne wyniki, zrozumieliśmy, że to doskonały punkt wyjścia do wyborów powszechnych, o których myśleliśmy w niedzielę, że odbędą się w grudniu. Jak się jednak okazało, ogromna porażka socjalistów sprawiła, że premier Pedro Sánchez ogłosił przyspieszone wybory.

Vox stał się decydującą siłą mogącą pokonać autokratyczne rządy Sáncheza, któremu społeczeństwo pokazało czerwona kartkę. Czy przyspieszone wybory to jednak dobra wiadomość dla pańskiej partii?

Wspaniała! Dla nas przedterminowe wybory są oznaką słabości rządzących. Te wybory lokalne i regionalne okazały się ciężkim ciosem dla socjalistów, a jej kandydaci, którzy pojawili się na listach wyborczych, zostali ukarani za przynależność do tej samej partii co premier Sánchez. To on za sprawą sojuszy z terrorystami, komunistami i separatystami sprawił, że wyborcy masowo odwrócili się od partii. Zwołując przedterminowe wybory, nie daje szansy na rebelię we własnych szeregach i zmianę na stanowisku lidera, bo czas, który pozostał do wyborów, jest zbyt krótki i musi być wykorzystany do mobilizacji. Wierzmy, że jeśli dobrze przeprowadzimy kampanię, to Partia Ludowa i Vox osiągną ową większość, czyli 176 mandatów poselskich niezbędnych do rządzenia krajem.

Mówi się w Hiszpanii, że była to jedna z najbrudniejszych kampanii od wielu dekad za sprawą handlu głosami przez lewicę i obecność morderców ETA na listach. Jak wytłumaczyć Polakom, dlaczego Hiszpanie wciąż głoszą na najbardziej skorumpowaną partię w Unii Europejskiej?

Trudno to wytłumaczyć. Można to zrozumieć dopiero wtedy, gdy od czasu Zapatero przez 20 lat oglądało się postępującą degradację moralną narodu. Kiedy przyjechałem 15 lat temu do Polski, gdzie spędziłem parę lat, pracując jako biznesmen, wyraźnie widziałem postęp gospodarczy, który Polska przeżywała. Byłem zafascynowany przemianą Polski, ale też ostrzegałem polskich przyjaciół, że taki skok w dobrobyt może się odbić tak jak w Hiszpanii na duchowej tkance narodu. Nowy status ekonomiczny często rodzi relatywizm moralny, potrzebę odrzucenia starego porządku. Polska na szczęście jest nadal konserwatywnym krajem katolickim i nie poszła w ślady Hiszpanii, co nie znaczy, że jej to wcale nie grozi. Dlatego dzisiaj w moim kraju ludziom jest czasem wszystko jedno, czy głoszą na skorumpowanych socjalistów, czy na terrorystów, bo pewnie zmiany w społeczeństwie zaszły zbyt daleko.

Rok temu nawet Donald Tusk interweniował w wasze wybory regionalne, próbując zakazać paktowania Partii Ludowej z Voxem. Dlaczego ludowcy, w końcu z etykiety: chadecy i prawica, mają taką alergię wobec was, konserwatystów, czy PiS w Polsce?

Dla Hiszpanii

– w przeciwieństwie do Polski
– problem Ukrainy jest czymś bardzo odległym geograficznie, społecznie, a z kolei dla nas np. kryzys i upadek Wenezueli jest czymś, co śledzimy i przeżywamy intensywniej niż wy. Mógłbym więc zapytać Polaków, którzy uważają, że nie dość jeszcze potępiliśmy Putina, dlaczego nie potępiają też agresorów, którzy dla nas stanowią zagrożenie?

Partia Ludowa cierpi od lat na poważny problem, którym jest ogromny kompleks wobec lewicy. Cały czas swój punkt odniesienia mają po lewej stronie sceny politycznej i tam szukają akceptacji i pozwolenia na rządzenie, porzucając idee, które kiedyś były dla niej ważne. Od 2004 r. nie byli w stanie rozpocząć ani jednej batalii kulturowej. Nie umieli stawić czoła lewicy i nacjonalizmowi, gdy miał miejsce zamach separatystów w Katalonii. Nie byli w stanie ani mu zapobiec, ani stłumić. To prawnicy Voxu, który wtedy, w 2017 r., nawet nie miał reprezentacji w Kongresie, postawili puczystów przed trybunałem. Ludowcy żyją w paraliżu, którego nie sposób pojąć i właśnie dlatego powstał Vox. Gdyby Partia Ludowa była ugrupowaniem normalnej centroprawicy, nie byłoby powodów, by tworzyć od początku konserwatywną partię. Partia Ludowa kupuje wszystkie towary, które lewica produkuje z agendy radykalnego feminizmu, klimatyzmu, teorii płci itd.

Ludowcy boją się tworzyć sojusz z partią, której przypina się łatkę skrajnej czy nawet postfrankistowskiej prawicy?

Owszem, tyle że w Hiszpanii nie ma skrajnej prawicy. Jest jakaś garstka, która nie ma reprezentacji w Kongresie ani w radach miejskich. Za to, owszem, istnieje skrajna lewica i Partia Komunistyczna Hiszpanii, które weszły do ekipy rządzącej Sáncheza. I ta lewica, choć tak radykalna, odwołująca się czasem do ideałów Marksa czy Lenina, była le-

gitymizowana przez cały system polityczny (w tym europejski), medialny, społeczny i nawet biznes. W Polsce bardzo trudno byłoby wytłumaczyć, że komuniści opanowali instytucje Hiszpanii, a UE nie widzi w tym najmniejszego problemu. Ideologia odpowiedzialna za 100 mln ofiar na całym świecie dziś też legitymizuje terrorystów ETA, którzy nie okazali żadnej skruchy wobec społeczeństwa, nie zadośćuczynili za 900 niewinnych ofiar. I choć socjaliści także ucierpieli w wyniku tych zamachów, rządzą do dziś dzięki wsparciu spadkobierców ETA z partii EH Bildu. Im mimo tej hańbiącej karty socjalistów Partia Ludowa cały czas umizguje się do nich powodowana niewytłumaczalnym kompleksem.

A co łączy PiS i Vox poza tym, że doskonale współpracuje im się w ramach grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim?

Wierzę, że to, co nas łączy, to wiele wartości, zasad i idei, nadrzędnych wobec spraw narodowych, w imię których działamy. Oczywiście istnieją różnice charakterystyczne dla odmiennej kultury, geopolityki, ale są idee wspólne, np. obrona naturalnej

rodziny, życia poczętego, a także obrona suwerenności, granic, wartości chrześcijańskich itd., czyli bardzo wiele wspólnych celów. Poza tym trzeba nadmienić, że mamy też wspólnych wrogów, np. ideologów Agendy 2030, wokizmu i wszystkich ekstremizmów związanych choćby z ideologią gender.

W związku z oskarżeniami w polskiej mainstreamowej prasie po raz kolejny jestem zmuszona zapytać, czy Vox jest partią proatlantycką? Jaki jest stosunek Voxu do agresji Rosji na Ukrainę?

Vox już wielokrotnie potępił agresję Rosji na Ukrainę i nie powinno tu być żadnej wątpliwości. Vox to partia, która wpisuje się w rzeczywistość hiszpańską i jej zobowiązania. Jeśli jesteśmy bardzo krytyczni wobec sposobu zarządzania Hiszpanią, to nie znaczy, że nie kochamy Hiszpanii. Podobnie z UE czy NATO. Jesteśmy bardzo krytyczni wobec sposobu zarządzania UE, ale to nie znaczy, że jesteśmy eurosceptyczni, a tym bardziej NATO-sceptyczni. NATO powinno chronić także nasze eksklawy w Ceucie i Melilli i stąd w Hiszpanii zrodziły się pewne obawy o brak symetrii wobec ochrony wszystkich członków paktu. Domagamy się reform tam, gdzie są konieczne. Chcę przywołać pewne spotkanie w 2019 r., gdy jeszcze nie mieliśmy reprezentacji w EKR, ale już spodziewaliśmy się wejścia do europarlamentu. Zorganizowaliśmy wtedy wyprawę deputowanych EKR z wielu krajów do Melilli, ale przedtem w Madrycie spytaliśmy posłów o największe zagrożenie dla Europy: polscy europosłowie powiedzieli, że jest nim Rosja, z kolei my, że to niekontrolowana imigracja z Afryki. I wy, i my mieliśmy rację, a obawy, które nas trapią o bezpieczeństwo Europy, są podobnej wagi. Dla Hiszpanii – w przeciwieństwie do Polski – siłą rzeczy problem Ukrainy jest czymś bardzo odległym geograficznie, społecznie, a z kolei dla nas np. kryzys i upadek Wenezueli jest czymś, co śledzimy i przeżywamy intensywniej niż wy. Mógłbym więc zapytać Polaków, którzy uważają, że nie dość jeszcze potępiłszy Putina, dlaczego nie potępiają też agresorów, którzy dla nas stanowią zagrożenie?

Kto jest więc największym sojusznikiem Putina w Hiszpanii i Iberosferze?

W Hiszpanii Rosja ma dwóch sojuszników: separatyzm kataloński i baskijski oraz partie lewicowe skonfigurowane pod nazwą IU-Podemos, która jest jednocześnie wehikułem Rosji do Ameryki Łacińskiej za pośrednictwem Foro de São Paulo i Grupo de Puebla. To w ramach tych platform działa partia socjalistyczna i wielcy sojusznicy, admiratorzy Putina w Iberosferze.

Co odpowiedziałby pan tym, którzy z premedytacją i niezmordowanie lansują tezę o spotkaniu sił konserwatywnych Europy w Madrycie w styczniu 2022 r. jako rzekomym klubie przyjaciół Putina?

Szczyt w Madrycie był spotkaniem przywódców międzynarodowych: premiera Polski, Węgier, a nawet obecnej premier Włoch (wtedy jeszcze liderki Braci Włochów) oraz wielu innych liderów, którzy zostali przyjęci przez Santiago Abascale, ponieważ wierzą w te same wartości, o których mówiliśmy na początku. Spotkanie skończyło się oświadczeniem, które zostało podpisane przez wszystkich obecnych i dotyczyło poparcia dla suwerennej Ukrainy. Skąd zatem pomysł o popieraniu Putina, gdy oświadczenie zostało podpisane na kilka dni przed inwazją, kiedy wielu innych wątpiło w wojnę, a Polskę już przed nią ostrzegała? Putin został z góry ostrzeżony, że nie ma tolerancji dla łamania nienaruszalności granic. Jesteśmy dumni z tamtego spotkania, a fakt, że polska prasa fałszuje rzeczywistość i doszukuje się sojuszników Putina, to już czysta manipulacja.

Czy uważa pan, że rząd hiszpański zrobił wystarczająco wiele w kwestii wspierania Ukrainy?

Absolutnie nie. Wysłał bardzo mało pomocy militarnej i przestarzały sprzęt. Ale trzeba też znać kontekst spraw, bo od 20 lat żyjemy w rzeczywistości antymilitarystycznej, co ułatwiło degradację naszych sił zbrojnych. Nie było żadnych inwestycji w obronę, choć mieliśmy przeznaczyć 2 proc. naszego PKB na obronność. Okazuje się, że nie wywiązujemy się nawet z połowy, nie osiągamy 1 proc.! Trudno zatem pomóc innemu krajowi, kiedy my sami nie dysponujemy odpowiednim zapleczem.

Trzeba wspomnieć też o zagrożeniu dla Hiszpanii z Maroka, które zbroi się na potęgę.

Owszem, gdyby jednak tak było, że wysyłamy mało pomocy dla Ukrainy, ponieważ dozbrajamy się w związku z zagrożeniem z południa, to przynajmniej byłaby w tym jakaś logika. Tymczasem ani nie jesteśmy w stanie pomóc Ukrainie, ani sobie. Maroko za to nabywa najnowocześniejszy sprzęt, przeznacza wciąż rekordowe sumy na zbrojenia, cieszy się dobrym sojuszem z USA, relacjami z Izraelem i ma coraz bardziej ekspansjonistyczne marzenia. Pacyfizm w polityce hiszpańskiej wyrządził mnóstwo krzywd.

Hiszpania przyłączyła się do klubu głosowania większości kwalifikowaną w UE, co oznacza, że chce przyznać więcej władzy Berlinowi. Czy Hiszpania nie boi się utraty suwerenności? Przecież doskonale widać, że już teraz Unia traktuje w sposób uprzywilejowany Maroko kosztem interesów Hiszpanii. Oś Berlin-Paryż chce jeszcze więcej władzy waszym kosztem, nie boicie się o własne interesy?

Powiedziałbym, że nie tyle Hiszpania, ile socjalistyczny rząd Sáncheza zdecydował o tej obecności w klubie. To znów trudno będzie wytłumaczyć Polakom, ale cała hiszpańska lewica była wielkim wrogiem interesu narodowego, racji stanu, bo po prostu nie wierzy w naród, gardzi patriotyzmem. Hiszpania była w historii jednym z najważniejszych mocarstw na świecie, a dzisiaj nasza pozycja spadła do średniej europejskiej, podczas gdy my wiemy, że nasze aspiracje powinny sięgać wyżej. Wraz z odejściem Wielkiej Brytanii z UE moglibyśmy znaczyć więcej, ale cały nasz potencjał jest marnowany. Lewica ma to do siebie, że ślepo wierzy, że wszystko, co pochodzi z Europy, będzie zawsze lepsze od krajowego, narodowego, i dlatego jest tak uległa wobec UE. Nie podzielamy tej wizji, dlatego jeśli zdobędziemy większość, będziemy inaczej podchodzić do dyrektyw płynących z Brukseli.

Z tego, co widać, rząd Hiszpanii wprowadza najbardziej drastyczne środki dla ratowania klimatu. Właściwie wszyscy „zieloni” świata powinni być wdzięczni Hiszpanom za takie poświęcenie. Czy naprawdę jest akceptacja wśród rolników i klasy średniej dla tak brutalnych działań jak niszczenie tam i zbiorników w kraju permanentnie cierpiącym na suszę?

W Hiszpanii rozpoczęła się rewolta, która przełożyła się na głosy wyborcze w ostatnich wyborach. Mamy nadzieję, że 23 lipca br., w dniu wyborów parlamentarnych, jeszcze więcej Hiszpanów pokaże czerwoną kartkę ideologom klimatyzmu. Do tej pory rolnicy, hodowcy, rybacy to był tradycyjnie elektorat lewicy. Widząc jednak zaślepienie ideologiczne, świat wiejski, świat tradycji obrócił oczy na nas, szukając w nas obrońców. Uprawiany na lewicy animalizm czy ostatnia ustawa o dobrostanie zwierząt to przecież zagrożenie dla nich i niepojęte oderwanie od rzeczywistości. Bo w istocie ten świat woke, który występuje tylko w dużych miastach, gdzie karmi się nawzajem ideologią, pijąc kawę latte w Starbucksie, pogardza drobnym rybakiem czy hodowcą. Mało tego – oskarża go o niszczenie klimatu z powodu metanu w krowim placu. My bronimy rolników przed tym szaleństwem, by zachowali tradycyjny sposób życia. Niszczenie tam na rzekach i sztucznych zbiorników odbiera ludziom podstawowe prawo do wody, której w niektórych regionach w miesiącach letnich brakuje permanentnie. To dlatego od ery starożytnego Rzymu buduje się tu infrastrukturę hydrauliczną. Zeszłej nocy – jak pani pewnie widziała i doświadczyła – spadł potok deszczu na Hiszpanię, choć przez trzy miesiące wcześniej rolnicy nie widzieli ani kropli z nieba. Nauczyliśmy się magazynować te nagłe opady, a teraz mówią, że to złe dla klimatu. Nawet burzenie własnych elektrowni jądrowych jest dobre w czasie wielkich obaw o źródła energii tylko dlatego, że te elektrownie wybudował Franco.

Uderzenie w wasz przemysł samochodowy jest kolosalne, ale Hiszpanie nie myślą o wychodzeniu z UE.

Hiszpania to drugi co do wielkości producent samochodów w Europie, ale pierwszy produkujący samochody z silnikami diesla. I ktoś chce zniszczyć ten wielki przemysł, który – nawiasem mówiąc – należy do obcokrajowców, ponieważ nie ma już krajowego producenta, a Seata sprzedano Volkswagelowi

40 lat temu. Przecież to czyste szaleństwo! A działa tu jeszcze ogromny przemysł podzespołów i części. Problemem jest jednak presja medialna związana z tym nowym fanatyzmem. I znów jest też uległość Partii Ludowej wobec tego konsensusu progresistów w UE. To zresztą nie progres, tylko regres, ale ludzie kupili już tę propagandę i myślą, że nawet zakaz wjazdu samochodem spalinowym do centrum Madrytu to mniejsze zło, a za to wielki gest ratowania planety.

Czego można się spodziewać po prezydencji Hiszpanii w Radzie Europy, która się zacznie od 1 lipca? Choć jak można przypuszczać, premier Sánchez wykorzysta ten czas do prowadzenia własnej kampanii w przyspieszonych lipcowych wyborach.

Tak będzie. Jedyne, czego można się spodziewać, to fakt, że premier zechce się pokazać przed wyborami parlamentarnymi jako wielki przywódca europejski. Reszta jest niewiadomą. Ta nietypowa data wyborów parlamentarnych dla demokracji hiszpańskiej ma sprawić, by prawica, czyli klasa średnia i wyższa Hiszpanii, wyjechały wtedy na wakacje i zaniechały głosowania.

Vox wydaje się już niezatrzymany w drodze po wielki triumf, więc w imieniu polskich konserwatystów życzymy wam wielkiej wiktarii!

Dziękuję i do zobaczenia! [Iván Espinosa wciąż pamięta wiele słów po polsku].

Rozmowa odbyła się 30 maja 2023 r. w Madrycie, w Kongresie Deputowanych Hiszpanii.



"Na pielgrzymim szlaku"

Małgorzata Kurzajewska-Zarinah
sobota, godz. 10.05
i niedziela, godz. 8.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

Powrót przymusowych przesiedleń



Choć plan Komisji Europejskiej dotyczący relokacji 160 tys. imigrantów wedle określonych kontyngentów na poszczególne kraje Unii w 2017 r. zakończył się fiaskiem, Bruksela znów wraca do tego pomysłu



DARIUSZ MATUSZAK

My tu sobie gadu-gadu, a wาลizka sama po peronie skacze. Jaka jest etymologia tego powiedzenia – nie wiadomo. Być może powstało w czasie międzywojnia

w Wielkopolsce. Wiadomo, co oznacza: zajęci jakimiś sprawami nie dostrzegamy, że obok dzieje się coś istotnego. Kwestie nadzwyczaj ważne przesłaniają Europie te bardzo ważne. Zaabsorbowani wojną na Ukrainie i kryzysem energetycznym nie zauważamy, że z Azji i Afryki płyną nieprzerwane fale nielegalnych imigrantów. Trwa wędrówka ludów, która zmienić może Europę na zawsze, bo w tym żywiole zatopią się nasza cywilizacja i tożsamość. Jeśli nic się nie zmieni, stanie się tak jak

w swojej książce „Uległość” wieszcz francuski pisarz Michel Houellebecq. Upadek swojej ojczyzny przewiduje 65 proc. Francuzów. W ciągu 20 lat kraj, jaki znają, zniknie, przestanie być Francją.

ZNIKAJĄCA FRANCJA, BEZDOMNA WIELKA BRYTANIA

Ze spisu przeprowadzonego przez Narodowy Instytut Statystyki i Badań Ekonomicznych wynika, że w liczącej 68 mln ludzi Francji żyje 19 mln imigrantów. Do tego trzeba doliczyć nieznaną liczbę nielegalnych. W samym podparyskim Saint-Denis jest ich 300–500 tys. Trudno o lepszy symbol zmian, które zaszły w kraju uznawanym za pierwszą córę Kościoła. W muzułmańskim Saint-Denis stoi „samotnie” najsłynniejszy obok Notre Dame kościół Francji – bazylika św. Dionizego, największa nekropolia królów, w której spoczywa 34 władców – począwszy od Chlodwiga, a skończywszy na Ludwiku XVIII. Wśród nich ten, który przez rok zasiadał na tronie Polski – Henryk Walezy. Wśród 20 królowych jest też „nasza” Maria Leszczyńska, żona Ludwika XV. Cała „miejska” Francja będzie jak Saint-Denis. Ze spisu powszechnego wynika, że islam stał się pierwszą religią kraju. Więcej osób deklaruje się jako praktykujący muzułmanie niż chrześcijanie.

Jedna trzecia Francuzek deklaruje, że nigdy nie chce mieć dziecka. Wskaźnik dzietności wynosi 1,84, a liczba narodzin była w 2022 r. najniższa od II wojny światowej. Czy to oznacza, że Francja wymiera? Niezupełnie. Za 20 lat czeka ją eksplozja demograficzna, bo dzietność w rodzinach imigrantów wynosi 2,6. Czy dziwi więc opinia 65 proc. Francuzów, że francuska Francja zniknie i nastąpi „wielkie zastąpienie”.

W sąsiedniej Belgii 90 proc. dzieci rodzi się w rodzinach imigranckich. Gdy w 2020 r. przeprowadzano symulację na wypadek wybuchu wojny domowej, okazało się, że nie wiadomo, komu armia dochowałaby wierności, bo zdecydowana większość żołnierzy i podoficerów pochodzi z rodzin imigrantów. Belgowie to kadra oficerska.

Po drugiej stronie kanału La Manche rządzący Wielką Brytanią torysi całko-

wicie utracili kontrolę nad imigracją. Biuro Statystyk Narodowych podaje, że w 2022 r. na Wyspach pojawiło się 1,2 mln przybyszów na tzw. pobyt długoterminowy – imigrację. Królestwo mierzy się już nie tylko z problemami społecznymi, jak wzrost przestępczości, brak asymilacji i powstawanie równoległego społeczeństwa, lecz także egzystencjalnymi na podstawowym poziomie. Zarobki klasy średniej i niższej od 1997 r. nie zmieniły się, a ceny nieruchomości i najmu w tym czasie wzrosły o 100 proc. W kraju dramatycznie brakuje domów. Architekt brexitu Nigel Farage oskarża rządzących Wielką Brytanią i elity o celowe działania. Sektor publiczny i korporacje chcą tanich pracowników, klasa nierobów tanią służbę, a właściciele nieruchomości zarabiać krocie.

Wielkie problemy z imigracją ma Szwecja, która stała się czempionem w przemocy wobec kobiet i przestępczości z użyciem broni palnej. Ot, gangi toczą wojny o terytoria między sobą, a także z państwem. Na terenach, które podbiły, powstają więc strefy „non go” – miejsca, gdzie państwo nie funkcjonuje. Takie zony już są we Francji, w Belgii, Holandii, powstają we Włoszech czy w Niemczech. I to właśnie ten ostatni kraj przez swoją skrajnie egoistyczną, a do tego bezmyślną, niemal wręcz schizofreniczną politykę migracyjną zgotuje kontynentowi najwięcej problemów.

NA ROBOTY DO NIEMIEC

To Angela Merkel otworzyła na oścież bramy UE dla milionów z Azji i Afryki. Jej zaproszenie uruchomiło wielki biznes nielegalnej imigracji – przemysł ludzi i handel nimi, prostytucję, oszustwa na masową skalę, tak że pod ich ciężarem rozsypują się budżety samorządów, które utrzymują niepracujących przybyszów. Niech nikt nie ma złudzeń, że Merkel otworzyła granice Europy z powodów humanitarnych. Zrobiła to na zamówienie biznesu, który chciał taniej siły roboczej. Operacja „Herzlich Willkommen” zakończyła się jednak całkowitą katastrofą. Z badań Federalnej Agencji Zatrudnienia wynika, że 75 proc. imigrantów nie ma żadnych kwalifikacji zawodowych. Federalny Urząd ds. Migracji i Uchodźców (BAMF) podaje,

że pięć lat po przybyciu do Niemiec 65 proc. imigrantów nie podjęło żadnej pracy. W liczącej 10,3 mln ludzi Szwecji aż 675 tys. imigrantów pozostaje na całkowitym utrzymaniu podatników.

Mimo fatalnych doświadczeń Niemcy chcą „importować” do 400 tys. pracowników rocznie – docelowo 6,5 mln. Nie ma komu rwać szparagów, doglądać emerytów, lać asfaltu i oprawiać zwierząt w rzeźniach, więc minister pracy Hubertus Heil i szefowa resortu rozwoju Svenja Schulze odbyli tournée po Afryce i ogłosili niemiecki program migracyjny. W stolicy Ghany Akrze już działa finansowany przez Berlin i UE ośrodek zajmujący się kontraktowaniem dla Niemiec siły roboczej. Podobne mają powstać w Maroku, Tunezji, Egipcie, Jordanii, Nigerii, Iraku, Pakistanie i Indonezji.

Wykwalifikowana kadra ma zapewnić Niemcom odpowiedni poziom życia. Trzeba więc drenować biedne kraje, jak np. Ghana, z ludzi z inicjatywą i umiejętnościami. Po co Murzynom pielęgniarce, technicy, naukowcy – Niemcom przydadzą się bardziej. Ogołacanie biednych krajów z najlepiej wykształconych i rzutkich daje podwójną korzyść. Są tańsi niż europejska siła robocza i nie trzeba inwestować w ich edukację. Wykształcenie pielęgniarce kosztuje, a tak można z Afryki ściągnąć sobie taką, na którą nie wydało się grosza i która będzie się opiekować niemieckimi emerytami zamiast jakimiś byle murzyńskimi dziećmi.

HARACZ OBOWIĄZKOWEJ SOLIDARNOŚCI

Gdyby jednak operacja sprowadzania na roboty do Niemiec znów skończyła się katastrofą, to po to Berlin ma Unię, by pomogła pozbyć się problemu. Komisja Europejska chce więc przymusowego przesiedlania nadmiarowych przybyszów i ich nadziałów według określonych kontyngentów na poszczególne kraje. W 2017 r. ten plan zakończył się porażką, choć sam Donald Tusk, wówczas szef Rady Europejskiej, groził Polsce karami, jeśli nie przyjmiemy z Niemiec wagonów z imigrantami czy czym ich tam chcieli do nas zwieźć. Teraz KE wraca do pomysłu. Szwedzka komunistka, komisarz spraw wewnętrznych Ylva Johansson

mówi, że wywózkom i przesiedleniom poddano by 120 tys. przybyszów, ale wiadomo, że raz uruchomiony nikczemny proceder nigdy się nie skończy.

Akcji przymusowych przesiedleń musiałyby towarzyszyć praktyki rodem z III Rzeszy czy stalinowskiej Rosji. Trudno wyobrazić sobie nadziały, selekcję, łapanie imigrantów, pilnowanie ich w obozach czy ośrodkach, a nawet samą wywózkę do wyznaczonego kraju. Padła więc propozycja, by można było się wykupić, płacąc 22 tys. euro od jednego nieprzyjętego imigranta. My na pomoc Ukraincom, których przyjęliśmy 2 mln, otrzymaliśmy od UE ledwie 200 mln euro. Bruksela wycenia więc uchodźców wojennych z Ukrainy 200 razy taniej niż imigrantów w Europie Zachodniej.

Negocjacje trwają i prawdopodobnie zakończą się zaprowadzeniem mechanizmu obowiązkowej solidarności, karami i kolejną uzurpacją Brukseli, która uważa, że może decydować o tym, kogo Polska ma przyjąć i kto ma w niej zamieszkać.

Przez osiem lat, które upłynęły od wielkiej fali migracyjnej, UE nie zrobiła nic, by chronić swoje granice i to kolejny dowód na fundamentalną słabość jej konstrukcji. Polska broni się przed inwazją przybyszów wysyłanych przez Putina i Łukaszenkę i na razie omijają nas problemy związane z masową imigracją, a także cywilizacyjne zmiany, które wywołała ona w Europie. Ale do czasu. To, czym się szczycimy – gospodarcze doganianie Zachodu, sprawi, iż będziemy na tyle atrakcyjni, że i do nas wybiorą się tłumy z Afryki i Azji.

Niemcy, „importując” siłę roboczą, są całkowicie obojętni na inne państwa. Dla Brukseli też liczy się tylko interes Berlina, Paryża i eurokracji. Opowieści o wspólnocie, o solidarności europejskiej to propagandowe kłamstwa. Niemieckich elit nie interesuje zdanie własnych rodaków, a co dopiero Polaków czy Rumunów. Skoro przemysł potrzebuje, to się ludzi sprowadzi jak surowce. A jak się okażą niepotrzebni, to obciąży się kosztami recyklingu innej prowincji Unii albo przerzuci do nich jak na składowiska odpadów. Nie bez powodu Bruksela i europejska lewica tak wielbi Marksa. W końcu był twórcą teorii o ludzkich odpadach rasowych.

Po zakończeniu uroczystości pogrzebowych Benedykta XVI – w obliczu polemiki, którą wywołała napisana przeze mnie książka – zwróciłem się do papieża Franciszka z prośbą o audiencję, żeby wyjaśnić zaistniałą sytuację



Prawda o papieżu Benedykcie

Z abp. Georgem Gänsweinem, byłym osobistym sekretarzem papieża Benedykta XVI, rozmawia Goran Andrijańić

Napisał ksiądz arcybiskup książkę „Tylko prawda” (w Polsce opublikowana przez wydawnictwo Esprit), w której opisuje lata spędzone u boku kard. Josepha Ratzingera, a później papieża Benedykta XVI. Jaki był cel napisania tej książki?

Abp. Georg Gänswein: Celem książki jest skorygowanie nieprawdziwych obrazów dotyczących za-

równy kard. Josepha Ratzingera, jak i papieża Benedykta XVI i pokazanie go we właściwym świetle. Dotyczą one nie tylko jego osoby, lecz także jego twórczości. Znaczna część tego, co trafiło do opinii publicznej, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Czulem potrzebę – wręcz obowiązek – jako nacowny świadek jego nauk, który przeżył wiele lat u boku Benedykta XVI,

żeby opisać, co się naprawdę wydarzyło, i wykreować prawdziwy obraz tej szalenie ważnej osobistości.

Książka cieszy się dużym zainteresowaniem.

Byłem zaskoczony, że odbiór książki był tak pozytywny. Z jednej strony było znaczne zainteresowanie treścią samej publikacji, wynikające ponieważ z przekonania, że zawiera ona informacje z pierwszej ręki, zatem są one najbliższe prawdy. Z drugiej zaś – krzykliwe nagłówki, które zupełnie

bezpodstawnie przedstawiają książkę jako skandalizującą, w której miały zostać wyjawione wszelkie tajemnice, wzbudziły ciekawość i zachęciły do lektury. Każdy czytelnik, który wysili się na bezstronność, będzie mógł się przekonać, że w jej treści nie znajdzie przerysowanych, przypisywanych jej obrazów. Recenzje, które osobiście otrzymałem, były bardzo pozytywne. Wiele osób dziękowało mi za jasny, klarowny i obiektywny przekaz.

Spekulowano na temat różnic między Benedyktem XVI a papieżem Franciszkiem.

Po zakończeniu uroczystości pogrzebowych Benedykta XVI – w obliczu polemiki, którą wywołała napisana przeze mnie książka – zwróciłem się do papieża Franciszka z prośbą o audiencję, żeby wyjaśnić zaistniałą sytuację. Negatywne, niekiedy skrajnie polemiczne, wygłaszane oficjalnie poglądy poruszyły wyobraźnię wielu ludzi. Bez wątpienia chodzilo o manipulowanie opinią publiczną. Nagłówki miały wzbudzać zainteresowanie, budować napięcie... Prawdziwy, rzeczowy przekaz książki pominięto. Papież Franciszek uspokoił mnie i powiedział tylko, że bym nie zaprztał sobie głowy i serca nagłówkami i polemiką. Książki tak naprawdę nie było jeszcze wówczas na rynku, jeszcze jej nie opublikowano.

Wydaje mi się, że ktoś, kto przeczytał książkę, może mieć wrażenie, że niektóre decyzje papieża Franciszka nie zostały dobrze przyjęte przez Benedykta XVI.

O które decyzje pan pyta? W swojej książce nie wspominam w ogóle o takich decyzjach, ponieważ ich nie było. Prawdopodobnie nawiązuje pan do miejsca, w którym opisuję *motu proprio Traditionis custodes* (Stróże tradycji), w którym Franciszek ogranicza możliwość korzystania z tzw. liturgii przedsoborowej. Znosi tym samym uprawnienia udzielone przez swoich poprzedników. Ale przejdźmy do rzeczy – czytałem na głos papieski dekret Benedyktowi XVI krótko po jego

opublikowaniu i odniosłem wrażenie, że papież emeryt odczuwał w sercu ból. To było moje subiektywne wrażenie, a nie ocena Benedykta XVI – on sam nie skomentował dokumentu ani jednym słowem. Chciałbym podkreślić to jeszcze raz jasno i wyraźnie – nie przedstawiłem stanowiska Benedykta, ale opisałem własne, osobiste odczucie.

Czym różni się pontyfikat papieża Franciszka od tego Benedykta XVI? Niektórzy mówią o dużych zmianach.

W pańskim pytaniu jest zawarta już wstępna ocena a mianowicie, że mamy do czynienia z dużymi zmianami. To jest po prostu pewnego ro-

Mogę mieć tylko nadzieję, że przedstawiciele innych krajów podejda do żądań niemieckiej Drogi Synodalnej ze zdrowym, katolickim rozsądkiem i umieszczą niemieckie idee we właściwym im miejscu

dzaju nadużycie. Ale abstrahując od wszystkiego, jest zdecydowanie za wcześnie, żeby dokonywać jakichkolwiek porównań. Przyjdzie jeszcze moment skonfrontowania z sobą obydwu pontyfikatów. Ale teraz nie jest na to właściwy czas ani miejsce. Historia je osądzi – to nie leży w mojej gestii.

Skąd się biorą fałszywe wizerunki Benedykta XVI? Obecnie w Polsce jesteśmy świadkami próby zniekształcenia wizerunku św. Jana Pawła II. Czy to są podobne procesy?

Często sam sobie zadawałem to pytanie w odniesieniu do Benedykta XVI, ale nie mogłem na nie znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Najwyraźniej w pewnych kręgach ten papież jest przedstawiany w niekorzystnym, zniekształconym świetle, ponieważ nie znalazła w nich uznania ogromna

praca, którą wykonał, klarowność jego teologicznego przesłania oraz głoszone przez niego nauki. Dlatego też są podejmowane regularne próby zniekształcenia jego postawy czy przekazu jego nauk, co oczywiście nie może przejść bez echa. Takie działania zakrawają na manipulację. Ani Benedykt XVI, ani św. Jan Paweł II nie pozwolili, by ktokolwiek sprawił, że zboczyli z jasno wyznaczonej drogi, którą podążali. Nie zabiegali o uznanie w oczach opinii publicznej ani mediów. Byli odważnymi świadkami Ewangelii, wielkimi myślicielami i piewcami prawdy. To pozostaje bezsporne, wbrew wszelkim złośliwym insynuacjom.

Księżę arcybiskupie, co się dzieje w biskupa rodzinnych Niemczech? Wydaje się, że tamtejszy synod grozi schizmą.

Droga Synodalna nie jest – i to jest istotne dla dokonania prawidłowej oceny tej inicjatywy – synodem w sensie prawnym, co oznacza, że nie może podejmować żadnych wiążących decyzji, nawet jeśli są one w ten sposób nazywane. Wydane przez nią teksty są i pozostaną bez mocy prawnej. W zgromadzeniach brali udział biskupi, urzędnicy kościelni i wybrani świeccy. Nie zmienia to jednak faktu, że dokumenty nie są prawnie wiążące. Pierwotnie Droga Synodalna miała pomóc znaleźć przekonujące odpowiedzi na pytania dotyczące nadużyć w Kościele. Nie spełniła jednak swojej funkcji.

Z biegiem czasu inicjatywa zaczęła poniekąd żyć własnym życiem, co spowodowało, że Droga Synodalna poszła w niebezpieczną stronę. Wskutek tych działań wystosowano żądania do Kościoła, który miałby wprowadzić zmiany znacznie odbiegające od jego obowiązujących doktryn i nauk, co stanowi silny punkt zapalny. Czas pokaże, jak Synod Biskupów, który odbędzie się w październiku w Rzymie, odniesie się do żądań stawianych przez niemiecką Drogę Synodalną. Mogę mieć tylko nadzieję, że przedstawiciele innych krajów podejda do wspomnianych kwestii ze zdrowym, katolickim rozsądkiem i umieszczą niemieckie idee we właściwym im miejscu.



Samobójstwo cywilizacji?

We wszystkich przebadanych cywilizacjach istnieje związek między kryzysem moralnym i obyczajowym a zapaścią społeczną i kulturową. Zawsze była to nieodmienna oznaka ich schyłku



GRZEGORZ GÓRNY

Jedna z najbardziej znanych teorii Zygmunta Freuda głosi, że ludzkość zawdzięcza cały swój dorobek kulturowy tłumieniu popędów seksualnych. Innymi słowy, dzięki temu, że

w społeczeństwach istniały różne prawa, normy, zakazy i tabu, które kielzwały i ograniczały ludzką aktywność seksualną, można było skierować energię życiową w innym kierunku, ku budowaniu cywilizacji i tworzeniu kultury.

SEKS I KULTURA

O ile upływ czasu sfalsyfikował wiele twierdzeń wiedeńskiego psychoanalityka, o tyle kolejne badania przynosiły dowody na to, iż wysuwana przez niego teoria sublimacji znajduje swoje potwierdzenie w coraz obszerniejszym

materiale naukowym. Jednym z tych, którzy najgłębiej przemyśleli to zagadnienie, był angielski antropolog i etnolog Joseph Daniel Unwin, będący podobnie jak Freud osobą niewierzącą. W 1935 r. opublikował on ponad 600-stronicową pracę pt. „Seks i kultura”, w której przebadł pod wspomnianym kątem sześć cywilizacji (m.in. Sumerów, Babilończyków, Hellenów czy Rzymian) oraz 80 „społeczeństw niecywilizowanych” (m.in. plemion w Afryce, Ameryce czy Polinezji) na przestrzeni 5 tys. lat, analizując cały dostępny materiał antropologiczny i historyczny.

Na początku swojej książki pisał: „Ja jednak nie starałem się udowodnić żadnej hipotezy, ponieważ żadną nie dysponuję; zająłem się zaledwie przeprowadzeniem studium [...]”. Kiedy zająłem się niniejszymi badaniami, czyniłem to bez uprzednich założeń, nie miałem żadnego wyobrażenia o rezultatach, które mogą one przynieść. Z całą beztróską otwartego umysłu uznałem, że chcę, odwołując się do zapisów ludzkiej działalności, wypróbować jedno szczególnie uderzające spośród przypuszczeń wysnutych przez psychologów analitycznych”.

Końcowy rezultat badań zadziwił samego autora, który tak pisał o tym: „Rozpocząłem swą pracę w całkowitej niewinności. Gdybym uświadomił sobie, w jak znacznym stopniu w wyniku tych właśnie wysiłków będę zmuszony dokonać rewizji mojej prywatnej filozofii, być może zawahałbym się, czy w ogóle się podjąć”.

Cóż takiego odkrył Unwin, że stanowiło to poważne wyzwanie dla jego własnego światopoglądu? Otóż analizując wszystkie wspomniane cywilizacje oraz społeczeństwa niecywilizowane, brytyjski badacz odkrył zaskakującą prawidłowość, która powtarzała się z żelazną konsekwencją we wszystkich przypadkach: im większe były ograniczenia seksualne nakładane przez społeczeństwo na swoich członków, tym wyższy był poziom ich zbiorowej żywotności oraz kultury. Z kolei kiedy wspomniane ograniczenia były znoszone, zaczynał się proces kulturowej degradacji, który kończył się obumieraniem całej społeczności, a nawet cywilizacji.

ROZWIĄZŁOŚĆ I UPADEK

Z wnioskami, do których doszedł Unwin, współgrały rezultaty badań amerykańskiego socjologa rosyjskiego pochodzenia Pitirima Sorokina, opublikowane w latach 1937–1941 w jego czterotomowym dziele „Dynamika społeczna i kulturowa”. Badając przemiany kulturowe przez ostatnie 2 tys. lat, naukowiec opracował schemat rozwoju różnych cywilizacji od fazy początkowej do schyłkowej. W każdym przypadku rozkwit kulturowy danej cywilizacji

pokrywał się z istnieniem silnych relacji rodzinnych oraz tabuizacją sfery seksualnej, z kolei zmierzch i upadek zaczynały się wraz z kryzysem moralnym, transgresją obyczajową i rozwiązłością płciową. Autor pokazywał nawet dokładnie, jak stopień dekadencji społecznej przekładał się negatywnie na liczbę wynalazków w danej epoce.

Potwierdzają to badania belgijskiego archeologa i historyka Franza Cumonta, który odmalowując przed oczami czytelników obraz schyłkowego Egiptu, pisał: „Autorzy z epoki szczególnie podkreślają, że mężczyzna żył z dwiema siostrami lub z matką i jej córką. Cudzołóstwo, gwałty i prostytucja szczególnie się wzmogły. W epoce Aleksandra homoseksualizm trafił do obyczajów ludności. Autorzy z epoki zdają się napawać z sadyzmem różnorodnością wszeteczeństw i perwersji seksualnych [...]”. Opisują wszystkie aberracje patologicznego erotyzmu z bezwstydną pogodą kazuisty: zgwałcenia, nienaturalne stosunki, biczowania i sodomie”.

Ilustracją tych przemian obyczajowych w starożytności są pozostałe do dziś dzieła sztuki. Analizując je, Sorokin pisze: „W swych wczesnych okresach, a następnie w epokach twórczej ekspansji Egipcjanie, Chaldejczycy, Asyryjczycy, egejscy Kreteńczycy, Grecy, Etruskowie i Rzymianie mieli – wyjąwszy klasy niższe – awersję do zupełnego rozbierania wyobrażanych postaci. Dopiero w schyłkowych stadiach tych kultur sztuki wizualne zaakceptowały zmysłową nagość i ukazywały ją coraz bardziej nasyconą erotyką. We wczesnych okresach kultury greckiej i rzymskiej prezentowane postacie bóstw, herosów i śmiertelników, zwłaszcza zaś kobiet były kompletnie odziane od stóp do głów. Atena, Afrodyta i Wenus tamtego okresu były przedstawiane jako cnotliwe, bez śladu lubieżności. Tak samo byli ukazywani Zeus, Apollo, a nawet młody efeb Eros oraz brodaty i ubrany Dionizos, czyli Bachus. Jeśli nawet czasami przedstawiano młode ciało, jego nagość była oschle hieratyczna, pozbawiona erotyzmu. Później, w dekadentckich stadiach tych cywilizacji, szaty zaczęły opadać z ramion greckich i rzymskich figur, aż Afrodyty i Diany zaczęto ukazywać w zseksuali-

zowanej nagości. Podobnie męski i beznamietny Apollo zamienił się w zmysłowego i dwuznacznego efeba, poważny Eros w żigolaka, a okutany Dionizos w zniewieściałego, rozerotyżowanego młodzieńca”.

W okresie swojej świetności Grecy czerpali siłę z miłości ojczyzny, bohaterstwa wojennego oraz więzi i uczuć rodzinnych. W miarę jak słabł patriotyzm, szerzył się pacyfizm oraz na skutek rozprężenia moralnego postępował rozkład rodziny, malała też zdolność do osobistych poświęceń. Wzorcem osobowym zamiast cnotliwej małżonki stała się rozwiązła hetera. Jak chępił się jeden z ówczesnych retorów, Ateńczyk utrzymywał kurtyzany dla przyjemności, nałożnice do zaspokajania codziennych potrzeb ciała, a małżonki do rodzenia dzieci i opieki nad domem. Jak zauważał w swojej „Historii kultury antycznej” Tadeusz Zieliński: „Po wsiach dawna krzepkość jeszcze się trzyma i utrzyma na długo; lecz w miastach zaczyna powstawać już ta wysubtelniona umysłowo i słaba moralnie rasa, której Rzymianie dali pogardliwie miano: Graeculi”.

SCHYŁEK RZYMU

Chociaż Rzymianie podbili Grecję militarnie, sami zostali przez nią zdominowani kulturowo, przyjmując zarazem ów gen dekadencji. Nie tak było jednak na początku. W swojej fazie rozkwitu – jak zauważał włoski historyk Guglielmo Ferrero – starożytne społeczeństwo rzymskie można porównać do pewnych zakonów mniszych. Panowały tam ascetyczny tryb życia, surowość obyczajów, silna dyscyplina i wzniosły ideał cnot obywatelskich. Pielęgnowano trwałość rodziny i małżeństwa, a niewierność była ostro piętnowana. Dionizjusz z Halikarnasu pisał wręcz, że w ciągu 520 lat istnienia państwa rzymskiego nie doszło w nim do ani jednego rozwodu. Oczywiście była w tym stwierdzeniu gruba przesada, niemniej opierała się ona na realnym doświadczeniu zachowywania surowych reguł moralnych i obyczajowych.

Dekadencja zaczęła następować wraz z podbojami, które przyniosły nie tylko wpływ nowych prądów kulturowych, lecz także nieznane wcześniej bogactwo i dobrobyt. Kolejne pokolenia żyjące

w większym dostatku nie chciały już samoograniczać się tak jak ich przodkowie. Jak pisze Guglielmo Ferrero w swojej klasycznej pracy „Wielkość i upadek Rzymu”: „Żądza uciech, tak powściągliwa dawniej, wybuchnęła pierwotnymi zwierzęcymi chuciami, jak obżarstwo, zmysłowość, a z nią próżność, potrzeba gwałtownych wzruszeń, chęć pienie się rzeczami kosztownymi i szatanie bogactwem tylko w tym celu, by pokazać, że się je posiada, nieodręczny i prostacki zbytek parweniuszów”.

Ówczesny kronikarz Polibiusz z Megalopolis wzdychał: „Większość Rzymian żyje nieporządnie. Młodzi ludzie dają się unieść najbezwzględniejszemu nadużyciom. Uczęszczają na widowiska wszeteczne, na uczty hulaszce, oddają się rozwiązłości wszelakiej, przejętej od Greków w czasach wojny przeciwko Perseuszowi”. Wtórowali mu inni autorzy z tamtej epoki. Oczywiście można zauważyć, że tego rodzaju lament to nic nowego – jest zjawiskiem tak starym jak ludzkość i już w czasach Sumerów czy Babilończyków starsze pokolenie narzekało na zepsucie młodszych generacji, załamując ręce nad upadkiem świata. Rzecz jednak w tym, że zasadność tych skarg potwierdzają ustalenia współczesnych badaczy. W końcu cywilizacje Sumerów i Babilończyków upadły podobnie jak rzymska, której schyłek – jak zauważał wspomniany już Guglielmo Ferrero – zaczął się wraz z zapaścią moralną i obyczajową.

Rosnący dobrobyt zmienił hierarchię wartości i sposób życia Rzymian. Przywiązani do materialnego bogactwa młodzi nie chcieli już walczyć i narażać swoje życie na wojnach. Zanikł duch męstwa i odwagi. Służbę z poboru zastępowano ochotnikami, którzy coraz częściej wywodzili się z ludów barbarzyńskich. Brak poświęcania i ofiarności przekładał się też na życie rodzinne, skutkując plagą rozwodów. Liberalizowano prawo, znosząc karę chłosty i karę śmierci dla obywateli rzymskich. Jednocześnie w dużych miastach rytm życia zaczęły wyznaczać coraz bardziej wymyślne igrzyska, bachanalia i zabawy. Rzymski plebs żył – jakbyśmy dziś powiedzieli – „na socjalu”, swoje pragnienia zawierając w jednym donośnym okrzyku: „Chleba i igrzyski!”.

Pojawił się kryzys demograficzny. O ile ludy barbarzyńskie miały coraz więcej dzieci, o tyle rdzenni Rzymianie – mimo że prowadzili bardziej rozwinięte życie seksualne – mieli ich coraz mniej. Nawet jeśli doczekali się potomstwa, to nie dbali o jego wychowanie w cnotach tak jak ich przodkowie. Jak pisał Plutarch: „Większość Rzymian, kiedy posiada uczciwego niewolnika, robi z niego rolnika, sternika, intendenta,

Dominująca dziś w społeczeństwach zachodnich ideologia życia codziennego coraz częściej przypomina tę z czasów późnego Rzymu, zawierającą się w słowach „chleba i igrzysk”, inaczej mówiąc: konsumpcja i rozrywka. Współczesnym odpowiednikiem tego okrzyku może być tytuł głośnej sztuki angielskiej dramatopisarki Sarah Kane „Shopping and Fucking”

urzędnika do spraw towarowych lub interesów bankowych, a jeżeli ma pijaka, obżartucha, walkonia, niezdarnego do żadnej pracy, powierza mu wychowanie dzieci”.

KONSUMPCJA I ROZRYWKA

Wspomniany Pitirim Sorokin, obserwując rzeczywistość świata zachodniego, zauważał, że Ameryka Północna i Europa powtarzają obecnie ten sam cykl doświadczany przez wcześniejsze kultury. Wchodzą w to samo błędne koło, w które zostały wciągnięte poprzednie cywilizacje, rozpoczynając tym samym okres swojego schyłku.

W 1956 r. socjolog opublikował książkę „Amerykańska rewolucja seksualna”. Z dzisiejszej perspektywy ówczesny okres w historii USA, przypadający na prezydenturę Eisenhowera, wydaje nam się czasem obyczajowej wstrzemięźliwości. A jednak naukowiec uważał inaczej. Dostrzegał coraz mocniej pulsujące, lecz wciąż jeszcze częściowo ukryte źródła wielkiej rewolty obyczajowej, która wkrótce miała wybuchnąć na Zachodzie. Czytana dziś książka Sorokina zadziwia swoim profetycznym potencjałem, pozwalającym autorowi trafnie przewidzieć zjawiska, których doświadczamy dziś w czasach wszechobecnej seksualizacji. Wraz tym obserwujemy to samo, czym charakteryzowały się inne cywilizacje w schyłkowym okresie: rozpad małżeństw, kryzys rodzin, zapaść demograficzną, rozwiązłość obyczajową, przewagę zachowań egoistycznych nad altruistycznymi, wzrost nastrojów pacyfistycznych itd.

Dominująca dziś w społeczeństwach zachodnich ideologia życia codziennego coraz częściej przypomina tę z czasów późnego Rzymu, zawierającą się w słowach „chleba i igrzysk”, inaczej mówiąc: konsumpcja i rozrywka. Współczesnym od-

powiednikiem tego okrzyku może być tytuł głośnej sztuki angielskiej dramatopisarki Sarah Kane „Shopping and Fucking”.

Upadek nie następuje z dnia na dzień, może trwać długo i być rozłożony w czasie. Wydaje się jednak, że wkroczyliśmy na równię pochyłą, przed którą przestrzegali Unwin, Sorokin i inni badacze. Jak zauważał jeden z najważniejszych historyków cywilizacji w XX w. Arnold J. Toynbee: „Cywilizacje umierają na skutek samobójstwa, a nie morderstwa. [...] Spośród 21 godnych uwagi cywilizacji, 19 upadło nie tyle przez podbój zewnętrzny, ile w wyniku rozkładu moralnego od wewnątrz”.



Winston Churchill
nazywał ją swoim
ulubionym agentem.
Przyjaciele i towarzysze
broni opisywali jako
„najodważniejszą
z odważnych”. Producenci
mówią, że to James Bond.
Tyle że... prawdziwy.
Zastynęła z bravurowych
misji wywiadowczych
w okupowanej przez
Niemców Polsce i Francji.
Krystynę Skarbek
– w filmie „The Partisan”
– gra Morgane Polanski,
córka Emmanuelle Seigner
i Romana Polańskiego

Zrozumieć Krystynę Skarbek

Z aktorką **Morgane Polanski**, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kim jest główna bohaterka filmu „The Partisan” („Skarbek”)?

Morgane Polanski: To Krystyna Skarbek, która podczas II wojny światowej była pierwszym kobiecym brytyjsko-polskim agentem. Osoba niesamowicie inteligentna, sprytna i intrygująca. Mam nadzieję, że oczaruje też widzów, kiedy film trafi do kin w przyszłym roku.

Jakie było największe wyzwanie związane z tą rolą?

Cały plan okazał się dużo trudniejszy, niż mogłam się na początku spodziewać. I dużo bardziej wyczerpujący fizycznie. Liczba dni zdjęciowych, ich długość i poczucie, że dzień nie ma końca. Muszę bardzo mocno się koncentrować i skupiać na roli, nie pozwalać sobie na rozproszenie, żeby dawać z siebie 150 proc. To jest maraton, a nie sprint, więc trzeba mądrze zarządzać swoimi pokładami energii. Inaczej się nie da. Ale już powoli widzimy metę. Jesteśmy w końcówce zdjęć.

Co przyniosło pani filmowe spotkanie z Krystyną Skarbek?

Jestem zachwycona, że mogę wcielić się w taką postać, że dostałam takie aktorskie zadanie. Być na planie silną kobietą szpiegiem, grać rolę nieoczywistą i bardzo współczesną, choć osadzoną w totalnie niewspółczesnych czasach. Niemalym wyzwaniem było też stworzenie synergii między postacią, którą gram, a mną samą. W końcu na ekranie nie widać mnie jako aktorki, tylko Krystynę Skarbek. Musiałam się jej nauczyć, zrozumieć, jak myśli, i wyłączyć trochę siebie, żeby oddać ją przed kamerą. I choć mamy sporo wspólnego – jestem przecież w połowie Polką, mieszkam w Wielkiej Brytanii, a urodziłam się we Francji, a Skarbek urodziła się w Polsce, mówiła po francusku i działała dla brytyjskiego wywiadu – to jednak energie mamy inne.

Czy Krystyna Skarbek sprawdziłaby się w naszych czasach?



W 100 proc. Pewnie byłaby „cancelowana” (usuwana, odrzucana, krytykowana) za swoją odwagę i bycie nieustraszoną w poglądach, ale z drugiej strony, kto dziś nie jest. Jak mówisz to, co myślisz, możesz się spodziewać, że komuś się to nie spodoba. Sądzę też, że teraz miałyby więcej przestrzeni na rozwinięcie skrzydeł. Choć budziłyby mnóstwo kontrowersji jako osoba, która nie boi się mówić otwarcie o tym, co czuje i w co wierzy. A przede wszystkim – o co walczyć.

Fakt, że Skarbek była tak niesamowicie nowoczesna – patrząc z naszej perspektywy – a żyła 80 lat temu, i to

w tak trudnej geopolitycznie sytuacji, jest dla mnie niesamowicie intrygujący. Absolutnie wyprzedzała swoje czasy. Co do tego nie mam wątpliwości. Musiała brać swój los we własne ręce. Myślę, że dla wielu współczesnych dziewczyn i kobiet pod tym względem nadal może być autorytetem.

Pani pasją jest film [na koncie: udział w 13 produkcjach, wyreżyserowanie czterech krótkich form, szkolenie warsztatu aktorskiego i reżyserskiego w Londynie, realizacja materiałów zza kulis filmu „Oficer i szpieg” Romana Polańskiego].

skiego – przyp. red.], ale inspiruje też panią moda. Jak z tej perspektywy można ocenić stroje z czasów bohaterki?

Kurtkę, którą mam na sobie [oversize’owa, skórzana, vintage – przyp. red.], przywiozłam z jednego z wypadów do Warszawy. Od czasu do czasu jestem w Polsce i niekiedy znajduję takie perełki. A kostiumy w filmie „Skarbek” są naprawdę niesamowite i superwymyślone. Bo mamy bohaterkę, która – będąc agentką wywiadu – też gra różne role. I każdy z kostiumów o kolejnych jej wcieleniach musi nieco widzowi opowiedzieć. Kiedy wkładałam np. skórzaną kurtkę bohaterki, chciałam ją po planie „zakosić”, bo czułam się w niej tak silna. To w ogóle niezwykle, jak strój potrafi cię nastroić w konkretny sposób. Jest coś magicznego w skórzanych ubraniach. Wkładasz je i możesz podbijać świat. Super odnajdowałam się we wszystkich męskich strojach mojej postaci.

Przygodę z aktorstwem zaczynała pani od głośniejszych historycznych i kostiumowych realizacji swojego ojca Romana Polańskiego: jako 9-latką w „Pianiście” (2002), 12-latką w filmie „Oliver Twist” (2005)...

Faktycznie, zaczynałam bardzo wcześnie, ale raczej byłam tylko bohaterem drugo-, o ile nie piątoplanowym. Nie powiedziałabym, że miałam prawdziwą aktorską rolę, dopóki nie zagrałam w „Wikingach” [w serialu wcieliła się w królewską córkę – przyp. red.]. To było moje pierwsze, pełnoprawne doświadczenie aktorskie. Dużo się na tamtym planie nauczyłam, ale może i moje dziecięce doświadczenia też mi jakoś pomogły. Na pewno byłam oswojona z kamerą.

Teraz, kiedy widzę małe dzieciaki przed kamerą – bo w filmie „Skarbek” też mamy kilka scen z dziećmi – wzruszam się. Dzieci mają niesamowitą umiejętność naturalnej gry aktorskiej. Po prostu są. Nie myślą za dużo, tylko robią to, co czują, a kamera kocha naturalność. I chociaż teraz jestem już dorosła, lubię czasem poobserwować taką beztroskę na planie, powspominać samą siebie z tego okresu i... nauczyć się też nieco od nich. ▶

Prawdziwsza niż Bond

Gdy Bystrzyca Kłodzka zamieniła się we francuskie miasto Crest, przybyła do niego wraz z ekipą filmu „The Partisan” Krystyna Skarbek. W słynną kobietę szpiega wcieliła się Morgane Polanski. W obsadzie brytyjsko-polskiej produkcji są też Malcolm McDowell, Ingvar Sigurdsson, Frederick Schmidt, Agata Kulesza i Piotr Adamczyk



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Dolny Śląsk zachwyca nie tylko turystów. Przyciąga również filmowców. W Bystrzycy Kłodzkiej – według wyliczeń jej przedstawicieli – kręcono już zdjęcia do blisko 60 filmów. Teraz za sprawą scenografii Pawła Jarzębskiego można tu było realizować kadry z... francuskiego miasteczka czasu II wojny światowej.

FILMOWE ROSZADY

Ekipę filmu „Skarbek” (ang. „The Partisan”) podobnie jak wiele innych przyciągnęły m.in. konkurencyjne koszty produkcji (we Francji ponoć są czterokrotnie wyższe). A także malownicze położenie i urok miejskich zakątków, przypominające lokalizacje z południa Włoch czy Francji.

Bystrzyca Kłodzka zapracowała sobie na miano „Bystrzycy Filmowej”. Czasem widać tu jednocześnie więcej kamer. Jak wspomina jeden z producentów, w czasie gdy realizowano zdjęcia do „The Partisan”, w miasteczku kręcono też inny film. Doszło do zabawnej pomyłki. Aktor z drugiej produkcji przyszedł do garderoby i już ubrany w mundur rzucił: „Wczoraj byłem w garniturze z lat 90., a dzisiaj wojenny mundur. Co ci producenci mają w głowie”.

KINO W AKCJI

Na potrzeby filmu o Krystynie Skarbek część Bystrzycy Kłodzkiej najpierw wypiękniała (podrasowano fasady budynków, dodano na środku placu fontannę – ta ostatnia tak spodobała się mieszkańcom, że żartowali, by jej po produkcji nie zabierać), a potem uległa zniszczeniu.

Kiedy przybyliśmy do filmowego Crest, podnosiło się ono właśnie po działaniach wojennych. Na ulicach i chodnikach piętrzyły się sterty gruzu



(dowożonego ciężarówkami), wszędzie było widać ślady ognia i szkło z rozbitych szyb. Tymczasem ekipa już się szykowała do kolejnych wyzwań – tym razem kaskaderskich.

W leżących w Górach Stołowych Radkowskich Skalach miały być kręcone ujęcia spektakularnych upadków z wysokości (w czasie ucieczki przedstawiciele francuskiego ruchu oporu przed nazistami). Również w takich okolicznościach – wojennego kina akcji – musiała się odnaleźć główna bohaterka (i grająca ją aktorka).

JAK AGENT 007

Brytyjski reżyser James Marquand mówi, że Krystynę Skarbek można porównać do Jamesa Bonda. Z tym że i ona sama, i niezwykle, czasem wręcz nieprawdopodobne zdarzenia, w których brała udział, są prawdziwe. Jej życiorys – który zainspirował Iana Fleminga do stworzenia postaci Vesper Lynd w pierwszej powieści o Jamesie Bondzie „Casino Royale” – jest też na tyle bogaty i różnorodny, że starczyłoby go na kilka filmowych produkcji lub serial.

– Dokonała tak wielu niesamowitych rzeczy, że gdybyśmy pokazali wszystko, ludzie powiedzieliby: „Nie, to jest zmyślane, to nieprawda” – wtórują główni pomysłodawcy filmu, brytyjscy producenci z polskimi korzeniami, zainteresowani historią kraju przodków, ale opowiadaną przez postacie i zdarzenia, które będą w stanie zainteresować szerszą, międzynarodową publiczność. Taką szansę Krystian Kozłowski i Robert Chadaj (którzy wyprodukowali również obraz „303. Bitwa o Anglię” z 2018 r. z Milo Gibsonem i Marcinem Dorocińskim) dostrzegli w losach wojennej superagentki.

CIEMNOŚĆ I ŚWIATŁO

Większość Brytyjczyków nie kojarzy dziś jej nazwiska, ale nie James Marquand. On od dziecka wiedział, kim była Krystyna Skarbek. Znał pochodzenie, losy i dokonania agentki SOE (Kierownictwa Operacji Specjalnych). O pierwszej kobiecie szpiegu opowiadała mu babcia, także niezwykła osoba. Nie były

dla niego tajemnicą również okoliczności, w których Skarbek zginęła 15 czerwca 1952 r. (z rąk odtrąconego byłego kochanka). W tych wydarzeniach widział konsekwencję jej życia. I z czasu wojny – zmuszającej ludzi do robienia rzeczy, których normalnie by nie zrobili – a także sprzed niej i po jej zakończeniu.

Twórcy filmu uważają, że w biografii Krystyny Skarbek sporo mówi się o jej ojcu Jerzym, zubożałym potomku arystokratycznego rodu, znacznie mniej o matce Stefanii Goldfeder, wywodzącej się z bogatej rodziny żydowskich bankierów. W filmie nie zabraknie relacji (niełatwej) z matką (graną przez Agatę Kuleszę). Zdaniem realizatorów również ten wątek pomoże zrozumieć złożoność charakteru bohaterki.

Tym, co zainteresowało twórców w głównej postaci (a także w innych z filmu „The Partisan”) była niejednoznaczność. W kinie – jak podkreślają – zbyt często pojawiają się figury jednowymiarowe, niczym wycięte z szablonu. Tymczasem Krystyna Skarbek, by móc skutecznie działać, musiała być nie tylko uwodzicielska, sprytna i przebiegła, lecz także bezwzględna. Musiała łączyć w sobie ciemność i światło kogoś, kto zmaga się również z samym sobą.

OCZAMI BOHATERKI

Pytani o wybór odtwórczyni głównej roli, twórcy filmu mówią, że decydujący okazał się obejrzany w czasie pandemii serial „Wikingowie”. Zaintrygowała ich aktorka grająca w nim francuską księżniczkę, przymuszoną do poślubienia szalonego, brutalnego wikinga. Kiedy zorientowali się, że wcieliła się w nią Morgane Polanski, uznali że to najlepsza kandydatka do roli Krystyny Skarbek. Także dlatego, że ma polskie i francuskie korzenie.

Podkreślają, że rola, którą powierzyli aktorce, jest – również fizycznie – bardzo wymagająca. Film opowiada historię z punktu widzenia bohaterki, więc pojawia się ona w każdej scenie. Zdjęcia (realizowane we Francji i w Polsce, których autorem jest Karol Łakomiec) są już na finiszu. Premiera jest zapowiadana na przyszły rok. Budżet produkcji to 7,5 mln funtów. Film został dofinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej.



PIENIĄDZE NIE KUPUJĄ RZECZY

Spraw radość sobie i bliskim dzięki pożyczce przez aplikację IKO:

- nawet do 24 rat
- dla tych, którzy nie skorzystali jeszcze z naszej pożyczki ani kredytu gotówkowego

RRSO 9,82%

RRSO – Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania dla przykładu reprezentatywnego. Udzielenie pożyczki zależy od posiadania zdolności kredytowej. Szczegóły, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, dostępne są w placówkach banku i na pkobp.pl

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora



Bank Polski
dzień dobry

„Kres niewinności” - wciąż sporo historii w TVP

Irena Lasota napisała w „Plusie Minusie” z żalem, że nikt w Polsce nie zauważył filmu Krzysztofa Langa „Marzec '68”. Ja zauważyłem, a nawet opisałem ten historyczny obraz na tle poprzednich produkcji dotyczących tamtego marca. Zgadza się ze znajomym, który uważa, że najciekawsze były „Marcowe migdały” Radosława Piwowarskiego z 1990 r. Tylko że w nim opowiadano nam o tamtych czasach z perspektywy oddalonej od wydarzeń prowincji.

Lang podjął się pokazania dramatu u źródeł, w Warszawie. Ze zdjęciem ze sceny „Dziadów” w Teatrze Narodowym. Ze studenckimi demonstracjami na Uniwersytecie Warszawskim i ze strajkiem na politechnice. Pokazał historię z perspektywy pary studentów. Teraz TVP, producent „Marca '68”, wyemitowała opowieść jako czteroodcinkowy serial pod tytułem „Kres niewinności”. Co wniosło do oceny nowy element.

Chwaliłem staranność Langa w oddaniu materialnej rzeczywistości 1968 r. Dobrze pokazano demonstracje, a także warszawską ulicę. Jednak pytałem o adekwatność tytułu. „Marzec '68” obiecuje nam panoramę, epopeję. Tymczasem dostajemy dość kameralną opowieść o miłości zakłóconej przez historię. O rozdzielonych młodych. O wygnaniu ludzi, którzy przez lata żyli wśród nas. Janek, student politechniki, jest synem esbeka realizującego politykę partyzantów Moczara – antysyjonizm ma utworować drogę do władzy frakcji w PZPR.

Hania, przyszła aktorka, jest córką lekarza żydowskiego pochodzenia, który wyostał się z getta, był w AK, a w końcu zaczął być szykanowany przez władzę.

Gdzie tu wielowątkowość historycznego ciągu zdarzeń? Takie przypadki były, zgoda. Ale były i inne, choćby emigracja dawnych stalinowskich prominentów. Zarazem był też spór o kulturę, o model administrowania społeczną świadomością przez PZPR – niezwiązany już z wątkiem narodowym, choć przez niego kamuflowany.

Ale tytułem „Kres niewinności” Lang rozwał te moje zastrzeżenia. To może być indywidualna historia. Zarazem pododawał wątki, które otwierają nas na niektóre

szersze konteksty. Pokazał zebranie Związku Literatów Polskich protestujących przeciw zdjęciu „Dziadów” czy rozterki partyjnego dziennikarza (Bartosz Gelner), który nie wie, jak się zachować. Ba, już w wersji filmowej Lang odczarował temat robotników odwracających się rzekomo od marcowych rozruchów. Było ich na ulicach sporo. Tak jest w filmie.

Nie pokazał dwuznaczności uderzenia w dawnych profi-tentów systemu, co ułatwiało niektórym Polakom przynajmniej częściowe kupowanie marcowej propagandy. Lekarz, świetnie grany przez Mariusza Bonaszewskiego, jest wolny od takich uwikłań.

Ogląda się to dobrze, także z powodu ujmujących ról Vanessy Aleksander i Ignacego Lissa w roli głównej pary. W sumie więc próba udana, ale czekamy na kolejne odkrycia. Wspomniana dwuznaczność została już zresztą w 2002 r. odsłonięta: w Teatrze Telewizji spektaklem „Rysa” Pawła Mossakowskiego w reżyserii Krzysztofa Zaleskiego.

PS Temat historii w publicznej telewizji prowokuje do zapowiedzi. Tensam Lang kręci serial „Matylda”, ukazujący perypetie młodych Polek w drugiej połowie XIX w. To melodramat, ale z historycznymi ambicjami. Wielkim eksperymentem będzie serial według „Dewajtis” Marii Rodziewiczówny. Świat wielo-



narodowych kresów z początku XX w. ma być przybliżony współczesnemu widzowi, który oddalił się już od języka tamtych kiedyś megapopularnych romansów.

Najbardziej szykują się na produkowany przez TVP film „Niepamięć” Waldemara Szarka. Zostanie nadrobiona oczywista zaległość: to opowieść o młodości Adama

Mickiewicza. Jeśli ktoś chce potwierdzenia racji bytu mediów publicznych, niech ich szuka w takich produkcjach.

Piotr Zaremba

Rozłożysta historia

Niezwykłe uzdolniony, rozemocjonowany chłopak, któremu krążyć po głowie zarówno miłość, jak i wielkie idee. Taki będzie bohater filmu „Niepewność” – jednej z trzech historycznych koprodukcji, realizowanych dziś przez TVP. Zdjęcia do opowieści o życiu... Adama Mickiewicza właśnie się rozpoczęły

P przed Nikodemem Rozbickim – znanym do tej pory ze współczesnych ról (m.in. w kontynuacji filmów z cyklu „Kogel mogel” czy seriali „Rodzina na Maxa” i „Chyłka”) – nie lada wyzwanie. Zagrać przyszłego wieszczka tak, by kibicowali mu współcześni widzowie, angażowali się w jego miłosne i twórcze rozterki, poznając jednocześnie to, co go kształtowało, inspirowało, do czego mógł się odnosić w przyszłych utworach.

„Niepewność” – jak zapowiadają pomysłodawcy kinowego filmu (a w dalszej perspektywie także serialu) – ma przybliżyć postać, pozwalając zrozumieć, kim był Adam Mickiewicz. I opowiadać o nim w sposób niebanalny i daleki od stawiania pomnika.

MIŁOŚĆ „DO M****”

Bohatera poznajemy na pół roku przed jego 22. urodzinami (cztery dni po nich, 26 grudnia 1820 r., napisze „Ode do młodości”, dwa lata później opublikuje „Ballady i romanse”, w kolejnym roku ukążą się „Grażyna” oraz II i IV część „Dziadów”, gdzie znajdzie się kolejny refleks jego nieszczęśliwej miłości).

Jednak w filmie uczuciowe dramaty są jeszcze przed bohaterem. Młody mężczyzna przyjeżdża w letni czas do dworu przyjaciół. Spotyka tam piękną córkę właścicieli, Marylę Wereszczakównę. Dziewczyną jest też zauroczony przyjaciel Adama, Tomasz Zan. Dochodzi do konfrontacji. Tomasz wyjeżdża, by przyjaciel mógł odnaleźć szczęście u boku ukochanej. Kto zna biografię Mickiewicza, ten wie, co zdarzyło się dalej... Tymczasem film koncentruje się na relacjach między młodymi bohaterami, pulsujących emocjami, których ślad utrwały (poza IV cz. „Dziadów”) także ballada „Świtezianka”, romans „Kurhanek Maryli” czy wiersz „Do M****”.

W jaki sposób romantyczną miłość zamierzają pokazać współcześni twórcy? Odrobinię zdradza, kręcony m.in. pod wodą, projekt czołówki. Obraz przejmuje tu siłę i przesłanie słów oraz zawarte w nich uczucia.

Reżyserem filmu (którego premiera jest zapowiadana na 2025 r.) jest Waldemar Szarek. Na ekranie poza Nikodemem Rozbickim zobaczymy m.in.: Aleksandrę Piotrowską, Dorotę Landowską, Adrianę Zarembę, Marka Kalitę, Piotra Garlickiego i Andrzeja Mastalerza. Za zdjęcia odpowiada Bartosz Piotrow-



Kadr z serialu „Matylda”

ski, kostiumy – Marta Grudzińska, scenografię – Magdalena Widelka-Władysław, charakteryzacje – Tomasz Matraszek.

NIESPOKOJNA DUSZA

Na o wiele bardziej zaawansowanym etapie są prace nad serialem „Matylda”, rozgrywającym się w XIX-wiecznych realiach. Tytułową rolę gra Maria Kowalska (m.in. znana z seriali „Pod powierzchnią” i „Osiecka”, gdzie wcieliła się w Agatę Passent).

Jak zapowiada producent: – Niespełna 18-letnia Matylda Bilińska – córka zesłanego na Sybir zamożnego ziemianina – to niespokojna dusza, która wbrew zasadom wpajanym dziewczętom na pensji postanawia żyć na własnych warunkach.

Wieloodcinkowy serial ma być „sagą o wielkiej namiętności, heroicznej walce dobra ze złem, zdradzie, zemście i zadośćuczynieniu”. W tle będą się rozgrywać historyczne wydarzenia i zachodzić społeczne zmiany. Zobaczymy niemal cały przekrój społeczeństwa – od arystokracji i ziemianstwa po chłopów.

Reżyseruje Krzysztof Lang. Autorem zdjęć jest Adam Bąjerski, scenografię – Ewa Skoczowska, kostiumów – Małgorzata Gwiazdecka. W obsadzie znaleźli się m.in.: Małgorzata Buczkowska, Dariusz Chojnacki, Robert Czebotar, Ireneusz Czop, Urszula Grabowska i Mirosław Haniszewski.

W CIENIU DĘBU

W przygotowaniach jest też serialowa adaptacja najgłośniejszej powieści Marii Rodziewiczówny. Trwają prace nad scenariuszem. Ważą się również losy „odtwórcy” tytułowego Dewajtisa – dębu, który mógłby na ekranie godnie reprezentować zarówno literacki pierwowzór, jak i drzewo z majątku pisarki w Hruszowej (dziś na terenie Białorusi). Jednym z poważnych kandydatów jest dąb posadzony w 1937 r. przez prezydenta Mościckiego w miejscu narodzin marszałka Piłsudskiego (na fundamentach dworu w Żuławie pod Wilnem).

Serialowa adaptacja powieści „Dewajtis” byłaby piątym przeniesieniem na ekran prozy Rodziewiczówny. W 1938 r. powstały filmy: „Florian” i „Wrzoś”, w 1984 r. – serial „Łato leśnych ludzi” z Jerzym Bińczyckim, a trzy lata później film „Między ustami a brzegiem pucharu” z Jackiem Chmielnikiem.

Jolanta Gajda-Zadzworna

Jednego serca, jednego ducha

Czy można przecenić jedność? Że nie można, wiedzą już Ukraińcy. Gdyby Rosjanom udało się rozbić ich solidarność w 2022 r., tak jak udało się to osiem lat wcześniej, Niemcy na Ukrainie martwą rzeźnię, a na wschodniej granicy Polski wojenska stepowego imperium gotowe do ataku na Lublin, Białystok, Przemyśl i Warszawę.

Armia jednego serca i jednego ducha potrafi obronić się przed silniejszym wrogiem. Uporu i hartu ducha Polaków nie udało się złamać pod niemieckimi i rosyjskimi zaborami. W XX w. za pomocą terroru i propagandy okupanci sowieccy i niemieccy usiłowali złamać ducha oporu i wprowadzić nowy ład społeczny. Przegrali. Naród pełen ducha może przegrać wojnę i nie zostanie zwyciężony.

Naród można złamać na duchu. Wtedy da się go lepić na własną modłę. Czemu nawet jeszcze dziś tak mocno nienawidzi się Sienkiewicza, którego twórczość podnosiła pokolenia Polaków na duchu?

Solidarność między ludźmi była za komuny odruchem społecznym. Komuniści robili wszystko, by naród rozbić. Dziel i rządź. Dziś dzieli nas samotność. Chłopcy w kieckach, odarci z wojowniczości. Dziewczyny wytatuowane jak grypsujący więźniowie, odarte z delikatności. Zbiorowość monad, masa. Kiedy człowiek ma podzielone serce, przegrywa. Kiedy człowiek nie wie, kim jest, upada na duchu.

Grzech zabiera radość, rozбивa jedność z Bogiem, niszczy jedność między ludźmi. Rozdwaja serce, nastawia mnie samego przeciwko sobie. Rozбивa wszystko, co mu się poddaje. Grzech rodzi smutek, Bóg przychodzi do człowieka z radością. Nie jestem sierotą, nie jesteś sierotą. Bóg leczy złamanych na duchu. Czas leczy rany, ale nie uzdrawia.

Boże Ciało, czyli uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Cztery ołtarze, cztery strony świata. Procesja z Jezusem Eucharystycznym wychodzi poza granice świątyni, *sacrum* idzie na spotkanie profanum. Chce je przeniknąć, przemienić, pojednać ze sobą.

W Bolsenie w środkowych Włoszech w 1263 r. w trakcie mszy odprawianej przez kapłana, który nie wierzył, że na ołtarzu naprawdę dokonuje się przemiana chleba i wina w ciało i krew Chrystusa, z konsekrowanej hostii wprost na leżący na ołtarzu korporał zaczęły spadać krople krwi. Rok później papież Urban IV ustanowił *festum Corporis Christi*, święto Ciała Chrystusa. W naszych czasach przebadano kilka cudów eucharystycznych, które zostały uznane przez Kościół. We wszystkich przypadkach naukowcy mieli do czynienia z cząstkami ludzkiego serca w stanie agonii, zawsze też występowała ta sama grupa krwi AB, tak samo jak w przypadku krwi znajdującej się na całunie turyńskim.

Krwawiąca hostia, Boże Ciało, krew Chrystusa. Czy byłbyś wdzięczny komuś, kto za ciebie zginął, zasłonił cię własnym ciałem przed ciosem noża, wyciągnął w ostatniej chwili spod pociągu, uratował tonącego i sam się utopił? To proste sprawy.

Tyle jest smutku wokół. Tyle biedy, nędzy nie tylko duchowej. Tyle ludzi błądzi w ciemności. I ci w łachmanach, i ci w fularach, i ci dumni, i ci bładzi w białych kołnierzykach, niepotrafiący zasnąć ze strachu przed pójściem do pracy. Aluminium, beton, szkło. Kreska w kiblu, szybki numerki na odprężenie, co wieczór dwa browarki. Rano nie możesz wstać, chce ci się rzygać na samą myśl o robocie.

Czas i wolna wola to jedyne, co mamy naprawdę. Masz wolną wolę, możesz odrzucić ratunek. Moc chrztu można roztrwonić. Można zakopać otrzymane



ROBERT TEKIELI

darmo złoto. Można przyjąć współczesne wierzenia, odrzucając wiarę. Można co niedziela marnować łaskę. Można przyjmować Jezusa na próżno.

Rozpacz, beznadzieja, popękane relacje. Bóg nie sklepi tylko tego, czego nie chce mu oddać człowiek. Wolna wola zatrzymuje wszechmocną Miłość.

Czas i wolna wola. Zaufanie Bogu, miłosierdzie dla człowieka. Droga pokory i ludzkiej solidarności. Jedność ze złamanymi na duchu, współczucie dla cierpiących.

Serdecznie zapraszam na tegoroczny koncert „Jednego serca, jednego ducha” w uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa. Na scenie pojawią się m.in. Marcin Pospieszalski, Jan Budziaszek, Hubert Kowalski, Beata Bednarz, Andrzej Lampert, Joachim Mencil, Robert Cudzych, Leopold Twardowski, Basia Pospieszalska, Tomas Celis Sanchez, Adeb Chamoun, Fundacja Braci Golec, Mercedes Abendano Rodrigues, Ana Maria del Rosario Valverde Cueva, Norma Rodrigues Rodrigues, Adelfa Jiraldo de Morales, Allan Carranza Caceres.

W tym koncercie, podobnie jak ja, co roku biorą udział dziesiątki tysięcy osób z całej Polski, Białorusi i Ukrainy. Chcą przeżyć wieczór święta Bożego Ciała w atmosferze modlitwy i wysłuchać świadectw, cieszyć się z pokoju i jedności. Przeżyć momenty wspólnotowej radości. Zapraszam! Czwartek, 8 czerwca w parku Sybiraków w Rzeszowie o godz. 19.00.

Warte

„Ten świat należy do tych, którzy potrafią brać” – mówi czarny bohater powieści „Babel”, biały człowiek. „Wiesz o tym równie dobrze jak ja” – kieruje te słowa do głównego bohatera, Chińczyka z Kantonu, uprowadzonego do Anglii jako dziecko, by tam studiował, a później służył brytyjskiemu imperium przy wyzyskiwaniu swoich byłych współplemieńców.

„Babel” to postkolonialna powieść rozliczeniowa, jej autorka, Rebecca F. Kuang, 27-letnia amerykańska pisarka fantastyki chińskiego pochodzenia, otrzymała za nią w tym roku nagrodę Nebula.

„Anglia powinna przewodzić światu” – mówi do chińskiego untermenscha biały suprematysta wywodzący się z narodu, którego wynalazkiem są obozy koncentracyjne dla Burów. Kolonialny nabab, wycierając sobie gębę Panem Bogiem, pyta bohatera: „Czy uważasz, że Anglię należy ukarać za to, że miała odwagę wykorzystać naturalne talenty, którymi obdarzył ją Bóg? Czy winniśmy zostawić Wschód w rękach skorumpowanych degeneratów, skłonnych roztrwonić wszystko, co mają, na konkubiny i jedwabie?”. Mówi to powieściowy członek XIX-wiecznej angielskiej elity, która właśnie zaczęła stosować w Chinach broń chemiczną, demoralizując i wyniszczając chińskie społeczeństwo za pomocą opium, bogacąc się bajecznie na uzależnianiu, zabijaniu ludzi. Jasne, nikt nikomu narkotyku siłą nie wstrzykiwał, tyle że wykorzystano inną w różnych ras tolerancję na toksyczne substancje – członkowie plemion północnoamerykańskich też byli bezradni wobec wysokoprocentowego alkoholu, na którego odporność wśród Europejczyków budowała się przez kilka pokoleń.

Główny bohater w imieniu członków hinduskich, chińskich, karaibskich elit sprowadzonych do metropolii tak odpowiada na pytanie białego rasisty, czemu niewolnik nie chce pokochać swojego pana: „Uniwersytet wyrwał nas z domów i kazał wierzyć, iż jedyną możliwą przyszłością jest służba koronie – wycedził Robin. – Uniwersytet wmawia nam, że jesteśmy wyjątkowi, szczególnie, wybrani, podczas gdy w rzeczywistości odcina nas od korzeni i wychowuje wśród ludzi, do których klasy nigdy nie będziemy należeć”. Tyle że nowożytny uniwersytet to nie jest już uniwersytet. Kolonializm nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem. Nowożytny Oksford nie ma nic wspólnego z uniwersalizmem. Był miejscem bezinteresownego poszukiwania prawdy w średniowieczu, w czasach nowożytnych zaczął służyć duchowi czasów. Jak bolszewicki Wieczorowy Uniwersy-

tet Marksizmu-Leninizmu, nowożytny Oksford stawał się z wieku na wiek WUML brytyjskiego kolonializmu. Kuang wykazuje też mimochodem, że liberalizm to w swojej praktyce usprawiedliwiająca przemoc ideologia białego człowieka. Bohater jej powieści zastanawia się w pewnym momencie, jak inteligentni biali ludzie mogą w zgodzie z sobą usprawiedliwiać wyzysk innych ludów i całych krajów za pomocą cwanej retoryki, barwnych ripost i pokrętnych, filozoficznych uzasadnień. No, nie mogą.

Pod koniec wojny o sukcesję hiszpańską Brytyjczycy doszli do wniosku, że roztropne będzie kształcenie młodych umysłów w językach kolonii, które dopiero co utracili Hiszpanie. Brytyjczykom udało się zbudować kolonialną wieżę Babel. Ale nie dzięki promieniowaniu swojej kultury uniwersalnymi wartościami, lecz za pomocą sparszywałego języka przemocy.

Oto słowa powieściowego absolwenta Oksfordu patrzącego na ślinę ciekącą z ust człowieka torturowanego przez niego aż do pozbawienia władzy nad ciałem: „Dobry Boże. – Sterling stanął prosto i poprawił zawiązany pod szyją fular. – Richard miał rację. Wszyscy jesteście zwierzętami”. Kiedy opada zasłona słów, kiedy niewolnik się buntuje, pozostaje tylko naga przemoc. Odpowiedzią na nią musi być rewolucja – tak rzeczkuje Rebecca F. Kuang. Pełny tytuł jej książki brzmi: „Babel, czyli o konieczności przemocy”.

Pisarka wyodrębia, stosuje anachronizmy, „Babel” to nie powieść historyczna, to opowieść o brytyjskim, belgijskim, hiszpańskim, francuskim, holenderskim, niemieckim rasizmie i kolonializmie. Niech Anglicy, Belgowie, Hiszpanie, Francuzi, Holendrzy, Niemcy kłękają przed potomkami swoich ofiar. Mają za co przepraszać. Rasizm, imperializm, system kastowy – tymi niesprawiedliwościami żywi się od ponad 100 lat marksizm, przynosząc „wyzwolonym” ludom, klasom czy mniejszościom jeszcze większą niewolę. Lekarstwo gorsze od choroby. Cóż, tak ma rewolucja, tak ma nowożytny człowiek.

Kolonialne narody utuczyły się na krwi. Niech białe elity byłych imperiów dokonują rachunku sumienia. Niech za dość czynią potomkom swoich ofiar. Nie utożsamiajmy się z nimi, choćby atakowali ich totalitarni aktywiści marksistowskiej Wakandy. To nie nasza wojna, jedni warci drugich. Naszym hasłem „Błogosławieni miłosierni”, ich zawołaniem: „Świat należy do tych, którzy potrafią brać”. Są tylko dwa sztandary. Sztandar woli mocy i sztandar Chrystusa.

Robert Tekieli
Polskie Radio





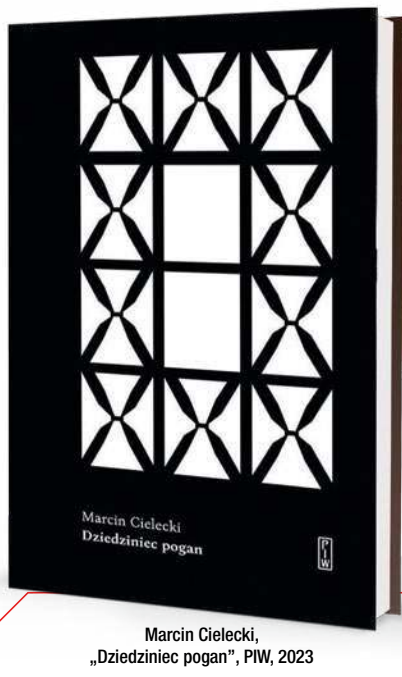
Wojciech Stanisławski

Przedsiönek

Zapiski Marcina Cieleckiego mają wartość ponadczasową. Ale w zupełnie szczególny sposób czyta się je w Polsce 2023 r., roku publikacji „Wygasanía”, kolejnych rejterad i apostazji

Dla wyjadaczy, wydawców, agentów literackich taki koncept mógłby się wydać czymś – owszem – pomyslowym, ale nie zanadto, nie przesadzajmy: dziennik z kilkudniowego pobytu w klasztorze na prawach świeckiego gościa albo i kilku takich dni skupienia? Przecież możliwość takiej wizyty jest w zasięgu ręki, wiele klasztorów zaprasza wręcz do wyciszenia się w ich murach. A potem – hulaj, pióro! Można sobie wyobrazić pobożne zapiski, czerpiące trochę z miejscowej tradycji duchowej, słuszne i przewidywalne. Można – ciepły reportaż o codziennym życiu klasztoru, taki fajnoksiężowski: trochę przysmaków siostry Anastazji, trochę żartów ojca Leona i koniecznie jakiś obrazek typu „nowoczesność za murami”: iPhone odzywający się w kieszeni podczas jutrzni, Apple opata. Można też równie łatwo wyobrazić sobie opowieść biegnącą w przeciwnym kierunku: odważna reporterka wędruje za mury, by – empatycznie wysłuchując siostr – zgromadzić świadectwa nieczułości, mobbingu i wypalenia, a przy okazji poddać krytycznemu osądowi swoje własne szampowe, katolickie wychowanie. Nie będą to może zapiski tak soczyste jak insiderskie relacje byłych seminarzystów, które ochoczo publikuje „Krytyka Polityczna”, ale zawsze wpiszą się we współczesną – jak to mówią – narrację.

Najtrudniej uwierzyć, że taki czas w klasztornej celi – trochę zawieszony, wyrwany pracy i rodzinie, biegnący z innym taktowaniem – może przynieść głęboką refleksję i dużej klasy literaturę. A tak stało się w przypadku „Dziadzińca pogan” Marcina Cieleckiego.



Marcin Cielecki,
„Dziadzińca pogan”, PIW, 2023

To książka bardzo odrębna. Nie za sprawą formatu: literatura polska jest bogata w dzienniki, również takie, które odpuszczają sobie powinności kronikarskie, skupiając się na doświadczeniach i przemyśleniach autora. Również sylwa polszczyźnie niestraszna, naprzemienne łączenie kilku wątków dociekań jak w kameralnym utworze muzycznym czy sztuce, gdzie myśl wędruje między protagonistami, a niewielkie, na ludzką miarę instrumenty – klarnet, obój, skrzypce – po kolei przejmują prowadzenie. Nie, o osobności „Dziadzińca pogan” przesądza uczciwość, skromność i odwaga, z jaką autor staje wobec perspektywy

stosunku do Boga, perspektywy wiary i niewiary – rezygnując z większości poręcznych, obiegowych formuł i postaw. Nie tylko tych najbardziej powierzchownych – krzykliwej antykościelności, dudniącej wierności – lecz także postaw nieco głębszych, a do tego nieosobistych. Formuł tworzonych i proponowanych przez różne kręgi osób na serio zastanawiających się nad wiarą: od czupurnej awangardowości „Więzi” po wytrwałą wierność tradycji w „Christianitas”, by przywołać tylko te dwie z wielu formuł.

Nie kwestionuję żadnej z nich, wielu szukających może za ich sprawą odnaleźć ścieżkę lub przynajmniej jej początek: ale nie Cielecki, wracający do pokoju numer trzy w klasztorze sióstr karmelitanek bosych w podolsztyńskim Spręcowie z plecakiem wypełnionym laptopem, spiworem, kilkoma książkami (Taubes, „Dziennik” Andrzeja Kijowskiego, Zagajewski, Coetzee, Czapski). I brewiarzem, o którym pisał zresztą wiersze już przed laty („nadymanie zagli sennych łodzi monotonna litania...”).

Jednym z wątków powracających na kartkach „Dziadzińca pogan” są, rozproszone trochę, refleksje i przypomnienia punktów zwrotnych, wielkości i mielizn zachodniego monastycyzmu. Odświeżyły one i moją pamięć (ostatecznie nie każdy może absolwent studiów historycznych w Polsce ma w bagażu Taubesa, ale każdy chyba ma „Od pustelni do wspólnoty” Jerzego Kłoczowskiego!) – w tym i fresku Giotta „Wyrzeczenie się dóbr ziemskich”. Pamiętamy: młody, szalony Franciszek ciska swoje szaty pod nogi ojca, zacnego kupca Piotra Bernardone, na znak wyrzeczenia się

dóbr ziemskich. Ten gest wyrzeczenia, porzucenia dóbr, rozdziewania się z atłasów został oczywście przez stulecia ugłaskany i sformalizowany: ale sama scena wracała do mnie wielokrotnie, kiedy myślałem o odwadze, z jaką Marcin Cielecki rezygnuje z formuł „Więzi” i „Christianitasu”, układnej pobożności i sztubackiego sceptycyzmu za trzy grosze. Odwadze, z jaką niesie zarówno pragnienie wierności, jak i niepewność odpowiedzi – i zamyka się z nimi (choć przecież na kilkadziesiąt godzin, nie na całe życie) w ciszy pokoju numer trzy.

Odwaga i skromność przynoszą owoce nie tylko na kartach średniowiecznych żywotów. „Dziedzinec pogan” to obok zapisów doświadczeń ze Spręcowa w kilku przybliżeniach (ja w klaszorze, klasztor oczami innych, życie codzienne klasztoru, opisywane wiernie, a do tego z dystansem i szacunkiem, bez amikoszonerii) również kilka innych, wytrwale prowadzonych wątków (klarnet, obój, skrzypce...). Po

pierwsze, namysł nad samym wyborem i fenomenem pustelni/wspólnoty: skąd wzięła się ta potrzeba, co z niej może się ostać? Po wtóre, namysł nad szczególnym ludzkim losem, od którego zaczęła się historia klasztoru w Spręcowie: losem Mikołaja Suszyńskiego, polskiego oficera wywiezionego do łagrów i ocalałego, jak wierzył, przed losem innych wojskowych więźniów września 1939 r., utopionych przez Sowietów w Morzu Białym. Również próba odtworzenia historii dziejącej się na obrzeżach Zagłady, a mianowicie tworzenia przez Niemców koszmarnych, potiomkinowskich do potęgi gospodarstw rolnych na popieliskach Treblinki i Sobiboru. A do tego czytanie, wnikliwe i pod prąd: wspomnianego już Kijowskiego, Pascala i Gartha Ennisa, i Michała Gołębiowskiego.

Napisałem – i to podtrzymuję – że „Dziedzinec pogan” to książka niezwykła. A także – ile musiało się zmienić, żebym za niezwykle uznał dzieło pisarza, który bez

zadęcia i demonstracyjnego luzu, bez temperamentu twitterowego komentatora po prostu siada do pisania w ciszy – i spędza przy biurku godziny (owszem, czasem jałowe), usiłując spisać swoje uwagi o autorach, z którymi prowadzi spór lub dialog, o książkach, gestach, języku, utrwalić jedno czy drugie spotkanie lub scenę bez konieczności przedzenia gęstej welny fabuły? Który szuka dystansu od zgiełku miasta, od „pstrokaczyny bestii” (ależ zapadła mi w pamięć ta fraza!), ale przecież nie wycofuje się stamtąd na wyspę czy na Parnas, po prostu chce być o krok oddalony? Który nie zaczyna od wyznań ani sztyderstwa, tylko zdaje sprawę ze swoich myśli, a my wędrujemy tym szlakiem, aż zaskoczy nas koniec tomu? Co w tym takiego niezwykłego? I – zaraz – ile lat temu miałem po raz ostatni w ręku kurzący się dziś gładnie na półce czytelnikowski, łatwo rozklejający się wzdłuż grzbietu „Dziennik pisany nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego? 

Pieśni do śmierci i życia

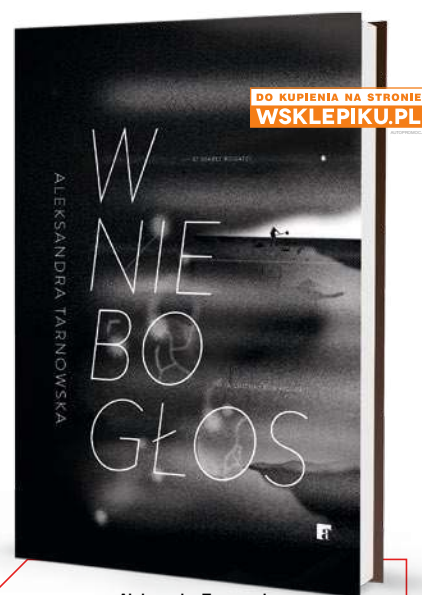
Mają swoje losy nie tylko książki, lecz także mody i strategie wydawnicze. Gdyby „Wniebogłos” trafił w moje ręce bez okładki, bez kolofonu – kto wie, może nabrałbym się, uznał go za nieznany miniaturowy przyrządek z przełomu lat 60. i 70.? Wieś przed elektryfikacją, z PKS za borem, opisana uważnie, ale bez czułości, bez magii Tadeusza Nowaka, ale i niew duchu biedakresowej groteski Redlińskiego. Ot, ciężkie życie: czarne od wżartej ziemi palce, grzęznący w śniegach karetka, zachwyty i potępienie znaczone twardym paznokciem. Nazwa Tuklęcz, choć jest naprawdę taka wieś w Sandomierskiem, brzmi jak przygana pod adresem patriarchalnych rytmów i przemocy. Ale i sceptycznej wobec nich przyjezdnej nauczycielce daleko do zetempówki z powieści socrealistycznej, ma w sobie i prywatę, i okrucieństwo.

Inna jest to wyraźnie rzecz niż powieści wiejskie ostatnich lat, z szerokim oddechem historycznym, z wymyślną

konstrukcją, a przede wszystkim ze współczesną świadomością narratora, jak choćby dwie rzeczy mistrzowskie, „Skoruń” Macieja Plazy i „Bez” Andrzeja Muszyńskiego. Debiutancki „Wniebogłos” jest skromny, nie przestaje podejrzewać, że to jakiś prank lub ekstrawagancja wydawcy: w ofercie ArtRage gęsto od awangard fińskich i chilijskich, i nagle jakiś Rysiek z akordeonem, haftowana w bławatki pierzyna, co została po Mamie, intrygi babek, drewniana figura Nepomuka?

Trudno. Historia o osieroceniu, wybijaniu się nastolatka w dorosłość w dusznym doś, zwłaszcza z dzisiejszej perspektywy świecie tłących się ziemniaczanych lętów, rosółu i klusek kładzionych, rozwrzeszczanych kołyskach jest opowiedziana przez Aleksandrę Tarnowską przejrzyście i prosto, a dodatkowo oferuje zawrót głowy na myśl o mostach nad epokami. Łatwiej uwierzyć w ubłoconą ulicówkę jak z „Daleko od szosy”, trudniej – że pół wieku temu, za wczesnego Gierka, śpiewano na niej pieśni żałobne, przytoczone w książce

bez drwiny. Zdumienie jak u Czesława M., wspominającego, „kiedy w noc parną samolot ląduje w Kalamazoo”, szeptunki znad Issy – a ulga, że ktoś mógł napisać coś o wsi polskiej, nie cytując koniecznie Kacpra Pobłockiego, jeszcze większa. 



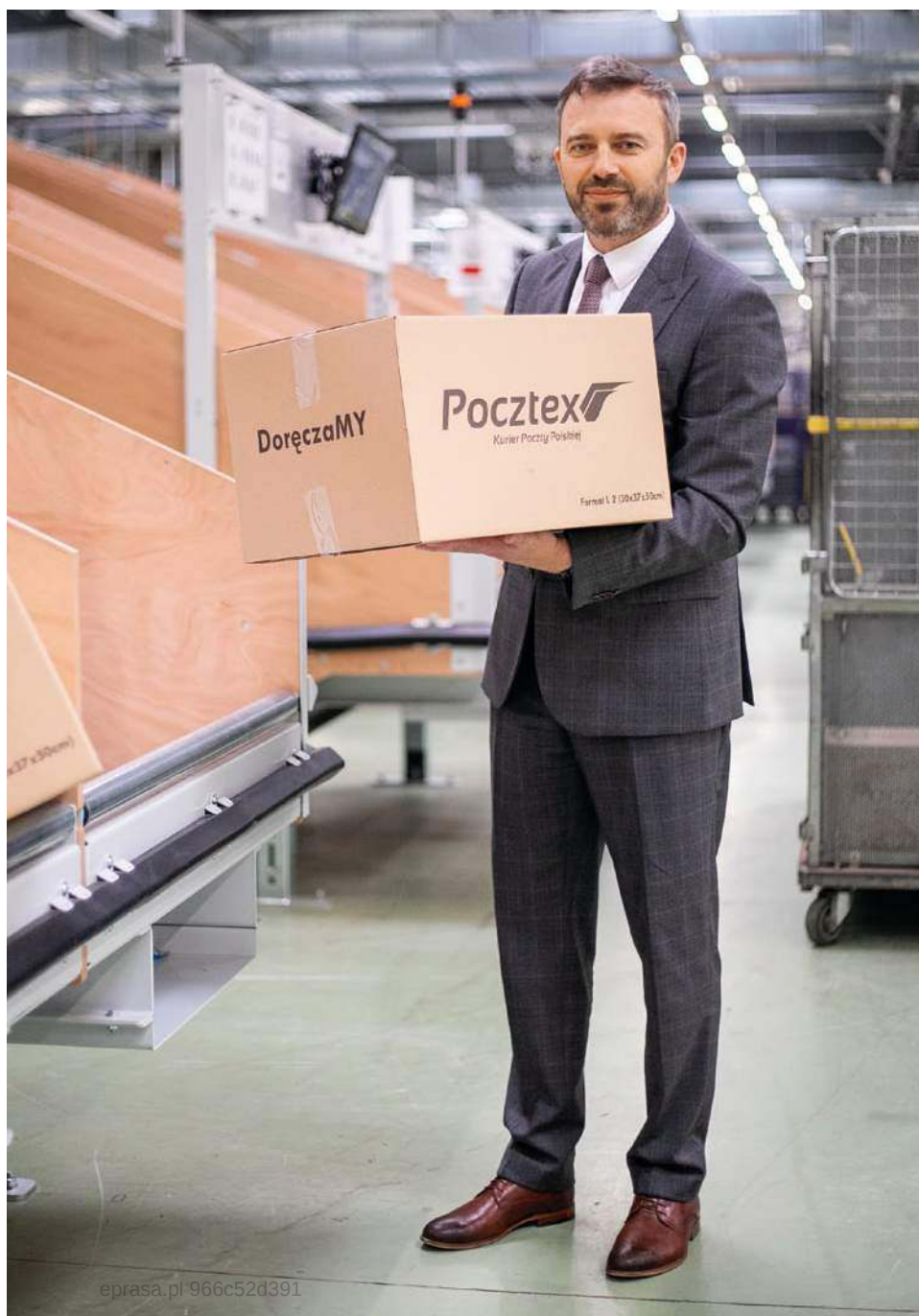
Aleksandra Tarnowska, „Wniebogłos”, ArtRage, 2023

E-doręczenie zamiast listu, paczka zamiast kartki

*O technologicznej rewolucji na poczcie z **Andrzejem Bodzionym**, wiceprezesem Poczty Polskiej, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)*

Panie prezesie, dlaczego wysyłamy mniej listów, kartek? I skoro przesiadamy się na pocztę elektroniczną, czy potrzebujemy jeszcze Poczty Polskiej?

Andrzej Bodziony: Potrzebujemy, choć nie myślę o poczcie, którą pamiętamy sprzed lat. Poczta się zmienia tak jak klienci. Na rynku usług listowych obserwujemy stały trend spadkowy, co odpowiada trendom światowym, determinowanym rozwojem e-substytucji i ograniczeniem skali korespondencji. W 2022 r. wysłano o 7 proc. mniej listów niż w 2021 r., a w grupie klientów indywidualnych ten spadek był jeszcze większy, bo wyniósł aż 12 proc. Faktury papierowe są zastępowane elektronicznymi, zamiast listów czy pozdrowień z wakacji wysyłamy e-mail-e, SMS-y czy po prostu wrzucamy zdjęcia na media społecznościowe. W 2020 r. nastąpiło znaczne przyspieszenie zastępowania tradycyjnych przesyłek pocztą elektroniczną. Oczywiście miała na to wpływ pandemia. Dziś widzimy, że ta zmiana jest nieuchronna. To samo dotyczy choćby prasy papierowej – coraz powszechniej czytelnicy sięgają przecież po e-prenumeratę wydań cyfrowych, a czytelnicy książek po e-booki czy audiobooki. Potrzebujemy nowoczesnej poczty. Dlatego zmieniamy się dla naszych klientów. Potrzebujemy narodowego operatora pocztowego – instytucji, będącej ważnym elementem infrastruktury państwa. Poczta Polska od dawna obserwuje zmiany na rynku i się do nich przygotowuje. Chcemy odgrywać rolę narodowego operatora cyfrowego, świadcząc usługi np. elektronicznego listu poleconego, e-doręczeń, q-doręczeń.



Warto też zauważyć, że dynamicznie rozwija się e-handel, zatem rośnie skokowo liczba przesyłek z towarami, a klienci potrzebują usług kurierskich, sprawdzonego łącznika między producentem, sklepem a odbiorcą. To przecież nasza rola – w tych usługach widzimy więc przyszłość Poczty Polskiej. Trzeba też podkreślić, że jesteśmy firmą z polskim kapitałem, a w czasie pandemii staliśmy się strategicznym, pewnym i bezpiecznym partnerem państwa polskiego w realizacji różnego rodzaju usług przewozowych.

Czyli pozycja i rola Poczty Polskiej to też kwestia zaufania do polskiej instytucji? W kontekście ochrony danych, niebezpieczeństw związanych z wyłudzeniami tożsamości stawiam tezę, że kwestia zaufania staje się kluczowym elementem gry, warunkiem, dla którego wciąż potrzebujemy poczty. Zgodzi się pan?

Zaufanie to podstawa relacji między instytucjami publicznymi i obywatelami. Jesteśmy jedną z największych firm w Polsce. Instytucją z 465-letnią tradycją, największym operatorem pocztowym na rodzimym rynku. Zatrudniamy ponad 65 tys. pracowników, a nasza sieć obejmuje ponad 7,6 tys. placówek, filii i agencji pocztowych. Działamy z powodzeniem na bardzo konkurencyjnym i wciąż rozwijającym się rynku usług logistycznych i kurierskich. A co najważniejsze właśnie – jesteśmy pewnym i zaufanym partnerem dla wielu firm i instytucji. I to zaufanie ma szczególne znaczenie w kontekście zastąpienia papierowych listów e-korespondencją, listów poleconych – e-doręczeniami. Zarówno dane nadawcy, odbiorcy, jak i zawartość korespondencji muszą być przechowywane w formie elektronicznej. We współczesnym świecie ogromne znaczenie ma to, gdzie i przez kogo została nadana taka wiadomość i kiedy została odebrana. Poczta Polska gwarantuje, że te dane nie znajdują się w niepowołanych rękach, a wiadomość zostanie bezpiecznie dostarczona do adresata.

Czy możemy zatem mówić o Poczcie Polskiej jako firmie technologicznej?

Proces cyfryzacji obserwujemy w administracji publicznej, ZUS, bankowości... Zakładam, że poczta też podlega tym zmianom.

Wszystkie inwestycje i działania podejmowane przez Poczcie Polską mają służyć temu, by poziom usług przez nas świadczonych stale wzrastał. Cyfryzacja jest kluczowym kierunkiem rozwoju firmy zapisanym w strategii do 2023 i będzie zapewne wpisana w kolejne dokumenty strategiczne naszej instytucji. Przed nami kolejne etapy digitalizacji całej administracji państwowej – przechodzenie na korespondencję elektroniczną, co dla poczty oznacza zwiększenie wolumenów e-przesyłek. To z pewnością będzie umacniało pozycję przedsiębiorstwa

Chcemy, by marka narodowego operatora pocztowego była kojarzona z najwyższą jakością świadczonych usług, i do tego konsekwentnie dążymy

jako wiarygodnego partnera publicznego. Spółka jest gotowa do świadczenia tych usług. Z wprowadzonych w Poczcie Polskiej q-doręczeń mogą korzystać już dziś także podmioty niepubliczne, firmy, przedsiębiorcy, stowarzyszenia i np. adwokaci. Dotychczas z usługi rejestrowanego doręczenia elektronicznego można było korzystać w komunikacji z podmiotami publicznymi i administracją samorządową.

Kolejnym wątkiem rozwoju Poczty Polskiej jest automatyzacja narzędzi wykorzystywanych w logistyce. Tak jak mówiłem – cyfryzacja to jeden element, drugi element rozwojowy spółki to rynek usług paczkowych, kurierskich. Dziś dysponujemy urządzeniami do automatyzacji obsługi listów. Musimy jednak inwestować w nowoczesne sortery paczkowe, żeby podjąć skuteczną konkurencję z rynkiem kurierskim.

Mimo zmian technologicznych Poczta Polska wciąż jest blisko – sieć to 7,6 tys.

placówek. To ważne jak w bankowości – żeby dać Polakom możliwość osobistego kontaktu z instytucją? Wciąż walczymy z wykluczeniem cyfrowym, uczymy się – tu firma odgrywa też rolę edukatora...

Musimy pamiętać, że istnieje spora grupa osób, które nie chcą lub nie mogą korzystać z cyfrowych narzędzi komunikacji. Dla nich poczta musi być dostępna, być zaufanym dostawcą usług tradycyjnych. Dlatego we doręczeniach uruchomiliśmy usługę automatycznego, bezpiecznego wydruku korespondencji urzędowej.

Chciałbym podkreślić, że Poczta Polska jest szczególną instytucją. Działamy na podstawie prawa handlowego – jako spółka musimy na siebie zarobić, ale mamy też wiele prawnych obowiązków, których nie ma nasza konkurencja. Mówię choćby o utrzymywaniu sieci placówek pocztowych, których po prostu nie możemy zamknąć ze względu na brak rentowności. Dopiero w ub.r. przygotowano przepisy umożliwiające wypłatę rekompensaty z tytułu świadczenia usługi powszechnej. Rząd podjął inicjatywę ustawodawczą, która spotkała się z pozytywnym przyjęciem większości ugrupowań parlamentarnych, także tych opozycyjnych. To ważne, bo większość państw europejskich dba o swoje narodowe poczty i stara się wykorzystywać ich potencjał, więc Poczta Polska nie powinna być wyjątkiem.

Tak jak pan mówi – prywatna firma może powiedzieć: „Kierujemy nasze usługi tylko do takiej czy innej grupy potencjalnych klientów (np. wyposażonych w smartfon, komputer itd.)”. PP musi być dostępna dla wszystkich. To utrudnia konkurencję z prywatnymi uczestnikami rynku?

To właśnie misja Poczty Polskiej, działającej w oparciu o prawo pocztowe. Utrzymujemy sieć placówek, realizujemy usługi powszechne, wynikające z tego prawa – doręczanie listów czy paczek powszechnych, dotrzymywanie znacznie wyższych standardów prawnych. Mamy przez to nieco bardziej skomplikowaną ofertę niż pozostali gracze na rynku kurierskim. Jednocześnie podnosimy rentowność



Fot. Andrzej Wiktor

naszych placówek pocztowych przez dodatkowe usługi – finansowe, handlowe, bo w mniejszych miastach bywa, że jesteśmy jedynym miejscem, gdzie można kupić prasę, książkę. I równocześnie podejmujemy konkurencję na rynku kurierskim i logistycznym. To dlatego inwestujemy mocno w rozwój infrastruktury logistycznej. W 2021 r. Ministerstwo Aktywów Państwowych podjęło decyzję o dokapitalizowaniu Poczty Polskiej w wysokości 190 mln zł. Środki te zostaną przeznaczone wyłącznie na realizację inwestycji w obszarze architektury sieci logistycznej. Planowana pełna kwota nakładów inwestycyjnych na ten cel to obecnie ponad 350 mln zł w latach 2021–2025. To ważne, że właściciel, którym jest skarb państwa, dba o swoją spółkę i wspiera jej rozwój.

Rynek usług paczkowych stał się kluczowym elementem gry dla firm logistycznych. Poczta skutecznie walczy o swoje miejsce na tym rynku zdominowanym przez firmy z kapitałem zagranicznym. Gdzie rozgrywa się największa bitwa tego starcia?

Dla naszych klientów, kupujących i sprzedających w sklepach internetowych, ważne są terminowość, koszt i pewność dostawy. Znaczenie ma też oczywiście różnorodność form do-

stawy przesyłki. Współpracujemy dziś z największymi graczami na tym rynku, a także ze średnimi i małymi firmami, rodzinnymi przedsiębiorstwami. Jako pierwsi rozpoczęliśmy współpracę z sieciami partnerskimi, by powiększyć sieć punktów odbioru. Dziś oferujemy także możliwość nadawania przesyłek w tych punktach partnerskich. Oczywiście rynek lubi te najmniejsze paczki, tymczasem Poczta Polska oferuje również usługi paletowe, podejmując się transportu także większych przesyłek, co jest istotne dla sklepów internetowych oferujących różnorodne towary. Dla aptek, rynku farmaceutycznego mamy specjalną usługę Pocztex Thermo Tracking z systemem monitoringu temperatury paczki. To kwestia bezpieczeństwa i szybkości dostaw specjalnych towarów.

Logistyka opiera się na dwóch filarach – systemie zarządzania i centrach logistycznych. W obu dziedzinach w PP trwają intensywne inwestycje.

Projekt nowej architektury sieci logistycznej (ASL) to oczywiście jedna z kluczowych inicjatyw Poczty Polskiej. Nie tylko wzmocni pozycję rynkową spółki w branży usług kurierskich, lecz także wpłynie na poprawę parametrów jakościowych, terminowość dostaw przesyłek. To umożliwi transformację sieci lo-

gistycznej przystosowanej dotychczas głównie do obsługi listów do sieci przesyłek kurierskich. W logistyce ważne jest posiadanie właściwie zaplanowanej sieci połączeń, optymalizację dobrze zlokalizowanych hal i – co najważniejsze – wyposażenie ich w nowoczesne sortery przeznaczone do automatycznego opracowania przesyłek. Pierwszy taki sorter został uruchomiony w maju we Wrocławiu. Na budowę i integrację technologiczną tej maszyny, zajmującej prawie taką powierzchnię jak pełnowymiarowe boisko piłkarskie, przeznaczyliśmy 90 mln zł. Warto powiedzieć, że urządzenie pozwala na odczyt nie tylko ustandaryzowanych etykiet pocztowych, lecz także przesyłek międzynarodowych z niestandardowym układem danych teleadresowych. Dzięki temu będziemy mogli sprawnie obsługiwać różnorodne przesyłki. W br. planujemy uruchomić dwa kolejne sortery w Lublinie i Lisim Ogonie pod Bydgoszczą. Łącznie wydamy na nie 220 mln zł, to największa jednorazowa inwestycja w modernizację procesów logistycznych od początku historii spółki. Powstaje też nowoczesny kompleks logistyczny w miejscowości Ciemne koło Radzyna o powierzchni 50 tys. m² i wydajności opracowywania przesyłek 15 tys. na godzinę.

Odpowiadając na pytanie, co pozwoli na podjęcie skutecznej konkurencji na rynku logistycznym – inwestycje. Choć trzeba powiedzieć, że takie, o których przed chwilą wspomniałem, powinny zostać podjęte kilkanaście lat temu.

Cóż... Wielu polityków i poprzednie zarządy najwyraźniej wychodziły z założenia, że poczta była, jest i będzie.

Będzie na pewno. Ale to już będzie inna poczta – nowoczesna i konkurująca z rynkiem kurierskim, realizująca usługi logistyczne wraz z cyfrowymi. To są trzy filary naszej strategii. Chcemy, by marka narodowego operatora pocztowego była kojarzona z najwyższą jakością świadczonych usług, i do tego konsekwentnie dążymy. Działania ukierunkowane na rozwój spółki już w niedalekiej przyszłości powinny przynieść oczekiwane korzyści, zależy nam przede wszystkim na satysfakcji naszych klientów. 

Chcę zapewnić ochronę sobie i swoim bliskim

W PZU w ramach jednej polisy
możesz ubezpieczyć całą rodzinę

Odwiedź nasz **oddział**, skontaktuj się
z **agentem PZU** lub wejdź na stronę **pzu.pl**.



Zakładem ubezpieczeń jest PZU Życie SA. Szczegółowe informacje, w tym wyłączenia i ograniczenia odpowiedzialności znajdziesz w aktualnych OWU poszczególnych indywidualnych ubezpieczeń na życie, dostępnych na pzu.pl.

Kto wznieca szum w Puszczy Bukowej?

Pogoda w sobotę 20 maja była bardzo dobra. Wielu mieszkańców Szczecina i okolicznych miast postanowiło spędzić ten dzień na łonie natury, kierując się do lasów zarządzanych przez nadleśnictwa Goleniów, Kliniska czy Trzebież. Leśnicy pracujący w tych jednostkach mają świadomość, że przeważające w regionie bukowe lasy służą społeczeństwu jako miejsce wytchnienia i weekendowej rekreacji. Dlatego przygotowali wiele tras dla turystów, ścieżek, punktów, gdzie można w wygodnie odpocząć, siadając pod zadaszoną wiatą. W Kliniskach, głównie z myślą o dzieciach i młodzieży, powstał nowoczesny Ośrodek Edukacji Przyrodniczo-Leśnej. Na terenie Nadleśnictwa Goleniów chętnie odwiedza się Arboretum w Glinnej, założone przeszło 100 lat temu i pieczołowicie pielęgnowane przez leśników.

LEGALNI VS. NIEODPOWIEDZIALNI

– Wysoka frekwencja w takich miejscach to potwierdzenie, że społeczeństwo docenia pracę i starania leśników – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Miejscowi są na tak, ale ostatnio znalazła się grupka ludzi, głównie z południowej części kraju, która stwierdziła, że w lasach pod Szczecinem źle się dzieje. I zaczęła protest.

Gdy okoliczni mieszkańcy korzystali z wolnego dnia i cieszyli się piękną, wiosenną zielenią, aktywiści postanowili zająć się tym, co jest esencją ich działalności. Czyli protestem.

Kilkuosobowa grupka rozbiła obozowisko na terenie Nadleśnictwa Gryfino, blokując realizację prac gospodarczych wykonywanych na zlecenie nadleśnictwa. Dodajmy – wykonywanych przez prywatną, wyłonioną w przetargu firmę, której nikt nie zrekomensuje przestojów i strat. Legalnych, bo zgodnych z planem urządzenia lasu zatwierdzonym przez ministra ds. środowiska.

BARYKADA Z GAŁĘZI

– Poza tym blokada odbyła się w sposób nieodpowiedzialny i stwarzający zagrożenie dla operatora sprzętu, pracującego w lesie i osób, które blokowały sprzęt, siadając bezpośred-

Puszcza Bukowa to rozległy kompleks leśny okalający Szczecin. Tradycja zagospodarowania tutejszych lasów sięga średniowiecza. Nie podoba się to grupce aktywistów, którzy na progu XXI w. postanowili radykalnie eksmitować leśników

nio przed maszyną – zwraca uwagę Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

By jeszcze bardziej zwrócić na siebie uwagę, protestujący zrobili barykadę z gałęzi i grubych fragmentów drewna na pobliskiej drodze. Niestety, nie wzięli pod uwagę tych, których uwagę barykada mogłaby zwrócić dopiero wówczas, gdyby wpadli bezpośrednio na nią o zmierzchu.

– Rumowisko z pni i gałęzi powstało na drodze, która służy do celów przeciwpożarowych i jest wykorzystywana licznie przez turystów. To kolejny przykład braku odpowiedzialności w stosunku do osób korzystających z drogi, w tym rowerzystów poruszających się po

niej ze znaczną prędkością – mówi Gzowski. – Dla mnie jest to klasyczny przykład ekoterroryzmu.

CELEM PROTESTU JEST PROTEST

Przedstawiciele Służby Leśnej i Straży Leśnej Nadleśnictwa Gryfino przez chwilę mieli nadzieję, że może protestujący mają jakieś konkretne oczekiwania. Że są skłonni zakończyć bezprawny biwak i spakować manatki po spełnieniu jakichś konkretnych żądań. Nic z tych rzeczy.

– Leśnicy odbyli rozmowę z organizatorami protestu, wy stosowując zaproszenie do rozmów w sprawie postulatów. Ale zaproszenie zostało odrzucone. Ekoterrorysty poinformo-

Ekoterroryzm

jest formą terroryzmu, w której działania przemocowe lub destrukcyjne są podejmowane w celu osiągnięcia celów ekologicznych lub ochrony środowiska naturalnego. Osoby lub grupy zaangażowane w ekoterroryzm mogą stosować różne metody, takie jak sabotaż, podkładanie bomb, niszczenie infrastruktury przemysłowej, ataki na instalacje lub działania mające na celu zaszkodzenie firmom lub instytucjom, które są uważane za szkodliwe dla środowiska. Szczególnie niebezpiecznym i perfidnym przejawem ekoterroryzmu jest tree spiking, czyli nabijanie drzew gwoździami. Przypadki takich działań odnotowano w ubiegłym roku w Polsce.



wali, że są zainteresowani jedynie protestowaniem – mówi dyrektor Kubica. – Przynajmniej raz szczerze usłyszeliśmy, że celem protestu jest... protest.

Kiedy przedstawiciele nadleśnictwa otrzymali taką deklarację, a grupka młodych osób odmówiła zakończenia pikiet i opuszczenia lasu na wezwanie zarządcy, pozostało jedno – zgłoszenie sprawy na policję. Funkcjonariusze po przybyciu na miejsce wylegitymowali protestujących. Choć ci zapewne oczekiwali jakiś przepychanek z kajdankami i środkami przymusu bezpośredniego, które dałoby się nagrać i upublicznić jako dowód rzekomych szykan, mundurowi zachowali się w pełni profesjonalnie. I pozostawili ekoaktywistów w spokoju.

Ale policjanci nie byli jedynymi gośćmi w nielegalnym obozowisku. Na protest zjechali dziennikarze, oczywiście medii określonego nurtu.

– Mielśmy tu do czynienia z klasycznym spektaklem urządzanym dla mediów. Obserwujemy podobne w różnych miejscach w kraju. Jest protest, są krzykliwe hasła i larum nad przyrodą, odrzuca się propozycje jakichkolwiek rozmów, a rozmawia jedynie z przychylnie nastawionym TVN, Wyborczą czy OkoPress – mówi obeznany w tematyce mediów rzecznik Lasów.



– Jakbyśmy słuchali nagrania, które powstało w jednym studio. Mam teorię, że nie jest to studio znajdujące się w Polsce – przypuszcza rzecznik Lasów Państwowych.

Faktem wartym odnotowania jest to, iż protesty w Puszczy Bukowej zbiegły się w czasie z ogłoszeniem przez Unię Europejską planów przejęcia kompetencji nad lasami w krajach członkowskich. Po tym, jak uderzenie Komisji Europejskiej w polską gospodarkę leśną spotkało się z twardym sprzeciwem w naszej Ojczyźnie, próba destabilizacji tego sektora może być działaniem mającym na celu osłabienie polskiego stanowiska, co dałoby szansę na przejęcie 1/3 terytorium kraju nad Wisłą.

Nie musieliśmy długo czekać, by przekonać się, jak daleko posuną się protestujący, by osiągnąć swoje cele. W kolejną sobotę rozegrał się akt drugi spektaklu pt. „Ekologiczny protest w Puszczy Bukowej”.

WALCZA OLEJEM SILNIKOWYM

– Gdy media przestały interesować się ekoterrorystyczną hucpą, jacyś „ekobohaterowie” zaatakowali budynek Nadleśnictwa Gryfino. Anonimowe osoby wylały oleistą substancję przed nadleśnictwem, ukradły flagę Lasów Państwowych i uszkodziły maszt, na którym flaga wisiała – informuje Józef Kubica.

W sobotę 27 maja przed jego siedzibą wylany został zużyty olej silnikowy. Było go na tyle dużo, że spływając, zanieczyścił drogę na długim jej odcinku, stwarzając niebezpieczeństwo dla kierowców i przechodniów. Odpady zanieczyszczone olejem zostały porzucone na posesji nadleśnictwa.

Na miejscu znalazła się też wymowna „czarna tablica”, która stanowi wizytówkę protestów w Puszczy Bukowej.

– Koledzy spod Szczecina musieli wezwać straż pożarną, aby unieszkodliwić rozlaną substancję, która sięgała już gryfińskiego nabrzeża. Istniało ryzyko, że w przypadku opadów deszczu substancja ta dostanie się do Odry przez studzienki kanalizacyjne. Dodatkowo duża jej ilość na chodniku uniemożliwiała korzystanie z niego przez przechodniów. Sprawę przekazano również policji – do dalszego procedowania i ustalenia sprawców – mówi Józef Kubica.

INSPIRACJA Z BRUKSELI?

A co mówią protestujący o leśnikach? W Puszczy Bukowej gra ta sama płyta, którą słychać w innych częściach Polski. Masowa wycinka, niszczenie siedlisk, ignorowanie okresu lęgowego.



Lasy Państwowe

ORLEN Memorial Janusza Kusocińskiego i Memorial Ireny Szewińskiej

Wielcy patroni przyciągają wielkie gwiazdy

W naszym kraju trwa właśnie spektakularny festiwal lekkoatletyczny oparty na dwóch filarach – 69. ORLEN Memoriale Janusza Kusocińskiego, który w niedzielę 4 czerwca odbył się na Stadionie Śląskim w Chorzowie, oraz piątej edycji Memoriału Ireny Szewińskiej w Bydgoszczy, który odbędzie się jutro, czyli we wtorek 6 czerwca

Zorganizowanie niemal dzień po dniu dwóch tak głośnych lekkoatletycznych mitingów przyciągnęło do Polski wielu wybitnych zawodników ze światowej czołówki. Już wiele dni przed 69. ORLEN Memorialem Janusza Kusocińskiego jego dyrektor Sebastian Chmara zapowiadał, że będzie to z pewnością najważniejsze lekkoatletyczne wydarzenie tej wiosny w Polsce. Impreza cieszy się na całym świecie zasłużoną renomą i wspaniałą historią, Memorial Kusocińskiego jest bowiem organizowany od 1954 r. Jego patron – polski bohater, mistrz olimpijski



Fot. Arkadiusz Wojtasiewicz/Polishpress/East News

w biegu na 10 km z igrzysk w Los Angeles, zamordowany przez Niemców w Palmirach w 1940 r. – jest wzorem sportowca i człowieka dla każdego z kolejnych pokoleń.

DLACZEGO BYDGOSZCZ

Swoją historię od pięciu lat buduje także inna ważna impreza, czyli Memorial Ireny Szewińskiej. Na wymienienie wszystkich medali i sukcesów najlepszej polskiej lekkoatletki w historii zabrakłoby

Przed nami wyjątkowa edycja Le Mans 24 z Robertem Kubicą z ORLEN Team WRT w stawce

Każdy chce wygrać taki wyścig!

Nie będzie taryfy ulgowej, a emocje sięgną zenitu. Już 10 czerwca rozpocznie się wyjątkowy – bo organizowany w roku 100. urodzin imprezy – 24-godz. wyścig Le Mans. Robert Kubica stanie przed kolejną szansą odniesienia zwycięstwa w wyścigu, w którym był już o włos od triumfu

Po raz pierwszy zawody na okalających francuskie miasto Le Mans drogach odbyły się 26 maja 1923 r. Od tamtej pory organizowano je aż 89 razy. Impreza, która cieszy się statusem jednej z najbardziej prestiżowych w świecie motorsportu, nie odbywała się jedynie w latach 1936 oraz 1940–1948. Tegoroczny wyścig Le Mans będzie jednocześnie czwartą eliminacją obecnego sezonu WEC (długodystansowe mistrzostwa świata), w których startuje Robert Kubica w barwach

belgijskiego zespołu ORLEN Team WRT. W br. z racji wyjątkowej dla Le Mans daty organizatorzy przyjęli dużą większą liczbę zgłoszeń niż zwykle. Na torze zobaczymy aż 62 bolidy, z czego 16 w klasie hypercar i 24 pojazdy klasy LMP2, w których ściga się Kubica wraz ze swoimi partnerami z ekipy ORLEN Team WRT, czyli Angolczykiem Rui Andrade i Szwajcarem Louisem Delétrazem. Przypomnijmy, że zasady Le Mans są proste: w ciągu 24 godzin kierowcy jeżdżą po torze o długości

13,629 km, a wygrywa ten zespół, który pokona jak najwięcej okrążeń. Ekipy rywalizują w trzyosobowych zespołach. Do tej pory nie złamano jeszcze bariery 400 okrążeń toru w 24 godziny, a najbliższą tego była ekipa Porsche, która w 2015 r. pokonała aż 395 „kółek”.

W ostatnich dwóch latach przygoda Roberta Kubicy z Le Mans wyglądała niesamowicie. W 2021 r. bolid Polaka uległ awarii na... ostatnim – 363. okrążeniu i stracił pewną wygraną w kategorii

tutaj miejsca. Trzykrotna mistrzyni olimpijska i multimedalistka w biegach sprinterskich i skoku w dal cieszyła się szacunkiem i uznaniem całego sportowego świata, a jednocześnie ujmowała każdego swoją naturalną skromnością i klasą. Zorganizowany po raz pierwszy w rok po śmierci pani Ireny memorial jej imienia odbywa się na stadionie w Bydgoszczy nie bez przyczyny. To właśnie tam w 1976 r., podczas Grand Prix Brdy, Irena Szewińska ustanowiła rekord świata w biegu na 400 m. To wydarzenie stało się przyczynkiem do umieszczenia na bydgoskim stadionie specjalnej tablicy pamiątkowej, ufundowanej przez Międzynarodową Federację Lekkoatletyczną, która w ten sposób postanowiła upamiętnić 12 najwybitniejszych postaci w historii lekkiej atletyki. Irena Szewińska znalazła się wśród takich legend, jak Emil Zátopek, Paavo Nurmi czy Jesse Owens.

We wtorek pamięć o najwybitniejszej polskiej sportmence XX w. uczczą swoimi zmaganiem wielkie gwiazdy. Przede wszystkim zobaczymy wreszcie w akcji inną polską legendę – Anitę Włodarczyk.

– Takiej obsady w historii memoriału jeszcze nie było i na pewno bardzo godnie uczymy pamięć pani Ireny. Po kontuzji wraca Anita Włodarczyk i mam nadzieję, że będzie to jej wielki powrót. Ona już pokazywała, że potrafi rzucać na bydgoskim stadionie – mówi Krzysztof Wolsztyński, prezes Kujawsko-Pomorskiego Związku Lekkiej Atletyki i dyrektor imprezy.

Rywalizacja w Bydgoszczy będzie się toczyć w 14 konkurencjach – kobiety będą startować w biegach na 100, 200 i 800 m, w biegu na jedną milę oraz w biegu na 100 m przez płotki i w rzucie młotem, a z kolei mężczyźni pobiegą na 200, 800 i 1500 m oraz 110 m przez płotki, będą także rywalizować w skoku wzwyż, skoku o tyczce, pchnięciu kulą i rzucie młotem. Organizatorzy przygotowali wejściówki w atrakcyjnych cenach, które będą kosztować 10, 15 i 20 zł. Dzieci poniżej piątego roku życia wchodzić bezpłatnie, młodzież ucząca się i studenci oraz emeryci i renciści mogą korzystać z biletów ulgowych, podobnie jak osoby niepełnosprawne wraz z opiekunami. Przygotowano także bezpłatne bilety dla grup, tzw. klubów kibica. Impreza rozpocznie się o godz. 17.30.

KOSMICZNA OBSADA

Impreza ta już trzeci rok z rzędu znajduje się w gronie imprez World Athletics Continental Tour Gold. Do Bydgoszczy przyjadą m.in. trzy najlepsze młociarki ostatnich mistrzostw świata i dwie najlepsze z ostatnich igrzysk! Wśród mężczyzn w rzucie młotem wystąpią wszyscy trzej zawodnicy, którzy stali na podium ostatnich igrzysk w Tokio.

– A zatem będą to m.in. Anita Włodarczyk, Malwina Kopron, Brooke Andersen, Camryn Rogers, Wojciech Nowicki, Paweł Fajdek czy Eivind Henriksen, czyli cały światowy top. Obsada jest absolutnie kosmiczna i jestem pewien, że taki sam będzie poziom tych zawodów – dodaje Wolsztyński.

Bardzo mocno będzie także obsadzony konkurs skoku o tyczce. W Bydgoszczy bowiem wystartują m.in. Piotr Lisek oraz znakomici Amerykanie, medaliści olimpijscy z Tokio i Rio de Janeiro – Chris Nilsen i Sam Kendricks. Impreza jest jedną z najważniejszych

w roku dla Bydgoszczy i całego województwa kujawsko-pomorskiego. Jej głównym sponsorem jest Anwil, wchodzący w skład Grupy Orlen. Z kolei dla polskich lekkoatletów obydwa memoriały są wielkim sprawdzianem formy przed odbywającymi się w tym sezonie dwiema ważnymi imprezami: drużynowymi mistrzostwami Europy, które w 20–25 czerwca odbędą się w Chorzowie, oraz mistrzostwami świata, które pod koniec sierpnia organizuje Budapeszt.



Fot. Brecht Deenen Photography/Orlen Team

LMP2. W ub.r. polski kierowca odegrał się jednak i startując w barwach Prema ORLEN Team, zajął historyczne drugie miejsce w swojej klasie, co było jednocześnie pierwszym podium dla polskiego kierowcy w 99-letniej historii wyścigu. Do tegorocznej edycji zespół Kubicy przystępuje jako wicelider klasyfikacji WEC w kategorii LMP2, ale widać, że ekipa rozkręca się z wyścigu na wyścig. Poprzednią eliminację – rozegraną na torze

w belgijskim Spa – ORLEN Team WRT zakończył bowiem na najwyższym stopniu podium. Jak będzie zatem w Le Mans, czy Robert i startujący wówczas z nim w ekipie Delétraz zdołają osiągnąć cel, którym będzie zwycięstwo w swojej klasie w morderczym wyścigu Le Mans?

Zadanie nie jest proste, bo choć kierowcy zmieniają się w czasie wyścigu, to warto uświadomić sobie skalę wyzwania. Przejazd ponad 350 dystansów pętli

liczącej niemal ponad 13,5 km oznacza pokonanie ok. 5 tys. km w czasie całego wyścigu. To tak, jakby urządzić rajd ze środkowej Finlandii do Gibraltaru. Tymczasem ten gigantyczny dystans auto wyścigowe przejeżdża w czasie jednej doby, co daje średnią prędkość ponad 200 km na godzinę. W zawodach startują trzyosobowe zespoły. Każdy członek ekipy nie może jechać w trakcie 24-godzinnego wyścigu mniej niż 6 godzin i nie więcej niż 14 godzin. To jeden z wymogów bezpieczeństwa, by żaden z kierowców nie ryzykował z powodu przemęczenia.

PARTNER DODATKU





Lewandowski daje radę

Wygrać klasyfikację najlepszych strzelców sześć razy z rzędu, występując w pięciu z najlepszych lig Europy? Dotychczas nikomu się to nie udało. Zapewnić Barcelonie mistrzostwo Hiszpanii na długo przed końcem rozgrywek. Nie wszystko się udało, ale na pewno Lewandowski odnalazł się w nowym klubie i został doceniony.

Czy w przyszłym sezonie zagra z Messim?



CEZARY KOWALSKI

Ubiegłego lata wydarzeniem piłkarskim były przenosiny Roberta Lewandowskiego z Bayernu Monachium do Barcelony. Fakt, że stojący na krawędzi bankructwa klub uruchomił słynne finansowe dźwignie (wyprzedził po prostu

z góry swoje aktywa przeznaczone do sprzedaży w przyszłych latach) i wydał na 34-letniego wówczas Polaka aż 50 mln euro, uchodziło za sensację. RL9 miał wejść w buty pożegnanego wcześniej ze względu na gigantyczne koszty utrzymania ulubieńca tłumów

Leo Messiego. Choć przecież jest zupełnie innym typem zawodnika.

Miał po raz pierwszy od dekady zagrać w innej lidze niż niemiecka. Wziąć udział w zupełnie nowym projekcie (kadra zespołu była w przebudowie, a trenerem został niedoświadczony Xavi) i zmierzyć się z sytuacją, w której nic nie jest dopięte na ostatni guzik, tak jak przyzwyczaił się w Bundeslidze.

NA FALI

Czy mu się udało? Patrząc na suche liczby, to pytanie retoryczne. Jego Barcelona zapewniła sobie mistrzostwo Hiszpanii na długo przed końcem rozgrywek, udało się także zdobyć Superpuchar Hiszpanii.

Wygrać klasyfikację najlepszych strzelców sześć razy z rzędu, występując w pięciu z najlepszych lig Europy? Dotychczas nikomu się to nie udało. Do historii przechodzi właśnie Robert (piszemy te słowa jeszcze przed ostatnią kolejką, w której Polak z Barcelony ma o pięć trafień więcej niż Karim Benzema z Realu Madryt).

Zdobyc najwięcej goli w Hiszpanii w swoim pierwszym sezonie w nowym otoczeniu to jest po prostu mistrzostwo świadczące o niezwykle elastyczności zawodnika, zdolności do błyskawicznej adaptacji w każdych warunkach. Na dwie kolejki przed końcem rozgrywek Polak miał w sumie po przenosinach z Bayernu Monachium 33 gole w 44 meczach i już wtedy stał się jednym z najlepszych strzelców Barcy w historii na tym etapie rozgrywek.

Lewandowski ma średnią 0,75 gola na mecz i jeśli porównamy go z innymi superstrzelcami, przekonamy się, że poprawia liczby Samuela Eto'o, czyli dziewiątego najlepszego strzelca klubu z Katalonii (130 goli w 199 meczach). W sezonie 2005/2006 Kameruńczykowi udało się zdobyć 34 gole w 47 meczach (średnia 0,72 gola na mecz). Kiedy kończył swoją przygodę z Barcą w sezonie 2008/2009 miał 36 goli w 52 meczach (średnia 0,69 na mecz). W obu tych sezonach Barcelona wygrywała Ligę Mistrzów.

I DOCENIONY

Hiszpanie doceniają wyczyn Polaka tym bardziej, że przez długi czas w obecnym

sezonie był on pozbawiony wsparcia kontuzjowanych Ousmane Dembélé i Pedriego, którzy są mistrzami w dostarczaniu piłek napastnikowi. A poza tym sam grywał z kontuzją. Co wywoływało mieszane uczucia (ambicja przesłaniała zdrowy rozsądek?). Czyli mimo 35 lat na karku jest szansa, że w przyszłym sezonie jego liczby będą jeszcze bardziej imponujące.

Te wszystkie pochwały, imponujące liczby i ogólnie bardzo dobra gra kapitana reprezentanta Polski w nowym miejscu są bezdyskusyjne i naprawdę trudno byłoby się czepiać kogokolwiek innego będącego w podobnej sytuacji. Tyle że to Lewandowski. Jedna z największych gwiazd współczesnej piłki. Bohater popkulturowej wyobraźni. Tu poprzeczka jest zawieszona najwyżej, jak się da. Trzeba brać pod uwagę kontekst, zastanawiać się nad sensownością wyboru, patrząc na obraz całej kariery, a także celów, które mu jeszcze pozostały do osiągnięcia.

A zatem cały ten sezon, mimo że efektowny, nie był dla Polaka jedynie usłany różami. Poszedł on do Katalonii także po to, by wygrać coś jeszcze w Lidze Mistrzów. A co się w niej stało? Barcelona nie wyszła z grupy, a Robert musiał znieść porażkę na Camp Nou z Bayernem, który upokorzył jego nowy klub 3:0.

Polak nie pomógł także w rozgrywkach pocieszenia, Lidze Europy, gdzie ekipa Xaviego uległa Manchesterowi United. Mecz przegrany z Realem w Pucharze Króla aż 0:4 pozwalał wątpić, czy RL9 jest jeszcze w stanie dokonywać rzeczy wielkich. Bo z całym szacunkiem dla takich drużyn jak Espanyol, Getafe, Cádiz czy Elche to budowanie swojego bilansu na nich, a nie na tych najmocniejszych rywalach może powodować jakiś dysonans.

Ogólnie Robert po genialnym wręcz początku wpadł w dołek, który datuje się mniej więcej po powrocie z mundialu w Katarze, który wyjątkowo odbywał się zimą.

I KRYTYKOWANY

Zwłaszcza w mediach madryckich, nieprzychylnych wszystkiemu, co barcelońskie, był on w pewnym momencie (początek marca) naprawdę mocno krytykowany. Oto zbitka cytatów z tamtego czasu: „Przeżywa najgorszą passę od

czasu podpisania kontraktu z Barcą”, „Stracił czucie piłki”, „To niewytłumaczalne, by napastnik jego klasy marnował tak wiele sytuacji podbramkowych”, „Barca wygrywa dzięki ter Stegenowi, Raphinhi, Balde, ale gdzie jest Lewandowski?”, „Polak podtrzymuje złe uczucia, które są jego udziałem od czasu powrotu piłki klubowej po mistrzostwach świata w Katarze”, „RL9 toczy piłkę, zamiast ją uderzać”, „Jego wkład jest fundamentalny w tym sezonie. Jest najlepszym strzelcem, jednym z kilku senatorów, ale...”, „W Bayernie spędził kilka sezonów, utrzymując średnią więcej niż jeden gol na mecz, ale teraz w ostatnich 11 meczach zdobył zaledwie dwie bramki. Nikt nie podważa klasy napastnika z Warszawy, ale nie można nie zauważyć, że przeżywa on swoją najgorszą dynamikę bramkową tuż przed najważniejszym meczem sezonu”, „Już nie jest spektakularny, nie jest decydujący, Barca wygrywa mecze w sposób minimalny, bo brakuje jej zabójcy pod bramką rywala”, „Ma już prawie 35 lat, kosztował ok. 55 mln euro. Barca musi pozyskać innego środkowego napastnika latem. 18-letni Brazylijczyk Vitor Roque ma przed sobą wielką przyszłość”.

Powyższe cytaty nie pochodzą od kibiców, którzy często emocjonalnie wylewają swoje żale w mediach społecznościowych, ale są wyborem opinii dziennikarzy z najbardziej uznanych tytułów hiszpańskich zajmujących się futbolem i opisując rzeczywistość po meczu wygranym 1:0 z Athletic Bilbao. Delikatnie mówiąc, RL9 zagrał przeciętnie, nie wykorzystał dwóch dobrych sytuacji, niczym się nie wyróżnił.

Ponad miesiąc później, czyli pod koniec kwietnia, nie było dużo lepiej: „Samoлюбny Lewandowski”, „Niezwyczajny egoizm”, „Ruina, jest już prawie byłym piłkarzem” – pisali dziennikarze prestiżowego, ale jednak madryckiego „El Mundo” po meczu Barcelony z Atlético Madryt. W tym starciu Barca wygrała 1:0 i praktycznie przesądziła o mistrzowskim tytule, ale Polak znów nie strzelił gola, a do tego w spektakularny sposób nie podał w idealnej sytuacji do będącego przed pustą bramką Raphinhi.

„Coś złego dzieje się z Lewandowskim” – pisał z kolei „As” i zastanawiał się, co konkretnie mogło mieć wpływ na obniżkę jego formy.

„Najlepszy strzelec 2020 i 2021 r. zszedł ze spektakularnej średniej goli na meczu – 1,08 po 12 kolejkach La Liga do 0,28 w ostatnich 14 meczach, które rozegrał. W poprzednim sezonie strzelił 35 goli w Bundeslidze, teraz ma 17 w Hiszpanii” – wypominano.

Reporterzy przytaczali słowa Roberta, który w jakiś sposób próbował się tłumaczyć: „Mistrzostwa świata w środku sezonu były skomplikowane dla wielu graczy. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego”. Zapowiadał rychłą poprawę, ale ta nie chciała nastąpić.

Przypominano, że już przed mistrzostwami świata nie strzelił gola w trzech meczach, a nawet został wyrzucony z boiska w Pampelunie. Potem przyszła drobna kontuzja, a w pewnym momencie Polak sam przyznawał, że decydował się na poszukiwanie kolejnych bramek mimo dyskomfortu i gry z bólem.

Na osiem kolejek przed końcem uważano, że Robert ma połowę bramek, które strzelił w poprzednim sezonie w Bayernie. Mimo wciąż dobrego bilansu załamanie naszego gracza było oczywiste. Xavi bardzo go bronił, pytając retorycznie: „To co mają powiedzieć o sobie inni napastnicy, którzy są za plecami Polaka?”.

Hiszpanie marudzili, bo po prostu chcieli od Lewandowskiego jeszcze więcej. „To, co skończyło się na »lidze ter Stegena« czy »lidze 1:0« (najczęściej uzyskiwany wynik przed Barceloną), miało być jednak »ligą Lewandowskiego«” – pisała „Marca”.

„Barcelona traci sens... Z przeciętnym Lewandowskim, który sprawia ostatnio wrażenie, jakby przybył tu na emeryturę na Costa Brava, utraciła ostatnią dźwignię Europy” – dodawał felietonista „El Mundo”, nawiązując ironicznie do słynnych dźwigni finansowych prezydenta Joana Laporty.

DRUŻYNA W BUDOWIE

W Barcelonie w kwestii Lewego w momencie kryzysu panował względny spokój. Jego zaangażowanie w klub od samego początku i bardzo dobre relacje w szatni z młodszymi zawodnikami mają ogromne znaczenie w całościowej ocenie dokonań Polaka. Słabnąca w pewnym momencie dynamika dokonań napastnika wskazywała jedynie, że po okresie

ekscytacji znalazł się na jakimś zakręcie. Przestał być galaktyczny w oczach Hiszpanii, stał się ziemski, zaczął podlegać normalnej krytyce.

Zrobił po prostu swoje w pierwszej części sezonu i miał prawo być w dołku. Xavi wyprowadził go z niego metodą startową (grał bez przerwy) i w ostatnich kolejkach, mimo że Barca walczyła już o pietruszkę i potrafiła się kompromitować (1:3 z beniaminkiem Realem Valladolid u siebie czy 1:2 z Realem Sociedad), to jedynie Lewy trzymał fason i zdobywał piękne gole, odjeżdżając Benzemie.

Polak pomógł Barcelonie zdobyć pierwszy tytuł mistrzowski bez Leo Messiego. Bez Gerarda Piqué, który w połowie sezonu skończył karierę, a Sergio Busquets zapowiedział, że odchodzi po sezonie. Tylko czterech innych graczy tej drużyny wcześniej zdobyło mistrzostwo Hiszpanii: Marc-André ter Stegen, Jordi Alba, Sergi Roberto i Ousmane Dembélé.

Można było zakładać, że Barcelona po dźwigniach finansowych prezydenta-szarlatana coś w tym sezonie ugra, ale chyba nikt się nie spodziewał, że sukces na krajowym podwórku będzie aż tak spektakularny (kiedy zapewniała sobie mistrzostwo 14 punktami przewagi nad Realem).

Choć faktem jest, że najważniejsi rywale praktycznie się... położyli. Real od czasu mundialu nie był w stanie wygrać trzech meczów z rzędu, a Atlético miało fatalną jesień.

Do stawiania pytań o niepodważalność wielkości Barcelony skłaniają występy drużyny Xaviego na arenie międzynarodowej (podwójna klęska: w Lidze Mistrzów i w Lidze Europy). Można to też przecież zrzucić na karb turbulencji świeżo formowanej ekipy, dopiero się docierającej. Inna to była zresztą drużyna latem i jesienią ub.r., a inna obecnie.

Najprawdopodobniej dziś Barca nie dostalaby już takiego lania jak od Bayernu czy Interu. Dziś też Lewandowski nie musi już za wszelką cenę udowadniać, jak dobrym jest napastnikiem. Bo widać było gołym okiem, że wysiłek energetyczny-emocjonalny w tych pierwszych miesiącach, związany z chęcią dobrego zaprezentowania się nowej publiczności, był ogromny. I musiało się to prędzej czy później odbić na naszym graczku.

Xavi mówi, że to wciąż drużyna w budowie, ale jednak ten pierwszy poważny sukces (nie wliczając zdobytego Supercupharu w Arabii Saudyjskiej) przyniósł oczekiwaną stabilność. Oni wygrali ligę w czasie zmian i kryzysu finansowego, niejako będąc w przeciagu, w czasie rozpoczynającego się remontu Camp Nou, mając na plecach dług sięgający 1 mld euro, w cieniu tzw. afery Negreiry, która elektryzowała i wciąż elektryzuje opinię publiczną.

Jednym zdaniem, Barca była w stanie pokonywać przeszkody, których wcześniej nie musiała. Coś takiego cementuje, wzmacnia więź z kibicami. Rekordy frekwencji na Camp Nou nie były przypadkowe. Fani mieli świadomość pewnej misji, a nie przychodzili na ten archaiczny obiekt jedynie dla rozrywki. A najlepiej w dalszym ciągu, i to ze znaczną przewagą nad drugim w kolejności, sprzedają się koszulki z nazwiskiem Lewandowski.

Jak pisze Orfeo Suárez z „El Mundo”, nawiązując do scen biblijnych: „Barcelona dotarła do ziemi obiecanej”. Po ciężkiej drodze przez pustynię, zmuszona do ucieczki, nękana przez pandemię, ruinę gospodarczą czy sprawę Negreiry.

Przeprowadził ją do tej ziemi obiecanej człowiek, który kiedyś przebył podobną drogę w roli zawodnika reprezentacji Hiszpanii i przyczynił się do mistrzostwa świata. Wtedy też przecież, łącznie z wielkim finałem z Niemcami jego drużyna wygrywała nieznacznie, najchętniej 1:0.

CZY BĘDZIE PETARDA?

Xavi, mimo że musi ciąć koszty i oszczędzać na pensjach zawodników (wymagania finansowego fair play narzucane przez hiszpańską La Liga), swoją wymarzoną docelową Barceloną, która będzie swego rodzaju wersją Pep Guardioli 2.0, chce oprzeć na dwóch wybitnych weteranach i dwóch genialnych młokosach.

I jak informuje świetnie zorientowany argentyński portal Infobae: snuje on plany połączenia doświadczenia i siły Messiego z Robertem Lewandowskim, których będą wspierać w ataku młodzi Pedri i Gavi.

Robert u boku najlepszego piłkarza w historii? Ależ to będzie petarda...

Autor jest komentatorem Polsat Sport

**NA TAKIEJ RACIE
MOŻNA SIĘ OPRZEĆ**



www.aliorbank.pl

RRSO 10,36%

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) „Kredytu ze stałą ratą” wynosi 10,36% i została wyliczona na reprezentatywnym przykładzie na 2.05.2023 r. Okres kredytowania wynosi od 3 miesięcy do 3 lat. Z oferty specjalnej mogą skorzystać klienci indywidualni, którzy nie posiadali w Alior Banku pożyczek gotówkowych lub kredytów konsolidacyjnych w żadnym z 12 miesięcy poprzedzających miesiąc złożenia wniosku. W ramach oferty nie ma możliwości konsolidacji wewnętrznej. Dla kwoty kredytu powyżej 70 000 zł brutto wymagane jest zabezpieczenie w formie cesji z umowy ubezpieczenia od następstw nieszczęśliwych wypadków oraz od utraty pracy. Ostateczne warunki kredytowania zależą od zdolności kredytowej klienta, kwoty kredytu, okresu kredytowania, daty wypłaty kredytu, daty płatności pierwszej raty oraz wymaganych przez bank zabezpieczeń. Szczegóły oferty oraz Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych są dostępne w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

KATHERINE TAMIKO ARGUILE*

Jestem edokko

Urodziłam się w Tokio jako córka Japonki i Brytyjczyka, a dorastałam w bliskim otoczeniu babci, wujków, cioc oraz ciotecznego rodzeństwa. Jestem edokko, dziecko Edo (»edokko« jest slangowym określeniem kogoś, kto urodził się i dorastał w Tokio, Edo to dawna nazwa Tokio) – pisze we wstępie do książki „Meshi...” (Znak Koncept). „Krewni mojej matki od sześciu pokoleń prowadzą sklep na parterze rodzinnego domu w centrum Tokio, gdzie sprzedają tradycyjny tokijski przysmak – umami-czne, słono-słodkie tsukudani. Są miłośnikami jedzenia”.

Wychowana w Japonii, przez dwie dekady mieszkanka Londynu, Katherine Tamiko Arguille ostatecznie przeniosła się do... Australii. Czymś, co nie pozwala jej odejść zbyt daleko od korzeni, jest washoku. Japońskie jedzenie.

W swojej książce prowadzi czytelnika przez bliską jej kulturę, rytuały i smaki. 54 tradycyjne przepisy (m.in. na tonjiru albo nasu dengaku) opatrzyła wspomnieniami i opowieściami, które pozwalają poznać (w przenośni i dosłownie) od kuchni tak ważny dla niej kraj.

Tytułowe meshi to gotowany ryż – punkt odniesienia i baza azjatyckich kulinariów. Nie brakuje go oczywiście i w standardowym japońskim posiłku (zestaw określany mianem ichijū-sansai dosłownie tłumaczy się jako „jedna zupa, trzy warzywa”, choć te trzy ostatnie dania, zwane okazu, zwykle zawierają rybę, jaja i inne białka zwierzęce).

Misoshiru, czyli zupa miso, pojawia się w domowych posiłkach washoku najczęściej. Pożywna i łatwa do zrobienia może być uzupełniana przez najróżniejsze dodatki, np. cienko pokrojone warzywa: daikon (rzodkiew japońską), marchewkę, bakłażana, dynię, któreś z japońskich grzybów: shiitake, sezonowe matsutake, nameko albo enoki, a także mięso, rybę bądź owoce morza, np. asari (małże). „Te ostatnie, pełne umami-cznego smaku, należą do moich faworytów” – zdradza autorka.

Jolanta Gajda-Zadzworna**autorka książki „Meshi. Kulinaryny przewodnik po kulturze Japonii”*

Misoshiru (podstawowa wersja zupy miso 5 porcji)

Składniki: 1 łyżka suszonych wodorostów fueru wakame, 800 ml dashi, 4 łyżki pasty miso, 100 g jedwabistego tofu (silken tofu), 1 poszatkowana dymka.

Przygotowanie: Wodorosty przełóż do niewielkiej miski z wodą i odstaw na 10–15 min, żeby napęczniały. W tym czasie wlej dashi do rondla i postaw naczynie na małym ogniu. Włóż miso do miseczki. Zalej je chochlą gorącego bulionu i energicznie wymieszaj z sobą oba składniki, aż pozbędziesz się wszystkich grudek (moja matka – podobnie jak wielu innych japońskich kucharzy – wkładała miso do chochli, a potem nabierała nią odrobinę dashi i mieszała pastę z bulionem pałeczkami do gotowania, trzymając chochlę nad garnkiem). Możesz też kupić specjalną chochlę z dziurkami i rozetrzeć w niej miso bezpośrednio w bulionie. Jeśli rozcierasz miso w osobnej miseczce, powoli wlej uzyskaną miksturę do garnka, cały czas mieszając zupę. Gotuj na małym ogniu, uważając, aby nie doprowadzić miso do wrzenia – to fermentowany, bogaty w probiotyki produkt i szkoda zniweczyć bogactwo jego wartości odżywczych i smaku wysoką temperaturą.

Tofu pokrój w kosteczki o boku 1,5 cm i delikatnie przenieś do garnka, uważając, by ich nie uszkodzić. Dodaj napęczniałe wakame oraz dymkę i pogotuj jeszcze chwilę. Nalewaj chochlą do miseczek i podawaj. W Japonii misoshiru nigdy nie serwuje się w naczyniach ceramicznych ani w porcelanie, lecz w owalnych zrobionych z lekkiego drewna lub laki (lub z plastiku udającego te materiały). Pije się je prosto z naczynia, bez użycia łyżki. Gu możesz wkładać sobie do ust pałeczkami, a między kęsami popijać bulion bezpośrednio z naczynia.



Fot. Materiały prasowe



SŁODKO-SŁONY

Pierwsze kurki

ANNA MONICKA

Grzybiarze na start. Widziałam już przy leśnych drogach pierwszych zbieraczy, a na targu w lubiankach pojawiły się po pierwszych ciepłych deszczach kurki. Sprzedawca chyba musiał je sam zjeść, bo cena, którą zaśpiewał, sprawiała, że ludzie pukali się w czoło. 100 zł za kilogram. Rozumiem, że wszędzie drożyzna, ale jednak było to nieprzyzwoite.

Moja babcia mawiała, że kurka to takie nic. Grzyb może i smaczny, ale bez wartości. Śmiała się, że jest wielokrotnego użytku, bo człowiekowi trudno go strawić. Wiadomo, jak nic innego w lesie nie ma, trzeba wziąć i kurkę, ale bez specjalnego entuzjazmu, bo trudno je wyczyścić z piasku.

Ja kompletnie nie podzielam jej opinii. Pięknie pachnące pieprzniki uwielbiam. Dzięki nim nudne i normalne jedzenie zamienia się w elegancką ucztę. A pomarańczowy, energetyczny kolor cieszy oczy, nie mówiąc już o samej radości gotowania, smażenia czy zalewania wódką (bo robi się z nich świetną nalewkę na wzmocnienie, zatrucia pokarmowe, przeciw robakom).

Właśnie temu kolorowi zawdzięczają swoje właściwości. Mają więcej beta-karotenu niż marchewka, witaminy E i D, wapń, żelazo, magnez, sporo błonnika, który daje poczucie sytości. Nie można się nimi za bardzo objadać, bo zawierają też dużo chityny (są z niej zbudowane m.in. pancerze skorupiaków czy pokrywy skrzydeł chrząszczy), której nie trawimy, chociaż dobrze wpływa na pracę przewodu pokarmowego, bo hamuje wchłanianie tłuszczów i cukrów.

Nawet niewielka ilość dodana do zupy jarzynowej z nowalijek, krupniku czy ziemniaczanki natychmiast poprawi jej smak i wygląd. Podsmażone z cebulką – krótko, żeby nie zrobiły się gumowate – są genialnym dodatkiem do delikatnych mięs – pieczonej połówki wieprzowej czy indyka. Można je doprawić śmietaną, ale wtedy będą ciężkostrawne (choć jeszcze smaczniejsze). Nafaszerowany kurkami kurczak cały przenika ich zapachem w piekarniku. Dodane do dowolnego mięsnego sosu zamieniają go w przepyszne danie. Pewnie dlatego, że są naturalnym wzmacniaczem smaku.

Trzeba tylko umiejętnie je wyczyścić, żeby wypłukać piasek – najlepiej zasypać garścią soli, zalać wodą i trochę poczekać, a potem umyć szczoteczką, opłukać i wysuszyć. 



WILCZYM OKIEM

Priorytet: rzeka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

19 maja 2023 r. czasopismo „New Scientist” opublikowało artykuł o badaniach poziomu zanieczyszczenia metalami ciężkimi w angielskich rzekach i wpływie na makrofaunę bezkręgowców – czyli na bezkręgowce, które da się zobaczyć gołym okiem. Badania dotyczyły okresu od 1989 r. do 2018 r. Próbkę fauny pobierano przy użyciu sieci w 1515 lokalizacjach, a odłowione bezkręgowce oznaczano co do rodzin.

Okazało się, że różnorodność bezkręgowców jest najwyższa od 30 lat – podczas całego okresu objętego badaniami liczba gatunków owadów, małży, ślimaków czy pierścienicy nigdy nie była tak wysoka jak obecnie.

Wzrost różnorodności bezkręgowców porównano z 45 czynnikami, np. temperaturą wody czy zawartością różnych pierwiastków. Okazało się, że największy wpływ miał spadek zanieczyszczenia cynkiem i miedzią.

Przy okazji lektury tekstu przypomniał mi się artykuł ze starego numeru „Wiadomości Wędkarskich”. Dotyczył historii sprzed kilkadziesiąt lat. Kiedy w pewnym momencie XX w. zanieczyszczenie Tamizy osiągnęło bardzo wysoki poziom, postanowiono to zmienić, i to radykalnie, doprowadzając rzekę do takiego stanu, by powróciły ryby lososiowate, czyli gatunki mające bardzo wysokie wymagania co do czystości wód. Trzeba dodać, że pstrągi, lipienie i lososie są na Wyspach, ojczyźnie wędkarstwa, czymś więcej niż tylko pięknymi rybami – są jednym z symboli tożsamości starej, dobrej Anglii. Była to więc walka nie tylko o rzekę i przyrodę.

Udało się i w końcu wręczono królowej Elżbiecie pierwszego lososia od dawna złowionego w wodach Tamizy.

Anglicy dbają o swoje rzeki. Nieprzypadkowo to w Anglii ośrodek informacyjny i doradczy River Restoration Centre wydał bardzo ciekawe opracowanie „Przyjazne naturze kształtowanie rzek i potoków. Praktyczny podręcznik” (jest też wydanie polskie, które zyskało pozytywną rekomendację Ministerstwa Środowiska). Podręcznik pokazuje, jak przywracać rzekom naturalność i uwalniać je od regulacji – na konkretnych przykładach, które rzeczywiście w Wielkiej Brytanii zrealizowano.

Powinniśmy dolożyć starań, żeby kiedyś móc wydać taki podręcznik, opisujący polskie przykłady rzek przywróconych naturze, uratowanych od zanieczyszczeń i regulacji. 

Nasze dzieje życiem pisane

Znowu zawrzało wśród tzw. totalnej opozycji, a jej główny szef Donald Tusk wyraźnie nie panuje nad swoim stanem psychicznym. Jak zwykle zaciska pięści, grozi, zachowuje się jak popoliły przestępca, kłamca, a przecież chodzi tylko o ustawę w sprawie powołania komisji do zbadania wpływów rosyjskich na bezpieczeństwo wewnętrzne Rzeczypospolitej Polskiej, którą prezydent podpisał, ale jednocześnie skierował do Trybunału Konstytucyjnego. Skąd taki strach u Tuska, przecież stawał już chociażby przed komisją ds. Amber Gold razem z synem, który beczelnie mówił: „Od początku wiedzieliśmy z ojcem, że to jest lipa (!)” – i włos z głowy im nie spadł. Pamiętamy też historię z reklamówką z setkami tysięcy euro... Wszystko rozmyło się bez żadnych konsekwencji, więc skąd ta panika tym razem?

Zostawiam to jednak i robię swoje. Szukam ludzi, którzy radują serce, dają nadzieję, wzruszają swoją postawą, naturalnością, szczerością, pracą dla dobra swoich małych ojczyzn, a przez to dla nas wszystkich. Często znajomi pytają mnie, czy jeszcze gdzieś w Polsce można znaleźć ludzi, dla których takie wartości, jak wierność zasadom, prawda, honor są cenniejsze niż pieniądze, jak to niegdyś mawiali nasi przodkowie. Wszelkie obecne kłamstwo, intrygi, wolność, która jest samowolą, powodują, że ginie wzajemne zaufanie, ludzie powtarzają slogany: „Wszyscy kłamią”, „Wszyscy kradną”. Dlatego tak cieszy spotkanie z ludźmi bez masek, autentycznych, wiernych zasadom niezmiennym od pokoleń. Żeby ich spotkać, trzeba oddalić się od Warszawy, od tego stołecznego kłębowniska przeróżnych interesów, i tam zobaczyć, co tak naprawdę jest ważne w życiu, jakim zadaniom i celom należy być wiernym, i niezależnie od sytuacji zachowywać się, jak trzeba.

O losach ojczyzny decydowali i nadal będą decydować ludzie, którzy kochają swoje małe ojczyzny, są dumni z przeszłości i z każdego obecnego dobrego inicjatywy, dla których słowa „Bóg, Honor, Ojczyzna” nie są tylko kombatanckim hasłem wypisanym na sztandarze.

Od kilku lat co pewien czas kontaktuje się ze mną pani Bogusia Wąs z Krasnego, z ziemi rzeszowskiej, opowiada o miejscowych bohaterach, często zapomnianych, pisze o nich, dociera do najstarszych mieszkańców swojej rodzinnej miejscowości, o której mówi z dumą i wielkim szacunkiem. „Krasne to jest moja mała ojczyzna, moi sąsiedzi, moja ziemia, to jest całe moje życie. Najważniejszy drugi człowiek, jego życie, historia – to się dla mnie liczy” – mówi w reportażu pt. „Swoje miejsce w życiu”. Tę wrażliwość na drugiego człowieka wyniosła na pewno z domu, ale też wiele dały jej podyplomowe studia „Życie i myśli Jana Pawła II” ukończone w Krakowie w 2006 r., o których mówi z prawdziwą dumą. Odwiedza regularnie miejscowy cmentarz, dba, zapala znicze, jest dumna z rodzimych bohaterów. Szczególnie bliski jest jej Władysław Skubisz „Pingwin”, żołnierz Armii Krajowej, który w 1944 r. razem ze swoimi kolegami dokonał



Alina Czerniakowska

udanego zamachu na gestapowskich katów ziemi rzeszowskiej, ratując życie wielu Polakom. Akcję porównywano w skali lokalnej do zamachu na kata Warszawy Franza Kutscherę. Jeden z jej bohaterów, Władysław Leja „Trznadel”, został ranny i w czasie ucieczki rozerwał się własnym granatem, żeby nie dostać się w ręce niemieckich oprawców. Dwaj pozostali wycofali się z miejsca zamachu, niestety 22-letni Władysław Skubisz zaledwie kilka miesięcy później został aresztowany i już 20 października tego samego roku rozstrzelany z wyroku NKWD, sowieckiego sądu wojennego działającego na ziemiach polskich w porozumieniu z „polskim” Urzędem Bezpieczeństwa. Los tego młodego Polaka jest obrazem tragizmu całej naszej historii.

Warto poczytać o tym bohaterze. Pani Bogusia pięknie opisała jego życie, szkołę, patriotyczny dom. Odszukała nawet jego dziewczynę, dzisiaj 98-letnią Helenę Kurcek, której wspomnienia są bezcenne. „W tym dniu i roku, kiedy on został zamordowany, urodziłam się i jemu, i jego kolegom jestem winna pamiętać” – mówi Bogusława Wąs i nie ustaje w dokumentowaniu losów bohaterów swojej rodzinnej miejscowości. „Spoczywa tu na miejscowym cmentarzu Jan Mazaraki (1840–1922), rotmistrz Kawalerii Narodowej z 1863 r., bohater powstania styczniowego, kawaler Orderu Virtuti Militari, zawsze 22 stycznia zapalam znicze” – mówi Bogusława Wąs. „Uczę się historii, poznaję losy ludzkie, bo inaczej uczono nas w szkole w PRL, a potem człowiek młody musiał szukać swojego miejsca w życiu, nie było czasu. Ale jak przyszła emerytura i przyszły dokumenty z IPN, spotkania z historykami, to zbieram w jedną całość wspomnienia te pisane i te mówione, i tak pewno kilkadziesiąt artykułów mniejszych lub większych wspomnieniowych napisałam do naszej gazetki parafialnej i nie tylko. To jest moja mała ojczyzna, ludzie tak bardzo mi bliscy, docieram do tych najstarszych, słucham historii ich życia, często bardzo trudnych, ale jakże pięknych, oglądamy stare rodzinne fotografie i nieraz płaczemy razem”.

W 2017 r. Bogusława Wąs dostała honorowy tytuł „Świadek historii”. Dr Dariusz Iwaneczko, dyrektor Oddziału IPN w Rzeszowie, mówi, że nie byłoby takiej działalności IPN, gdyby nie lokalni społecznicy, osoby takie jak Bogusława Wąs, które angażują się we wspieranie działalności IPN, odkrywają czasami nieznane karty historii lokalnej społeczności, docierają do ludzi, którzy jeszcze żyją i mogą wiedzieć o losach naszych bohaterów.

Dobrze, że mamy wśród nas takich ludzi jak Bogusława Wąs, szczerze zaangażowanych w odkrywanie naszych ojczystych dziejów na podstawie wspomnień, pamiątek, zwykłych zdjęć, ale jakże niezwykłych ludzi, żyjących obok nas, często zapomnianych, przemijających niezauważenie. A to przecież o nich mówił Jan Paweł II: „Jesteście solą tej ziemi i światłością świata, Bóg zapłać”.

*Autorka jest reżyserem filmowym,
scenarzystką i dziennikarką*

Fikające hieny

Zacznę od cytatu: „Wiele informacji, które podają rosyjskie media państwowe czy kremlowscy oficjele, prawdopodobnie nie jest prawdziwych. Takie doniesienia mogą być elementem wojny informacyjnej ze strony Federacji Rosyjskiej” – doniósł parę dni temu portal Wirtualna Polska. Temat pogłębił należący do spółki WP portal O2 w tekście pt. „Zagrożenie ze strony Polski. Odłot w rosyjskiej telewizji”. Znaczący, boją się zarówno Rosjanie, jak i Białorusini, bo my, Polacy, snujemy ponoć plany zajęcia nie tylko Ukrainy.

Z czym do gości? Odrodzenie supermocarstwa nam się marzy – orzekł komentator kanału rosyjskiej telewizji Zwiezda. Tyle było spokoju, gdy nie było nas na mapie, a teraz masz: Polska, to hiena Europy, utrzymywana dzięki finansowym kroplówkom z Unii, a bieda u nas, że aż piszczy. „Strach przed głodową zimą goni Polaków do zakupów na Białorusi” – informował rzetelnie już parę miesięcy temu dziennik „Nowosti” (1 Program białoruskiej telewizji publicznej). I tak codziennie, od rana do wieczora... Przykłady? Proszę bardzo, пожалуйста, przy czym zaznaczam, że każdy z cytatów pochodzi z różnych wydań telewizyjnych: „W kraju brak węgla. Polacy robią zapasy z drewna”, „Polska chce zwalczać rosyjski węgiel za pomocą chrustu”, z powodu energetycznych problemów „Polaków wezwano, by nie podgrzewali

kolacji w mikrofalówkach i nie robili prania wieczorem”, z braku wody „Polska telewizja radzi obywatelom zbieranie deszczówki”, poza tym „cukier zniknął z polskich sklepów”, „w Polsce brakuje lekarstw”, „wkrótce w Polsce może zabraknąć mięsa”, „ceny chemii gospodarczej biją w Polsce rekordy”, „Polskę ogarnęła fala włamań i rabunków”... itd.

Niczegośmy się nie nauczyli z historii. Dziś trzymamy z Amerykanami i Anglikami, a Zachód nieraz już wystrychnął nas na dudka. Sami też nie byliśmy święci. „Znaczna część Polaków walczyła w szeregach Wehrmachtu”, a „antysemityzm w Polsce o wiele przewyższał antysemityzm niemiecki – tylko zwierzęcą nienawiścią można tłumaczyć fakt, że Polacy brali czynny udział w niszczeniu Żydów” – oświecił Rosjan telewizyjny kanał Zwiezda. A teraz Polska pompuje broń w Ukrainę, niech pompuje, aż zostanie z niczym, gdy „Rosja zapuka do waszych drzwi” – rzucił rosyjski gen. Ramzan Kadyrow na kanale Telegram.

„Jak Warszawa zamierza leczyć swój terytorialny świerzb? Czy świat będzie świadkiem odrodzenia supermocarstwa Europy Wschodniej? Kto może utemperować fikającego?” – spytał lektor Zwiezdy. No, kto...?



**Piotr
Cywiński**

Atlantyda

Na naszych oczach zmienia się świat. Zdecydowanie na gorsze! Zgredzę? Czyżby? Za chwilę nikt nie będzie w stanie odróżnić dzieła konkretnego człowieka – obrazu, wiersza, piosenki, scenariusza czy pracy doktorskiej – od produktu wykreowanego przez SI (sztuczną inteligencję). Jeśli każdy z nas – zadając bytowi SI kilka bazowych poleceń – „napisze” kolejne tomy „Pana Tadeusza”, to czy przybędzie mu od tego własnego talentu, że o inteligencji nabytej nie wspomnę?

Degrengolada szkolnictwa wygenerowała tabuny ignorantów: magistrów, doktorów i profesorów wykształconych ponad swoją inteligencję, ale zabawa w geniusza z dowolnej dziedziny uwolni nas od jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego/twórczego/poznawczego... I poczyni niewyobrażalne spustoszenie w ludzkiej mentalności. Już GPS pozbawia orientacji w terenie, a dzięki telefonicznej bazie kontaktów nie pamiętamy numerów do najbliższej rodziny. Ale to nie jest największym zagrożeniem!



**Lech
Makowiecki**

Za chwilę będzie można wytworzyć (już się tworzy?) dowody winy, przestępstwa czy przeciwnie – „świadczenia świętości” dla lub na każdego. Nastąpi wysyp perfekcyjnych nagrań audio-wideo z udziałem ludzi uczciwych i przyzwoitych w hańbiących ich sytuacjach. Podobnie będzie się wybielać drani i bandytów. Zapotrzebowanie na takie usługi jest ogromne: od brutalnej walki politycznej po zorganizowaną przestępczość. Co gorsza, prawdziwe dowody czyjejś winy czy niewinności można będzie podważać jako spreparowane przez AI (ang. artificial intelligence). Pokusa jest zbyt wielka, żeby z niej nie skorzystać. Tego trendu nie da się już zatrzymać!

Rejestrowany od połowy lat 70. spadek IQ całej populacji (o siedem punktów na pokolenie!) drastycznie przyspieszy. Zniknie rozwój – to, co utrzymywało nas do tej pory na topie ewolucji. Cóż, słabsze gatunki muszą wyginąć. Ludzkość to już ponoć przerabiała. Nawet niejednokrotnie: vide biblijne Sodom i Gomora, Potop, wieża Babel, mityczna Atlantyda...

PRZEZ ŚWIETLIK

Częściowo prawda



**Wiktor
Świetlik**

Pierwsze wolne wybory nie były wolne, więc i nie były pierwsze. Nie były też „częściowo wolne”, bo to niemożliwe. Tym bardziej mogą być symboliczne dla naszej opozycji, gdzie wszystko się nazywa inaczej, niż jest.

Wybory wyglądały trochę tak jak stary skecz Laskowika: „Mam tu dwie piżamy, wybieraj pan, moja jest ta zielona”. Nie jest to kwestia ocenna, a historyczna. W niedzielę 4 czerwca 1989 r. Polacy wybierali parlament ze złamaniem podstawowej zasady wyborów, czyli proporcjonalności. Strona partyjna zapewniła sobie z góry większość. W dodatku odbyły się przy bardzo niskiej frekwencji. Wie to każde dziecko, spośród tych nielicznych, które jeszcze przykładają się do nauki historii. A mimo to od 34 lat jak mantrę powtarza się hasło o pierwszych wolnych wyborach. Jeszcze lepsze jest jednak „precyzyjniejsze” określenie – „częściowo wolne wybory”. Częściowo wolne, bo strona solidarnościowa miała zapewnioną mniejszościową pulę miejsc do Sejmu. W wolnych wyborach wybierano też Senat, który nie miał mieć większego znaczenia, w sytuacji gdy strona postkomunistyczna miała mieć za-

gwarantowaną miażdżącą większość w Sejmie. Ta „częściowa wolność” to jak częściowo dobrowolny stosunek albo częściowy zakup. Zapłacę za dwa jabłka, a dwa zwinę po cichu do kieszeni. Kupiłem częściowo cztery.

Oczywiście sprawy potoczyły się, jak się potoczyły, bo postkomuniści postanowili zostać biznesmenami, a gospodarkę w stanie rozkładu zostawić Solidarności, gwarantując sobie wpływy w służbach i tam, gdzie trzeba. Ale takie to były wolne te wybory, które teraz swoim marszem wolnych ludzi uhonorowała „demokratyczna opozycja”, wśród niej cała plejada aktywnych jeszcze w polityce postkomunistów, popierających Tuska byłych esbeków, oligarchów, którzy z postkomuny przerzucili się na Platformę. Można – by być precyzyjniejszym – również używać określenia „częściowo demokratyczna” opozycja. Ta, której gdy rządzi, zdarza się robić biznesy u Sowy i nasyłać na przeciwników służby specjalne? Ale grunt, że pogoda zapewne dopisała.

Moniuszko - mistrz muzyki religijnej



**Adam
Ciesielski**

Zwyśliśmy szczerzyć się operami Stanisława Moniuszki, chętnie słuchamy też jego pieśni. Słusznie, bo piękne, ale szkoda, że w ich cieniu pozostaje obfita i oryginalna twórczość sakralna kompozytora.

Próba zwrócenia uwagi na jej wyjątkową atrakcyjność jest album prestiżowej niemieckiej wytwórni MDG „Stanisław Moniuszko – Requiem Aeternam”, wydany z inicjatywy prof. An-

drzeja Szadejki. Gdański muzykolog, wirtuoz organów, dyrygent podsumowuje w ten sposób swój autorski projekt „Moniuszko150”, zrealizowany dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytutu Adama Mickiewicza oraz współpracy z kilkunastoma instytucjami polskimi, litewskimi i niemieckimi. Idea takiej międzynarodowej kooperacji nawiązuje do życia Moniuszki, który urodził w Ubielu koło Mińska (dziś białoruskiego), studiował i swoje pierwsze utwory opublikował w Berlinie, a przed zaproszeniem

do Warszawy 18 lat mieszkał, wiódł życie rodzinne, pracował jako organista i tworzył w Wilnie.

Pionierskie nagranie w gdańskim kościele św. Jana jego symfonicznego repertuaru sakralnego na instrumentach historycznych, uwzględniające zapis nutowy i praktyki wykonawcze z epoki, zrealizowali muzycy z Polski, Niemiec i Litwy: orkiestra Goldberg Baroque Ensemble z Gdańska, lipskiego zespołu wokalnego Gellert Ensemble oraz międzynarodowej stawki solistów: Ingridy Gápovej (sopran), Marion Eckstein (alt), Sebastiana Macha (tenor), Maximiliana Argmanna (bas).

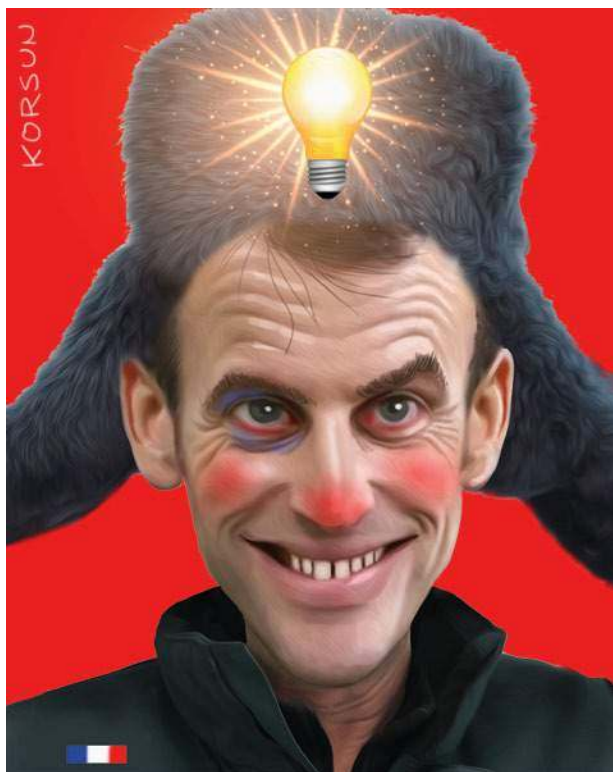
Takie ujęcie eksponuje nadzwyczajne walory nie tylko trzech zróżnicowanych nastrojem i stylem „Litanii ostrobramskich”, lecz także kantat „Requiem Aeternam” na 11 głosów, chór i orkiestrę. Wzrusza „Marsz żałobny Antoniego Orłowskiego”, który Moniuszko napisał ku pamięci tego skrzypka, pianisty, dyrygenta, kompozytora, kolegi Fryderyka Chopina, zmarłego w 1861 r. na emigracji i pochowanego w Rouen.

Cała audiofilska płyta pod dyktando i kierownictwem artystycznym prof. Szadejki oddaje blask i świeżość mało wcześniej znanych, całe lata niedocenianych, a jakże fascynujących dzieł religijnych Stanisława Moniuszki.



Stanisław Moniuszko,
„Requiem Aeternam – Sacred
Symphonic Music”, Wyd. MDG

Michał Korsun prezentuje:
Prezydent Macron chce rozbroić
wschodnią flankę NATO

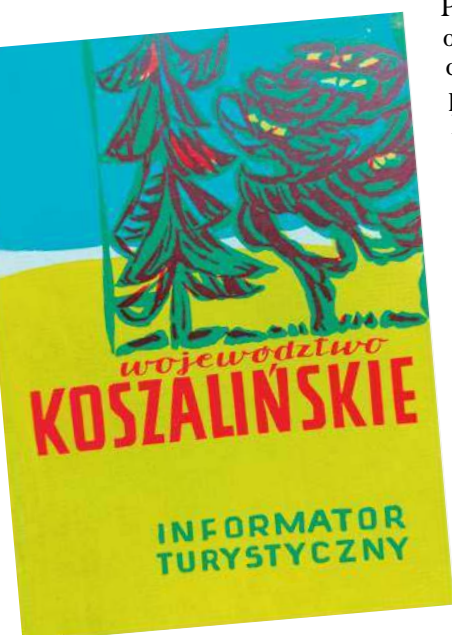


Wycinki z przeszłości

W porównaniu ze współczesnymi kolorowymi, pięknie wydrukowanymi, nasycenymi precyzyjnymi informacjami przewodnikami, nie mówiąc już o dokładnych mapach w komórkach, te stare nie mają wiele do zaoferowania. Gazetowy często papier, niewielki format, nieaktualne informacje. A jednak lubimy do nich zaglądać.

Przywołują wspomnienia obozów wędrownych i harcerskich, dawnych lektur, podają szerszy kontekst historyczny. Czasami można w nich znaleźć także opis atrakcji jakoś zapomnianych, nieznanych dziś szerzej, a ciekawą trasę na wyprawę. Tak też jest w tym informatorze o województwie koszalińskim z 1965 r. Jeśli macie państwo gdzieś na półce czy strychu takie stare wydawnictwo, warto zerknąć i poszukać inspiracji na lato.

(mk)



Więcej dystansu, układzenia, ugody

Pokuszę się o takie (nieco pompatyczne) porównanie. Dzieło Staffa na tle XX-wiecznego pejzażu polskiej poezji stanowi odrębne osiągnięcie. Rysuje się jak oddzielna, wzniosła i zarazem wyniosła wieża. Wartość refleksji, uroda, klarowność tych wierszy, ich stoicyzm, klasyczna modła, niepowierzchniowa symbolika mimo pewnej patyny, którą nieuchronnie dorzucza czas, te walory się nie dewaluują. Trwa w znakomitym stanie. Dobrze jest czasem sięgnąć po te wiersze, w których tyle piękna i ugody, moralnego układzenia.



Leszek Długosz

Leopold Staff (1878–1957)

NIC MI, ŚWIECIE...

*Nic mi, świecie, piękności twej zmącić niezdolne!
Błogosławione, które wydało mnie plemię.
Patrzę na gwiazdy górne i na kwiaty polne
I w oczach swych jednoczę i niebo, i ziemię.*

*Choć danyś mi jest jeno na krótki ciąg godzin,
Cień śmierci mojej duszy nie straszy weselnej.
Przez wieczność już nie było mnie przed dniem narodzin,
A mędrzec dawno uczył mnie, że jest śmiertelny.*

* * *

KOCHAĆ I TRACIĆ...

*Kochać i tracić, pragnąć i żałować,
Padać boleśnie i znów się podnosić,
Krzyżeć tęsknocie „precz!” i błagać „prowadź!”
Oto jest życie: nic, a jakże dosyć...*

*Zbiegać za jednym klejnotem pustynie,
Iść w toń za perłą o cudu urodzie,
Ażeby po nas zostały jedynie
Ślady na piasku i kręgi na wodzie.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika			
CENNIK	OKRES PRENUMERATY		
PRENUMERAT*	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Współczucie i strategia

Jest koniec maja, 2023 r. zbliża się do półmetka. Rzym. Po zwiedzeniu Ogrodów Watykańskich wychodzimy z bazyliki św. Piotra. W pełnym słońcu rozglądamy się po placu, po którym przemieszczają się grupy ludzi. Po prawej stronie kolumnady Berniniego widzimy wyraźnie odbijającą się kolorystką, jakby zagęszczoną grupę żołnierzy – może na to wskazywać grafitowy kolor.

Ale to nie żołnierze. To pomnik. Łódź uchodźców i migrantów – realistyczne figury naturalnej wielkości tak ściśnione, że jedni napierają na innych.

Autorem jest Kanadyjczyk, Timothy Schmalz, znany z rzeźby „Bezdomnego Jezusa” – jej replika znajduje się już w ponad 100 miastach na świecie. Schmalz jest artystą katolickim. Zasadnicze przesłanie jego dzieł jest jedno: zobaczyć w drugim Chrystusa. Łódź z migrantami stanęła na pl. św. Piotra we wrześniu 2019 r. z okazji obchodów Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy. Pierwsze wrażenie: ta rzeźba nie pasuje tu ani stylistycznie, ani kompozycyjnie.

Łódź powoli obchodzimy z obu stron. Przyglądamy się postaciom, ich ubraniom i twarzom, nastrojom.

SIŁA WYRAZU

Pomnik ma siłę wyrazu wzmacnianą – może – przez grupki beznamienne spoglądających na nas osób koczujących – ponoć za pozwoleniem papieża Franciszka – między kolumnami. Pewnie są wśród nich i uchodźcy, i migranci ekonomiczni, a zdaje się, że też rzymscy kłoszardzi.

Pomnik – tak go odbieramy – ma budować współczucie i otwartość na los ludzi, którzy przemocą, opresją lub własnym pragnieniem lepszego życia zostali skłonieni do opuszczenia krajów, w których się urodzili. Za chwilę znajdują się wśród obcych i niekiedy nie mają niczego poza nadzieją na lepszy los.



Impulsy i ruchy migracyjne można także wykorzystywać jako broń

Dla nas, żyjących w dostatku, takie współczucie i gotowość do praktycznego niesienia pomocy są niezbędne, jeśli chcemy zachować ludzki wymiar własnego życia.

ZADANIE RATOWNIKA

Ile osób może wziąć na pokład statek wylawiający z wód Morza Śródziemnego rozbitek z łodzi przemytniczych? Każdego w potrzebie? Czy tylko tyle osób, ile statek może *bezpiecznie* pomieścić?

Gdy pływak-ratownik holujący do brzegu tonącego wpływa już pod sięgające w morze moło, dostrzega, że kolejna fala może rzucić nimi obu na jeden z betonowych pali, które podtrzymują konstrukcję. Gdy fala rzuca obu na pal, pamięta ze szkolenia, że w takiej sytuacji ma się zasłonić ciałem, a nawet głową ratowanego. Sprawny ratownik doholuje rannego topielca do brzegu i sprostawi pomoc. Ratownik, który stracił

przytomność po uderzeniu swoją głową w przeszkodę, tego nie robi.

Proste? Obserwując dyskurs pro-migracyjny w Polsce i nie tylko, widzimy, że nie dla każdego. Do niektórych współczujących nie trafia nawet spostrzeżenie, że o ile 500 uchodźców stanowi problem humanitarny, to już 0,5 mln staje się w pierwszej kolejności kwestią bezpieczeństwa.

DWIE STRATEGIE

A co się dzieje, gdy obok współczucia wyostreimy spojrzenie i dostrzeżemy także czyjaś strategię? Impulsy i ruchy migracyjne można bowiem wykorzystywać jako broń.

By to lepiej zrozumieć, warto przeczytać – dostępny również w internecie – artykuł dr. Michała Wojnowskiego zatytułowany „Geneza, teoria i praktyka rosyjskiej inżynierii przymusowej migracji. Przyczynek do badań nad kryzysem migracyjnym na wschodniej flance NATO”.

Dobitym przejawem takiej inżynierii jest, nie całkiem przecież zakończony, atak na granicę polsko-białoruską. Pamiętajmy, że taka inżynieria to tylko jeden z wielu niewojskowych środków walki wykorzystywanych przez Federację Rosyjską, wskazanych w rosyjskiej doktrynie militarnej.

Współczucie powinno być wsparte odpowiedzialnością i dalekowzrocznością. By współczujący mógł skutecznie pomagać, musi zadbać o zachowanie swojej zdolności do skutecznego działania. Warto, by wziął też pod uwagę, że jego najlepsze odruchy i działania mogą stać się manipulacyjną częścią czyjegoś rachunku strategicznego.

Zapora na polsko-białoruskiej granicy jest niezbędna, ale w reakcji na rosyjską inżynierię przymusowej migracji obok współczucia musimy wystawić także swoją własną strategię.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

CZYTAJ TEKSTY SWOICH ULUBIONYCH AUTORÓW

WSPIERAJ UCZCIWE, WOLNE,
POLSKIE MEDIA



Jesteśmy po
właściwej stronie
– tam, gdzie
umiłowanie Ojczyzny

JACEK KARNOWSKI

Konsekwentnie
bronimy prawdy. Udaje
się dzięki wsparciu
Czytelników

MARZENA NYKIEL

Pro Polskie, wolne
media są kluczem
do bezpiecznej
Polski

MICHAŁ KARNOWSKI

Korzystaj z e-prenumeraty **SIECI** i **HISTORII**
oraz dostępu do Premium **+** **wPolityce.pl**

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ





TOTALIZATOR
SPORTOWY



EDYCJA

WYGRYWAMY
ZACZYNA SIĘ OD WY

Grajcie w  i zgłaszajcie
pomysły na obiekty
sportowe i kulturalne
w Waszej okolicy.

Szczegóły akcji na gramywygrywamy.pl